

Gdyby nie kobiety



URKE NACHALNIK

Gdyby nie kobiety

POWIEŚĆ SENSACYJNA

ROZDZIAŁ I

Gdy Krygier wybiegł z pokoju Janka w pensjonacie w Zakopanem, zatrzęsłszy silnie drzwiami¹, Jankowi wydawało się, że coś się urwało w nim. Chciał zatrzymać go, ale Ada przeszkodziła mu w tym:

- Niech sobie idzie!... Ach, mój kochany, gdybyś wiedział prawdę...
- Nie dokończyła. Zwiesiła tylko głowę, jakby się wstydziła powtórzyć, co wie.
- Janek, z natury wybuchowy i porywczy, zawołał:
- Wyznaj mi prawdę! Dlaczego przy nim nie powiedziałas wszystkiego?
- On mnie chciał...
- Czego chciał? — krzyknął Janek, chwytając kapelusz i palto. Był gotów ścigać

Krygiera.

Ale Ada zręcznym ruchem zatarasowała sobą drogę:

— Zostaniesz tutaj! — Zarzuciła mu na szyję rękę. — Zamknij okna i zaciągnij franki...

Janek zapomniał teraz o Krygierze, o całym świecie. Ada umiała go trzymać w swej mocy. Grała przy tym swoją rolę tak świetnie, że przebiegły Janek nie orientował się w niczym.

Naraz rozległ się dzwonek u drzwi.

— Kto to stuka? — przeraził się Janek.

Ada roześmiała się:

— Zapomniałaś, że na dziś zaprosiłam twoich kolegów na herbatkę.

Zapaliła światło i otworzyła drzwi. Do pokoju weszli Milczek i Antek, obładowani delikatesami.

Janek nie orientował się w sytuacji. Pamiętał, że Milczek i Antek umówili z nim i Krygierem spotkanie w Warszawie, a nie w pensjonacie w Zakopanem, gdzie się teraz znajdowali.

- Jak to? Przecież umówiliśmy spotkanie w Warszawie!? — denerwował się Janek.
- Przecież ty także tu zostałeś...
- Nie mogłem jechać, ale Krygier na pewno opuścił Zakopane.
- Myśmy także nie mogli wyjechać. A Krygier zaczeka na nas w Warszawie. Nic mu się nie stanie.

Janek spoglądał podejrzliwie na przyjaciółkę i towarzyszy.

Ada spostrzegła oburzenie Janka i zawołała:

— To moja wina, że nie pojechali.

Odpowiedź Ady nie przyczyniła się do odprężenia sytuacji. Przeciwnie, Janek żywił do niej teraz jeszcze większą podejrzliwość.

— Za wiele mieszasz się do moich spraw — rzekł do Ady z wyrzutem w głosie.

— Skoro się oburzasz, powiem ci to, com ukrywała, dziś są moje urodziny! Dlatego zaprosiłam ich tutaj na wieczór.

— Dlaczego ukrywałaś to przede mną? Byłbym ci kupił upominek, a noc spędzilibyśmy w eleganckim lokalu!

¹zatrzęsłszy silnie drzwiami — popr.: zatrzęsłszy silnie drzwi. [przypis edytorski]

— Z tego powodu właśnie nie mówiłam ci o tym, bo po co kłuć frajerom oczy? Czy nie możemy się zabawić tu w pokoju? W lokalach jest duszno, pełno dymu. Nie znoszę atmosfery nocnych lokali.

Janek nie mógł nawet zrozumieć naglej przemiany w nastroju Ady. Jak każdy zakonany przyjmował słowa przyjaciółki za dobrą monetę.

Wszyscy zasiedli do stołu. Janek nie spostrzegł, że Ada jest tego wieczora wyjątkowo podniecona i zaaferowana. Stale podchodziła do okna, by poprawić firanki pod pretekstem, że nie lubi, gdy sąsiedzi lub postronni zaglądają do jej pokoju. Janek tłumaczył zachowanie Ady uroczystą chwilą.

— Zbliź się do mnie — zawołał Janek podniosłym tonem. — Brzydko z mojej strony, żem dziś ci nie kupił upominku, ale jutro błąd ten będzie naprawiony: palce twoje ozdobię pięknymi brylantami.

W tym momencie Milczek, który rzadko się odzywał, oświadczył:

— Mam pomysł!

— Jaki pomysł? — zapytali wszyscy naraz.

— Pojechać we czwórkę do Warszawy i hulać tam przez dwa dni na całego.

— Mam lepszy pomysł! — zawołał Antek.

— Mój projekt jest najlepszy — przerwała dyskusję Ada. — Będziemy się tu bawić do rana. Na wszelkie eskapady jest już za późno! Nieprawdaż, najdroższy? — zwróciła się do Janka, rozpływając się w słodkim uśmiechu.

— Skoro tak sobie życzysz, będzie tak. Wiesz przecież, że nie lubię ci się przeciwstawiać.

Ada naląła kielichy szampana, które wszyscy wychylili jednym tchem.

— Do grobowej deski będziesz moja! — Janek ucałował Adę.

— I o mnie nie zapomnij! — zawołał Milczek, wręczając Adzie zegarek wysadzony diamentami.

— Sto lat obyś nam królowała i jaśniała jak dziś! — zawołał Antek, nakładając jej na rękę bransoletę złotą, upstrzoną brylancikami.

— A ja wam życzę, byście nie potrzebowali odtąd kraść i byście mieli wszystkiego pod dostatkiem.

— Piję za wasze zdrowie! — Ada naląła kielichy.

Pod wpływem wypitego wina języki rozwiązały się zebranych. W pewnym momencie Ada odezwała się:

— Janku, wiedz o tym, że wnet przybędą tu goście, których zaprosiłam z okazji dzisiejszej uroczystości.

— Kogo zaprosiłaś? — znów obudziło się w Janku podejrzenie.

— Twoich przyjaciół: Bajgele², „Zimną kokotę” i trzech panów, moich znajomych z czasów pobytu za granicą. Nie będziesz się na mnie gniewał?

— Kto by się na taką kochaną istotę mógł pogniewać? Ale sądzę, że już nie przyjdą. Druga po północy — rzekł Janek, spoglądając na zegar.

W tej chwili rozległ się ostry dzwonek u drzwi. Ada pobiegła, by je otworzyć.

Głośny śmiech towarzyszył zatrzaśnięciu drzwi. Ada, wracając do stołu, ze śmiechem opowiadała, że pewien starszy jegomość dopytywał się o jakąś Janinę.

— Widać, przed nami mieszkała tu „wesola” pani Janinka.

Trzej współnicy, nie wiadomo dlaczego, zamienili ze sobą spojżenia, z których biła nieufność i podejrzliwość. Sami nie mogli wytłumaczyć, dlaczego słowa Ady nie budziły w nich zaufania.

— Może zatelefonujemy do Warszawy, do Bajgele, by dowiedzieć się, czy wyjechali — zaproponował Milczek.

— Nie, nie trzeba — rzuciła Ada. — Na pewno przyjadą.

Nastrój zmienił się. Radość ustąpiła miejsca ponurym rozmyśleniom, które każdy z nich na próżno starał się ukryć lub bagatelizować w duchu.

— Widzę, że się nudzicie — zawołała Ada i chcąc polepszyć im humory, dodała: — Zagrajmy! Oto talia kart.

²Bajgele — przezwisko utworzone od rzeczownika pospolitego oznaczającego rodzaj bulki, obwarzanek, bajgiel. [przypis edytorski]

Ale nikt jakoś nie zdradził ochoty do gry.

— Co się z wami dziś dzieje? — nagabywała ich Ada. — Nie poznaję was!

Ale wszyscy siedzieli w skupieniu, natężając słuch dla podchwycenia najmniejszego szmeru dochodzącego z ulicy.

Naraz Janek wstał i zatopił wzrok w Adzie, która czuła, że zmienia się na twarzy pod wpływem jego przenikliwego spojrzenia. Serce zabiło jej silniej, a w mózgu huczało: „czyżby się połapał w komedii przeze mnie zaaranżowanej?”. Postanowiła bronić się do ostatniej chwili, nawet gdyby została zdemaskowana.

— Janeczku — odezwała się — co ci jest? Jesteś taki dziwny, a spoglądasz na mnie takimi oczyma, że mnie strach przejmuję. Może jesteś niezdrowszy?

Wypowiedziała te słowa z takim wzruszeniem i ciepłem, że nikt nie ważyłby się nawet wątpić w to, że ta kobieta jest zakochana w nim po uszy.

Janek nie odpowiedział Adzie. Natomiast spytał towarzyszy:

— Macie broń przy sobie?

Ada czuła, że nogi uginają się pod nią. Czyniła nadludzkie wysiłki, by panować nad sobą, sytuacją i zebranymi.

Milczek w odpowiedzi na pytanie Janka roześmiał się głośno.

— Nie ruszam się bez spluwy nawet tam, gdzie cesarz idzie piechotą. A dziś nawet mam przy sobie dwie. To u mnie już jest w zwyczaju, że gdy mnie zapraszają gdzieś na ucztę, zabieram ze sobą dwa rewolwery. W życiu różnie bywa. Nasz brat jest już do tego przyzwyczajony.

— Co oznaczają wasze surowe wyrazy twarzy? — zaindagowała³ ich Ada. — Czy uplanowaliście zbiorowe samobójstwo?

— Samobójstwo? — parsknął śmiechem Milczek. — O, nie! Raz tylko w życiu byłem gotów popełnić takie głupstwo.

— Zapewne z powodu zawiedzionej miłości! — uśmiechnęła się Ada kokieteryjnie. — Ciekawa jestem, jak wygląda kobieta, dla której chciał pan popełnić samobójstwo?

Ada usiłowała świadomie skierować rozmowę na inne tory.

— Dla kobiety? Dla zawiedzionej miłości miałbym rozstać się z życiem? — zapytał się zdziwiony Milczek. — I pani mnie o takie rzeczy posądza?

— Więc dla jakiego powodu⁴?

— Z głodu. Pięć dni głodowałem.

Wszyscy roześmieli się. Ale Janek nie dał się odwieść od tematu i zwracając się do Antka, zapytał go:

— Masz maszynkę przy sobie?

— Mam jeszcze coś lepszego.

Obaj porozumieli się oczyma. Ada czuła, że siły ją opuszczają.

— Napędzacie mi strachu waszymi tajemniczymi mrugnięciami i rozmówkami — rzekła Ada. — Wytworzyliście nastrój, jakbyście mieli zamiar stoczyć z kimś bój.

Janek odparł:

— Uspokój się, nic ci nie grozi z naszej strony. Z tobą wojować nie będziemy.

— Ale co to ma znaczyć, że do mnie do pokoju przybyliście uzbrojeni? — Ada udawała obrażoną, odzyskawszy po wyjaśnieniu Janka pewność siebie. — Czuję się dotknięta waszym zachowaniem.

Ada wstała z pogniewaną miną, udając się do przyległego pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Janek chciał podążyć za nią, by ją przeprosić, ale Milczek zatrzymał go i szepnął mu na ucho:

— Idziemy stąd, ale już!

Janek chciał coś odpowiedzieć, ale Milczek przyłożył palec do ust na znak, by nie mówił ani słowa.

Ada, która stała nachylona po tamtej stronie drzwi i zaglądała przez dziurkę od klucza, nie spostrzegła ruchu Milczka. Natychmiast wróciła do pokoju i zwracając się z uśmiechem do niego, zapytała:

— Powiedz mi pan, czy wszyscy mężczyźni są tacy fałszywi jak mój Janek?

Broń, Uczta, Los

Samobójstwo, Głód

³zaindagować (daw.) — zapytać o coś. [przypis edytorski]

⁴dla jakiego powodu — popr.: z jakiego powodu. [przypis edytorski]

Milczek nie odpowiedział, wzruszając ramionami.

— Pytaj mnie o to — wyręczył go Janek. — A może lepiej byłoby, gdybyś ty odpowiedziała, kto z nas jest fałszywy: ja czy ty.

Ada zbladła jak chusta. Pokój zawirował przed jej oczyma. Takiego pytania postawionego znienacka nie spodziewała się. Wyjąkała:

— Pytasz o to serio?

— Tym razem tak!...

W pokoju zaległa męcząca cisza. Wszyscy czuli, że lada moment stanie się coś ważnego, co napawało obecnych uczuciem zgrozy.

Ada czując, że traci grunt pod nogami, próbowała ratować się z opresji:

— Taki to wieczór urządziliście mi dziś — rzekła do Janka z wyrzutem w głosie. — Czy czasem nie przybyliście do mnie już pijani? Bo mówicie od rzeczy!... Zatruliście mi dzisiejszą uroczystość! Robicie na mnie wrażenie ludzi gotowych do zbrodni.

Nikt nie odpowiadał.

— Janku, nie poznaję cię wcale! — zawołała drżącym głosem Ada, kładąc swoją rękę na jego ramieniu. — Co się z tobą dzieje?

W tym momencie u drzwi rozległ się dzwonek. Ada chciała je otworzyć, ale Janek rozkazał:

— Stój! Nie ruszaj się z miejsca!

Ada nie mogła wydobyć głosu. Janek trzymał ją mocno za rękę. Dobijanie do drzwi stawało się energiczniejsze. Janek dał znak Milczkowi, by zobaczył, kto się tak dobija.

Milczek zbliżył się do drzwi, dobijanie się ustało.

— W porządku — wyjaśnił Milczek, sprawdzając, czy ktoś jest w sieni. — Nikogo tam nie ma.

Ada nie mogła dłużej znieść atmosfery. Zawołała:

— Powiedzcie, kto był za drzwiami? Wasza tajemniczość napawa mnie strachem!... Będę wzywała pomocy!... Boję się tu być z wami!...

Ale trzech kompani wybuchnęli śmiechem.

Ada przestała już orientować się w sytuacji. Była bliska obłędu. Płacząc, błagała przyjaciół:

— Przestańcie mnie straszyć!... Dostyc tych nieprzyjemnych żartów. Doprowadzacie mnie do rozpacz. Janku, przestań!

Zebrani byli zachwyceni jej grą; zdążyli się poznać na jej kreciej robocie⁵. Nawet Janek, zakochany w Adzie po uszy, już teraz nie wątpił, że padł ofiarą przebiegłej konfidentki.

Zaledwie przekroczyli próg pokoju Ady, Wilczek i Antek dawali Jankowi tajne znaki, że znajdują się w zasadce i że przybyli tu po to, by jego stąd wyciągnąć.

Chytry Bajgele wytropił w Warszawie prawdziwy zawód Ady i telegraficznie zawiadomił o tym Milczka, by uprzedził Janka o grożącym mu niebezpieczeństwie. Łatwo się domyśleć, że Bajgele i „Zimna kokota” nie mieli potrzeby jechać do Zakopanego. Ada dążyła do tego, by całą bandę zebrać w jednym pokoju i — naraz ich oddać w ręce policji. Nie mogła przewidzieć, że w ostatniej chwili będzie zdemaskowana.

Janek podszedł do Ady i chwycił ją za obie ręce, zatopił ostry wzrok w jej twarzy. Ada, przerażona, wyrwała mu się z rąk, wołając:

— Czego chcesz ode mnie?... Ludzie! Ratujcie!... Janek postradał zmysły!...

Ale Janek nie dał się zbić z tropu.

Przyciągnął ją siłą do siebie i zapytał:

— Kochasz mnie?

— Nie! Jesteś sadystą! Męki zadawane mi sprawiają ci rozkosz! Czegoś się uwziął na mnie?

— Teraz tylko mnie nie kochasz? A przed tym byłaś mniej podła? — huknął na nią Janek.

Ada chciała się skryć do przyległego pokoju, ale Janek przeszkodził jej w tym.

— Siadaj! — rozkazał jej.

Ada posłusznie wykonała rozkaz Janka.

⁵*krecia robota* — podstępne działanie skierowane przeciwko komuś lub czemuś, zawiązanie intrygi. [przypis edytorski]

— Biada mi! Z kim się zadawałam!...

Milczek postanowił przyspieszyć to, co miało nastąpić. Zbliżywszy się do Ady, rzekł z ironią w głosie:

— Czy można panią poprosić o małą przysługę?

— Proszę — uczepliła się Milczka, sądząc, że może Milczek ją uratuje.

— Proszę wszystko zrzucić z siebie! — rzekł Milczek ku uciechu kompanów.

— Co takiego?

— Czemu się pani oburza? Jesteśmy w swoim gronie...

Ada zrozumiała, że igra teraz z ogniem. Nadaremnie spoglądała raz po raz w okno, którędy miano jej dać znak świetlny, że wszystko jest gotowe. Nie mogła pojąć, dlaczego jej ludzie, na których liczyła, nie przychodzili. Intrygowało ją również to, kto mógł przed tym dzwonić u drzwi.

Milczek ponowił swój rozkaz:

— Zrzucić z siebie wszystko!

— Co sobie pan myśli? — odezwała się Ada. — Wódka przemawia przez pana! Jak pan śmie?

Zwróciła się oczyma w stronę Janka, ale ten udawał, że nic nie słyszy ani nie rozumie, bawiąc się rewolwerem. Antek, który nie brał udziału w tej „zabawie”, zajął miejsce przy drzwiach, trzymając w ręku dwa granaty. Ada była bliska oblędu.

— Jak widzę, trzeba panią wiele razy prosić o tę przysługę... — odezwał się Milczek.

— Czego chcecie ode mnie, parszywcy? — zawołała Ada. — Uprzedzam was, że zacznę wzywać pomocy! Zbiegną się tu ludzie. Przypuszczam, że wam specjalnie na zbiegowsku tu nie zależy.

— Proszę tylko spróbować!... Ale uprzedzam, że poradzimy sobie z panią! Ale co tu będziemy się patyczkować: w tej chwili zrzucić z siebie wszystko — rozkazał Milczek.

— Janku!... — zawołała Ada, wyciągając ku niemu dłoń. Ale Janek ani drgnął. Nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. — Już zapomniałeś, czym byłam dla ciebie!...

— Nie zapomniałem, ty podła kobieto! Żmija podstępna!... Paskudny dzień wybrałaś na twoje urodziny!... Będzie to dzień haniebnego zakończenia twojej kariery konfidenta!... Milczek, spełnij twoją powinność!...

— A więc, czy spełnia Pani nasz rozkaz? — spytał ponownie Milczek.

— Czego chcecie ode mnie? — biadała Ada. — Wszystko, co mi zarzucacie, jest kłamstwem. Chcecie się mnie pozbyć, bo jestem wtajemniczona w wasze sprawy. A ty — Ada zwróciła się do Janka — masz mnie już dość!

— Ruszać się! — rozkazał surowo Milczek. — Muszę panią dobrze zrewidować, czy nie posiada pani przy sobie czegoś takiego, co mogłoby się i nam przydać. Zresztą, uprzedzamy, że teraz wykrętami pani nic nie wskóra.

Ada zbladła przy tych słowach. Ujrzała przed sobą śmierć. Resztkami sił, drżąc jak w febrze, zawołała:

— Jestem kobietą i nie macie prawa tego żądać ode mnie! Mogę wejść do przyległego pokoju i wam stamtąd wrzucić moją odzież. Będziecie mogli z nią robić, co się wam żywnie będzie podobało!

Milczek spojrzał na Janka, szukając u niego rozstrzygnięcia, po czym rzekł:

— Dobrze, niechaj i tak będzie. Uprzedzam tylko, by się pani nie imała sztuczek policyjnych. Najlepiej będzie, gdy do przyległego pokoju uda się pani wraz ze swoim kochankiem, Jankiem. Sądzę, że teraz pani godności kobiecej nie stanie się żadna krzywda.

Janek bez ceregieli wepchnął ją do drugiego pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Ada rzuciła mu się do kolan, wołając:

— Ratuj mnie, Janeczku kochany, choćby przez wzgląd na rozkoszne chwile, które spędziliśmy razem, Janeczku! Zlituj się nade mną! Jestem jeszcze tak młoda! Powinieneś mnie zrozumieć! Każdy może w życiu popełnić głupstwo! Prawda, że jestem konfidentką, ale zrobiłam to dla chleba. Jestem biedną dziewczyną. Już pierwszej nocy, którą spędzi-
liśmy razem, mogłam cię oddać w ręce policji, ale tego nie uczyniłam. A wiesz sam, dlaczego tak nie postąpiłam — bo cię gorąco pokochałam!

— Wiem, wiem, że potrafisz świetnie zagrać swoją rolę. Ale chyba nie sądzisz, że jestem taki naiwny, bym akurat teraz uwierzył w twoją szczerość. Nie oddałaś mnie pierwszej nocy w ręce policji, bo chciałaś nas wszystkich za jednym zamachem nakryć. Dobrze

Zdrada, Podstęp, Błądzenie

znam typ kobiet, do których należysz. Wasz talent detektywistyczny wyczerpuje się na rozpuszcie i podłej kokieterii. Sprzedajecie rozkosze nie gorzej od ulicznic. Wstyd mnie ogarnia na myśl, że między nami mogło coś być intymnego.

— Masz rację, najdroższy. Ale przypomnij sobie słowa, które wypowiedziałeś: „przestępcy trzeba dać możliwość wywyższenia się”. Przyznaję się, że jestem konfidentką. Nieszczęśliwa miłość do komisarza policji zaprowadziła mnie na tę drogę nieszczęsną. Daj mi możliwość naprawienia błędu życiowego. Będę ci wierna jak psina. Daruj mi tym razem życie.

Wybuchnęła płaczem. Łkała, Janek nie mógł opanować wzruszenia, które powoli brało w nim górę nad innymi uczuciami. Ale na myśl o tym, że gdzieś na dziedzińcu czekają wspólnicy Ady, by ich żywcem pochwytać, Janek zmienił się radykalnie.

— Zrzuć z siebie wszystko!

— W ten sposób odpłacasz mi się za moją miłość? Przysięgam na Boga, że nigdy cię nie zdradzę. Daruj mi życie.

— Ale kto potrzebuje twego nędznego życia — odparł Janek z pogardą. — Pozwól tylko sobie zrewidować.

Ada odetchnęła z ulgą, usłyszawszy, że jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. W duchu jednak postanowiła przedłużyć te manipulacje. Liczyła, że jednak uda się jej doczekać chwili, kiedy umówieni ludzie z policji zjawią się i przystąpią do aresztowania. Nie zrezygnowała z okazji wypróbowania po raz ostatni swoich wdzięków.

— Oto masz mój rewolwer — rzekła cicho.

— Nosiałś nawet przy sobie broń?

— A oto masz moją oznakę konfidentki. Więcej nic nie posiadam. Proszę, możesz się przekonać...

Liczyła na to, że pod wpływem jej urody Janek złagodnieje i nie zechce jej wyrzucić krzywdy. Ale Janek był zimny jak gład.

— Szkoda twoich zabiegów! — rzucił przez zęby, wściekły na nią, że jeszcze chwytła się ohydnej taktyki. Janek splunął w jej stronę. — Brzydzę się sobą, gdy pomyślę, że mogłem cię tulić i kochać...

Wtem Milczek uchylił drzwi i zawołał:

— Dlaczego to tak długo trwa?

— Bądźcie spokojni — odrzekł Janek. — Tylko raz dałem się wyprowadzić w pole. Dziękuję ci, żeś mi otworzył oczy. A oto masz jej rewolwer i „dyplom” konfidentki.

Janek wepchnął Adę z powrotem do pierwszego pokoju.

Milczek spojrział na Janka i rzekł:

— Sądzę, że mamy dość dzisiejszej zabawy. Co teraz począć z tym fantem? — mrugnął okiem na Adę, która trzęsła się ze strachu.

— Rób z nią, co chcesz. Daję ci absolutnie wolne ręce.

Milczek zauważył:

— Tak, trzeba się czym prędzej pozbyć fantu. Zależy nam na czasie. Musimy się stąd czym prędzej wydostać. Pytanie tylko, czy nam pozwolą stąd wyjść. Podejrzewam twoją ukochaną, że zawczasu pomyślała o tym, byś się z nią nie mógł rozstać. Przecież ona cię tak gorąco kochała — zachichotał.

Janek zaczął krążyć po pokoju wściekły z oburzenia. Zdawał sobie sprawę z tego, że towarzysze nigdy mu nie wybaczą wsypy, gdyby z jego powodu dziś zostali uwięzieni⁶.

W pewnym momencie Janek przystanął i chwyciwszy ją za ramiona, zawołał:

— Ty ohydny kapusiu! Gadaj, ale prawdę: jesteście otoczeni przez twoich psubratów⁷?

Ada uczepliła się tej deski ratunku:

— Wyprowadzę was stąd! Przysięgam, że się wam nic nie stanie! Włos z głowy nawet nie spadnie.

— Zaczekaj chwilę — rzekł Janek. — Zanim zadecydujemy, jak mamy z nią skończyć, muszę wykonać małą operację.

Pogarda

⁶uwięziony — wywieziony pod przymusem. [przypis edytorski]

⁷psubrat (obelż.) — lajdak. [przypis edytorski]

Janek chwycił ze stołu nóż i otworzywszy szafę, zaczął krajać i niszczyć garderobę Ady. Twarz jej krzywił skurcz bólu. Z rezygnacją i w milczeniu przyglądała się, jak Janek niszczył jej suknie i futra.

Następnie Janek podszedł do Ady i zdjął z niej biżuterię, pozostawiając tylko upominki przyniesione przez Milczka i Antka.

— To sobie schowasz na czarną godzinę. Ale wiedz przynajmniej, że to są imitacje, a nie wyroby ze złota ozdobne w drogie kamienie.

Ada nie odpowiadała. Błagała tylko Opatrzność w duchu, by zabawa w zemstę trwała jak najdłużej. Nie traciła nadziei, że policjanci wnet wkroczą do pokoju, a wówczas... Oczywiście miała zwrócone w stronę okna.

— A teraz przystępujemy do roboty! — zawołał Janek. — Ponieważ i nas nigdy nie karano bez wyroku, zaimprovizujemy naprędce mały sąd nad „serdeczną”, moją przyjaciółką. Proponuję, by ją wyrzucić przez okno na podwórze.

— Na którym znajdujemy się piętrze? — zapytał Milczek z zimną krwią. — Ty ją lepiej znasz ode mnie: jest pulchniutka i zachodzi obawa, że jej się nic złego nie stanie.

— Jesteśmy na czwartym piętrze. Wystarczy... — odparł Janek.

— A ja jednak radziłbym załatwić się z nią szybciej i mniej dramatycznie — rzekł Milczek. — Przytrzymałbym ją rękami, a maszynką skończyłbym z nią w ciągu kilku minut.

— Mordercy!... Bandyci!... Ratunku!... Policja!

To Ada w obliczu śmierci zaczęła wzywać pomocy.

Na jej ustach ukazała się biała piana. Jednym skokiem Milczek znalazł się przy niej. Chwycił ją za gardło. Ada stawiała opór. To spadło na Milczka tak niespodzianie, niby grom z jasnego nieba. Ada wyrwała mu się z rąk, a w jej dłoni błysnął rewolwer.

Wszyscy trzej byli zdumieni i oszołomieni. Nie mogli zrozumieć, w jaki sposób ukryła rewolwer, którym teraz się odgrażała.

Zwinnym skokiem Ada znalazła się przy oknie, przez które oddała w ciemności dwa strzały. Szyby z brzękiem spadły na podwórko...

Z ulicy dolatywały odgłosy ostrych gwizdków policyjnych. Milczek celnym wystrzałem z rewolweru roztrzaskał lampę. Pokój zaległy ciemności egipskie. Ada zaczęła histerycznie wzywać pomocy.

Milczek chwycił ją za ręce i siłą zaniósł do okna.

Ada strzeliła kilkakrotnie, ale chybiła. Kopała, gryzła, drapała, krzyczała.

Dwie pary silnych rąk uniosły ją w górę i z całych sił wyrzuciły przez okno.

Do drzwi zaczęła się gwałtownie dobijać policja.

Trzej kompani skryli się do przyległego pokoiku, który stanowił alkowę⁸. Janek pod nieobecność Ady zrobił w suficie otwór, który prowadził na strych, o czym Ada nie wiedziała.

W kilka minut potem znaleźli się na dachu przyległego domu. Tam skryli się na strychu, by później wydostać się na korytarz. Teraz droga do wolności stała przed nimi otworem. Wydostali się wnet na podwórze, a po chwili posuwali się ostrożnie jeden za drugim boczną uliczką.

Pomysł Szczupaka nakrycia bandy przy pomocy pięknej konfidentki zawiódł na całej linii.

ROZDZIAŁ II

Znów nasunął się sezon zimowy. Nadciągała ofensywa. W warszawskim świątku przestępczym panował ożywiony ruch. Z zadowoleniem opowiadano sobie o ostatnich wydarzeniach. Ludzie nocy byli zachwyceni męstwem i pomysłowością Krygiera.

Urząd Śledczy, co prawda, trzymał sprawę Wołkowa w jak największej tajemnicy. Ale w podziemiach doskonale wiadano o tym, że Wołkow postradał zmysły i że przebywa w sanatorium pod Warszawą.

Odczuli resztą zmianę w Urzędzie Śledczym na własnej skórze. Miejsce Wołkowa zajął Szczupak, który dał o sobie znać ludziom nocy. Nazajutrz, po przejęciu urzędu, Szczupak rozpoczął ze światem przestępców zacieklą walkę. Nie było nocy bez obławy.

⁸alkowa (daw.) — sypialnia. [przypis edytorski]

Zdrada, Kara, Zemsta,
Okrucieństwo

Ucieczka

Areszty policyjne były przepełnione. Również do więzień trafiły setki osób, które żyły się z myślą, że pozostaną na wolności.

O Janku, Milczku, Antku i Adzie w Warszawie niewiele wiadomo. O zajściu w Zakopanem krążyły wśród ludzi nocy liczne opowieści. Co do jednego szczegółu świat przestępczy był zgodny: nie ulegało dla nich wątpliwości, że uciekli oni wraz z Krygierem za granicę.

Również Bajgele i „Zimna kokota” zniknęli bez śladu. Zdali oni sobie w porę sprawę z tego, że najwyższy czas rozstać się z Warszawą.

Karpie głowy światka warszawskiego nie brały udziału w zimowym sezonie. Nastaly czasy dla podrzędnych rzeźmieszków. Największą sensacją było, że w Warszawie ustały groźne włamania połączone z rozpruwaniem kas ogniotrwałych. Policja jednak nie zrezygnowała z postanowienia zlikwidowania bandy rozpruwaczy.

Banda ta miała na swoim koncie długą listę zbrodni: kilka olbrzymich włamań, zabójstwa (zamordowany policjant w nocy ograbienia hrabiny, zastrzelony Felek oraz uroczą konfidentka, która przebywała w szpitalu bez rąk i nóg).

Szczupak rozesłał po całej Polsce listy gończe z fotografiami uczestników bandy Krygiera. Poprzysiął w duchu, że nie odpocznie w pościgu, póki ich nie wytropi.

O Wołkowie miał swoje zdanie. Ale nie umiał rozwiązać zagadki: w jaki sposób to się stało, że Krygier uciekł z celi aresztu, a tam — w celi — znaleziono Wołkowa w stanie obłąkanym...

Szczupak robił sobie wyrzuty, że od razu nie skierował Krygiera do więzienia, skąd nie mógłby z taką łatwością uciec. Miał jeszcze jeden powód, dla którego nie powinien zbyt wiele badać tajemnicy: sam miał taki wypadek... Czyż nie przebywał w piwnicy ze związanymi rękami i nogami? Może i Wołkowi coś takiego się przydarzyło?

Od Wołkowa nie mógł niczego się dowiedzieć. Od krytycznej nocy zmienił się nie do poznania. Na wszystkie pytania odpowiadał głupkowatym uśmiechem, szepcząc po cichu niezrozumiałe dla nikogo słowa.

Wszystkich uderzał fakt, że Wołkow nikogo nie poznawał i nikt nie potrafił wzbudzić w nim zainteresowania. Nawet żony i dzieci nie poznawał, spoglądając na nich obojętnym wzrokiem. Stał się bogobojny. Dni i noce spędzał na modlitwie. Bywało, że budził się w nocy, biegał po osobnej celi. Twarz jego przybierała surowy wyraz. Wydawał ostre rozkazy. Znowu grał rolę komisarza. Ale po kilku minutach chował się pod łóżko. Płakał. Groził. Błagał.

Psychiatrzy, którzy mieli Wołkowa pod obserwacją, jednogłośnie orzekli, że jest nieuleczalnie chory. Ustalili, że trapią go wyrzuty sumienia, prześladowają go różne wizje, ale odcyfrowanie tego, co się rozgrywało w jego umyśle, było niemożliwością.

Jedynym człowiekiem, którego umiał rozpoznać, był Szczupak. Na jego widok Wołkow odzyskiwał jakby przytomność umysłu. Lekarze nie mogli sobie tego wytłumaczyć. Wołkow na widok Szczupaka zbliżał się do niego, zatapiał w nim wzrok, jakby mu czynił ostre zarzuty. Szczupakowi robiło się nieswojo. Postanowił wreszcie zaniechać dalszych odwiedzin Wołkowa w sanatorium.

Po wypadku w Zakopanem Szczupak postanowił trzymać się na baczności i zachowywać się z większą ostrożnością. Jedynie przypadkowi miał do zawdzięczenia, że jego plan nie powiódł się. Samochód, którym Szczupak mknął wraz z towarzyszami do Zakopanego, by na daną wiadomość przez konfidentkę za jednym zamachem zlikwidować całą bandę, uległ uszkodzeniu. Gdyby nie dwugodzinne opóźnienie z powodu defektu w aucie Janek z kompanami byłoby już za kratami. Na myśl mu nie przyszło, że chytry Bajgele zawczasu dowiedział się o tym i uprzedził swoich towarzyszy.

Bajgele, który również był zaproszony przez Adę na uroczystość, nie odpoczął, póki nie skontrolował podejrzeń, powziętych pod jej adresem. Od pierwszej chwili nie wierzył, że jest artystką filmową, za którą się podawała.

Szczupak wybierał się za granicę, gdzie wedle otrzymanych przezeń wiadomości miała przebywać ścigana banda.

Pewnej nocy, gdy zmęczony wrócił późno do domu, zabrzączał na nocnym stoliku telefon.

— Czy to pan komisarz? — pytał głos kobiecy.

— Tak jest. Kto mówi?

Choroba, Szaleństwo

— Dobry wieczór panu komisarzowi. Tu mówi kobieta, która ma panu do zakomunikowania wiele bardzo ważnych rzeczy.

Słowo „ważne” zelektryzowało komisarza.

— Czy mogłaby mi pani podać swoje nazwisko lub inne szczegóły dotyczące pani osoby?

— Telefonicznie, niestety, nie mogłabym. Musielibyśmy się spotkać osobiście.

— Proszę mi wyznaczyć spotkanie — rzekł komisarz Szczupak.

— Mogę przyjść tylko do takiego lokalu, gdzie uczciwej kobiecie wypada spotkać się z mężczyzną — oświadczyła kobieta z uśmiechem.

Szczupak chciał sobie przypomnieć, skąd zna ten głos, ale nadaremnie.

— Proszę bardzo. Zgadza się na wszystko, tylko czy mogę wiedzieć, jakiej to sprawy dotyczy?

— Zapewniam pana, że moje wyjaśnienia przyczynią się do wykrycia afery, którą pan się tak przejmuje. Ale telefonicznie nie mogę udzielić panu tych wyjaśnień.

— Jestem do pani dyspozycji — rzekł Szczupak zdecydowanym tonem.

— W takim razie będę pana oczekiwała jutro o dziesiątej na Placu Teatralnym przed operą.

— Jak panią poznam?

— Mężczyźni twierdzą, że jestem piękna. Zapewne i pan mnie wyróżni swoją męską spostrzegawczością — zawołał kobiecy głos w tubie telefonicznej. — Panie komisarzu, pan na pewno nie pożałuje tego spotkania ze mną.

Szczupak przez dłuższy czas nie mógł zasnąć po rozmowie z tajemniczą damą.

Na nowym odpowiedzialnym stanowisku Szczupak czuł się nie bardzo pewny siebie. Władze przełożone spodziewały się z jego strony nadzwyczajnych sukcesów. Z natury był człowiekiem małowównym i skromnym. Nie lubił chwalić siebie i opowiadać o swoich nadzwyczajnych sukcesach, co tak charakteryzuje detektywów.

Jego zdaniem zrobił wiele w ciągu swego urzędowania. Dzięki odrębnemu sposobowi urządzania obław udało mu się zlikwidować najważniejsze meliny, w których zbierali się czołowi przedstawiciele świata podziemnego dla omówienia planów działalności na najbliższą przyszłość. Niejedną poszukiwaną „osobistość” udało mu się w ten sposób wyłowić i osadzić w więzieniu. Również zmniejszyła się liczba kradzieży. Przy pomocy konfidentów Szczupak zawczasu demaskował plany świata przestępczego. Nic nie pomogły triki włamywaczy, którzy wynajmowali uczciwych ludzi do przenoszenia narzędzi zbrodni. W podziemiach panowała panika. Groziła im kompletna utrata zarobków.

Bajgele na ten okres odgrywał wybitną rolę wśród ludzi nocy. Wybrany przez komitet trzynastu na miejsce garbatego, opuścił Warszawę i przeniósł się do małej miejsciny na Polesiu⁹, skąd wysyłał swoje instrukcje. Ale jego zalecenia nie nadawały się do nowo wytworzonej sytuacji. Ludzie nocy buntowali się i żądali detronizacji Bajgele i przywrócenia do byłej godności przykutego do łoża garbatego. Ten „rebe”¹⁰ złodziei powoli wycofywał się ze świata przestępczego. Tylko nieliczni zwolennicy jeszcze przesiadywali w jego norze, przysłuchując się jego wywodom i naukom.

Garbaty wiedział o wyczynach Krygiera i o klęsce Wołkowa. Nie chciał tylko słyszeć imienia Klawego Janka. Nie mógł mu wybaczyć, że upatrzył sobie córkę złodzieja i jego dawnego przyjaciela Staśka Lipy za narzeczoną. Ale dużo przyjemności sprawiło mu opowiadanie o odważnej ucieczce Klawego Janka z kompanami w Zakopanem.

Garbaty sam wskazał na Bajgele jako na swego godnego następcę. Miał dość tej feryjny. Wolał cały czas spędzać na modłach i bogobojnych rozmyślaniach.

Ale oto pewnej nocy, kiedy garbaty prawil zebranych zwolennikom morały, naraz drzwi jego pokoju rozwarły się i wtargnęła policja. Na czele wywiadowców stał Szczupak. Nałożyli oni momentalnie zwolennikom „rebe” kajdanki na ręce, a spod poduszki garbatego zabrali portfel, wypchany pieniędzmi, notes z uwagami i paczkę różnych dokumentów. Szczupak zlikwidował „rezydencję” garbatego, założyciela zakonu „Rozpruwaczy”.

⁹Polesie — kraina geograficzna i historyczna leżąca głównie w granicach obecnej Białorusi i Ukrainy, częściowo na terenie Polski i Rosji. [przypis edytorski]

¹⁰rebe — nauczyciel. [przypis edytorski]

Fakt ten wstrząsnął światem ludzi nocy, którzy powzięli zamiar pozbycia się Szczupaka. W tym celu odbyła się wielka narada trzynastu, w wyniku której Bajgele wydelegował „Zimną kokotę” do wykończenia Szczupaka. Ona chętnie podjęła się tej misji.

„Zimna kokota” chciała się zrehabilitować w oczach ludzi nocy, którzy pamiętali, że utrzymywała bliskie stosunki z komisarzem Wołkowem...

Obudziła ona w nocy Szczupaka, telefonując doń, że ma mu coś ważnego do zakomunikowania.

Punktualnie o godzinie dziesiątej rano Szczupak przybył na umówione miejsce spotkania. „Zimna kokota” zbliżyła się doń pewnym krokiem, witając go dobrze wypróbowanym uśmiechem, który działał na mężczyzn zabójczo...

Szczupak musiał przyznać w duchu, że jest uroczą.

— Czym mogę pani służyć? — zapytał Szczupak służbowo niemal.

„Zimna kokota” wybuchnęła śmiechem:

— Tylko nie tak ostro, panie komisarzu. Musi pan na chwilę zapomnieć o swoim mundurze. Nie lubię mężczyzn brutalnych.

— Po co pani mnie tu wzywała? By czynić mi uwagi? — Szczupak zaczął się denerwować.

— Jeżeli pan zamierza do mnie przemawiać takim tonem, rozstańmy się natychmiast. Inaczej sobie wyobrażałam nasze zetknięcie się i osobiste poznanie. Przedstawiłam sobie pana, piastującego tak wysoką godność, jako człowieka cierpliwego, kulturalnego, taktownego, co najmniej uprzejmego wobec kobiety...

Szczupak nie wierzył własnym uszom. Jak śmiała ta nieznajoma wzywać go tutaj po to, by go strofować? Ta zuchwałość intrygowała Szczupaka.

— Więc czym mogę pani służyć? — ponowił Szczupak pytanie, starając się te słowa wypowiedzieć łagodnie.

— Na wstępie zaproszeniem na kawę z ciastkami — odrzekła, uśmiechając się zalotnie.

Szczupak przyglądał się jej z rosnącym zainteresowaniem.

Pięknie skrojony kostium angielski leżał na jej zgrabnej figurze niby ulany. Srebrny lis, który zdobił jej kostium, dodawał wiele gracji.

„Zimna kokota” stwierdziła z zadowoleniem, że od pierwszego wejrzenia wywarła na Szczupaku dobre wrażenie. Intuicją kobiecą wyczuła, że jej plan uda się całkowicie. Postanowiła nie dać mu ani czasu, ani możliwości uwolnienia się od czarnej, jak na nim wywierała. Bezceremonialnie ujęła go za ramię i skierowała się w stronę Wierzbowej.

Szczupakowi jej zachowanie wydawało się podejrzane. Pozwolił prowadzić siebie, dokąd chciała, ale w duchu postanowił zachować ostrożność. Wiedział coś nieco o tym, że jego poprzednicy, zarówno Żarski, jak i Wołkow, dlatego skończyli tak marnie, że zadawali się z kobietami, które doprowadziły ich do upadku.

„Zimna kokota” zaprowadziła Żarskiego do jednej z cukierni w tej okolicy, które o tej porze były puste. Zamówiła dla siebie i dla Szczupaka dwie „pół czarnej”. Usiadła w takiej pozycji, by Szczupak mógł podziwiać jej piękną linię ciała. Zarzuciła szarmancką różkę na różkę. Szczupak poczuł po grzbiecie dziwny, lekki dreszcz rozkoszy.

Szczupak czuł, że ta kobieta wywiera nań coraz silniejszy wpływ. Postanowił temu przeciwdziałać.

— Ciekaw jestem, co mi pani ma tak zajmującego do opowiedzenia, że uważała nawet za wskazane dzwonić do mnie w nocy.

„Zimna kokota” przysunęła się bliżej do komisarza tak, że kolana jej oparły się o jego nogi.

Szczupak bał się dziwnie kuszącego aromatu, który bił od „Zimnej kokoty”.

— Jak widzę — ciągnął dalej Szczupak — pragnie mnie pani zainteresować raczej swoją osobą, a nie rewelacyjnymi doniesieniami na pewien temat... Tu nie miejsce na flirt.

„Zimna kokota” odpowiedziała na słowa Szczupaka śmiechem.

— Ten śmiech jest mi znany. Również gdzieś musiałem panią widzieć. Ale szkoda czasu na tego rodzaju rozpamiętywanie. Jestem, niestety, bardzo zajęty. Musimy przystąpić do sprawy... Jeżeli ma mi pani coś do zakomunikowania...

Uroda, Kuszenie, Kobieta
demoniczna

„Zimna kokota” naraz spoważniała. Dokończyła palenie papierosa i przyjąwszy poważny wyraz twarzy, rzekła:

— Panie komisarzu, jeżeli dziś pan piastuje tak wysoką godność, nie mała moja w tym zasługa.

— Nie rozumiem pani.

— Zaraz panu to przypomnę. Czy pamięta pan, jak to było przed kilkoma tygodniami, że leżał związany w piwnicy?

Szczupak chwycił ją za rękę:

— Skąd pani o tym wie? Kim pani jest? I kto pani opowiadał o tym wydarzeniu?

„Zimna kokota” flegmatycznie zapaliła drugiego papierosa i rzekła spokojnie:

— Mnie pan zawdzięcza swoje życie. Ja pana wówczas uratowałam.

— Pani? — spytał zdziwiony Szczupak.

— Tak, mnie pan ma do zawdzięczenia swoje ocalenie. Jak pan się domyśla, należę do ludzi nocy... Nazywają mnie „Zimna kokota” — roześmiała się cynicznie. — Tak, „Zimna kokota”. Czy pan, panie komisarzu, już słyszał o podobnym pseudonimie kobiecym?

Szczupak przypatrywał się jej z rosnącym zainteresowaniem. Teraz zrozumiał, dlaczego jej dziwny śmiech był mu skądinąd znany. Zaimponowała mu szczerym przyznaniem się do przynależności do świata przestępczego.

Szczupak przemówił do niej łagodniejszym tonem:

— A więc to pani na nich wpłynęła, by mnie nie skrzywdzono. Ale może mi pani wytłumaczyć, co za związek z tamtym wypadkiem miał pani cyniczny śmiech, który kilkakrotnie podchwytываłam? Z kogo pani wówczas szydziła, czy czasem nie ze mnie?

— Panie komisarzu, z tymi ludźmi można wszystko zrobić, ale w pogodnym i wesołym nastroju. Miałam trudną przeprawę z ukochanym, od którego decyzji zależało wówczas pańskie życie.

— W imię czego pani to uczyniła?

— We własnym interesie.

— Jak to mam rozumieć?

— Gdy zobaczyłam pana związanego i bezradnego w piwnicy, litość we mnie wezbrała, postanowiłam pana uratować. Po drugie, wiedziałam, że przyjdzie czas, kiedy będę potrzebowała pańskiej pomocy... Wiele słyszałam o pańskich talentach. Wiedziałam, że prędzej czy później będzie pan następcą Wołkowa. Takie stosunki zawsze mogą się przydać.

— Pani znała Wołkowa? — zapytał Szczupak.

— Oho!...

Szczupak zastanowił się przez chwilę, po czym zapytał:

— Skąd pani znała Wołkowa i w jaki sposób zbliżyła się pani do niego, o czym wolno mi przypuszczać, sądząc z pani odpowiedzi?

— Pan staje się zazdrosny? — znów roześmiała się „Zimna kokota”. — Wołkow miał być moim kochankiem — rzuciła bez żenady.

— Wołkow?

— Co w tym dziwnego? Alboż jestem brzydką kobietą?...

— O, nie! Tego bym nie powiedział. Przeciwnie, pani uroda jest odurzająca, ale pani rozumie: on — komisarz policji, a pani — no, przecież pani sama przyznała tu, że należy do innego świata.

— Czy mogę z panem mówić otwarcie i bez ogródek, panie komisarzu?

— To jest moim najgorętszym życzeniem. Proszę być ze mną szczerą. Wszak pani mi uratowała życie.

Komisarz Szczupak uśmiechnął się i przysunął bliżej do rozmówczyni.

— Wołkow — cedziła teraz „Zimna kokota” każde słowo — chciał uczynić ze mnie swoją nałożnicę. No, podkochiwał się we mnie.

— A pani była względem niego obojętna?

— Gdy się kocha złodzieja, nie można jednocześnie być kochanką komisarza policji. Pan komisarz przecież mówił teraz o innym świecie...

— Czy wolno panią zapytać o to, kto był pani przyjacielem spośród ludzi nocy?

— Kławy Janek. Jego prawdziwie kochałam!

— A teraz?

Miłość, Złodziej

— Teraz — „Zimna kokota” zacisnęła ze złością swoje piąstki — jestem jego zaciętszym wrogiem od was, wszystkich policjantów. Najpiękniejszym dniem w moim życiu będzie ten, kiedy Janek zawisnie na szubienicy.

Szczupak przeniknął ją spojrzeniem, jakby chciał sprawdzać, czy czasem nie gra komedii.

— Rozumiem teraz, dlaczego pani do mnie dzwoniła. Kierowało panią uczucie zemsty. Ale dlaczego naraz chce się pani na nim mścić?

— Zdradził mnie, podły! I na domiar złego nakazał, bym była Wołkowowi uległa...

— I Wołkow, komisarz policji, pozwolił sobie na to?...

„Zimna kokota” zmierzyła go ironicznym spojrzeniem od stóp do głowy i rzekła:

— Czy komisarz policji nie jest samcem?

Szczupak w duchu rozmyślał nad wyznaniem przybyłej. Niejednokrotnie przekonywał się w czasie długiej praktyki policyjnej, ile usług kobiety oddały policji w walce ze zbrodnią i przestępstwem. Małoż to razy wysłuchiwał zeznań żon czy kochanek przestępców, które ujawniały kryjówki poszukiwanych zbrodniarzy? Dlaczegoż by „Zimna kokota”, która, jak twierdzi, była kochanką herszta bandy, miała nie przysłużyć się w wytropieniu tej szajki? Taka może więcej potrafi od całej brygady konfidentek.

Po klęsce z Adą w Zakopanem komisarz Szczupak zrezygnował z usług konfidentek. Bolał nad losem Ady, wobec której nie był obojętny.

Obserwując „Zimną kokotę”, Szczupak w duchu przyznał, że Wołkow miał gust...

„Zimna kokota” była w okresie najbujniejszego pokwitania kobiecego. Po smutnych przeżyciach odzyskała równowagę duchową i fizyczną. Bajgele opiekował się nią jak rodzoną córką. Czarowała wszystkich swoją urodą i kobiecością. Znała swoją wartość i nie uległa się decyzji ludzi nocy, którzy powierzyli jej misję uczynienia Szczupaka powolnym narzędziem.

Nie trzeba było jej udzielać pouczeń, jak winna zabrać się do roboty. Złodziejką nigdy nie była. Natomiast niejednokrotnie wypadało jej w życiu wypróbować na opornych mężczyznach swoją siłę kusicielską. Ten proceder stał się u niej z czasem grą hazardową. Im obojętniejszy był wobec niej mężczyzna, tym silniej dążyła do jego zdobycia. Wyczuła, że ze Szczupakiem sprawa nie pójdzie tak gładko. Widziała w nim twardy orzech do zgryzienia. Szukała jego słabej strony... I dlatego rozpoczęła od sprawy, którą można było go, jako komisarza policji, zainteresować.

— A więc mam rozumieć pani słowa jako chęć oddania nam swoich usług? — zapytał Szczupak po pewnym namyśle, nie spuszczać przy tych słowach oka z twarzy „Zimnej kokoty”, jakby nie chciał uronić najmniejszego drgnięcia. — Jakie pani stawia warunki zapłaty?

Szczupak, znając ludzi nocy, wiedział, że bez zapłaty niczego nie zrobią, nawet okiem nie mrugną. Nie ufał zbytnio jej pragnieniu zemsty. Był pewny, że „Zimna kokota” ma w tym także interes materialny.

— Nie mam zamiaru być pańską płatną konfidentką — odparła „Zimna kokota”. — Proponuję panu interes na wzajemnych zasadach, który by się nam jednakowo opłacał.

Jej zbyt szczerą propozycją dotknęła Szczupaka, jego uszy policyjne nie mogły obojętnie wysłuchać propozycji, trącającej zbyt przejrzyście przekupstwem. Szczupak był bardzo daleki od łapówek, w jakiegokolwiek formie byłyby mu one uczynione.

— Ze mną — uśmiechnął się Szczupak — niestety trudno jest zawierać transakcje handlowe. — A jednak gotów jestem wysłuchać, na czym polega pani propozycja. Mam wrażenie, że pani jest więcej człowiekiem interesu niż kobietą...

— A czyż być urodziwą kobietą to zły interes? Ale zaznaczam na wstępie, że nie przybyłam tu, by pana przekupić, jestem także daleka od tego, by usidlić pana jako kobietę i w ten sposób ułatwić sobie wykonanie planu. Moją ambicję stawiam ponad wszystko. Pragnę zemsty!

„Zimnej kokoty” nie trzeba było pouczać, jak ma postępować. Znała wszechstronnie arkanę sztuki dyplomacji kobiecej. Wiedziała z doświadczenia, że im silniej atakować będzie mężczyznę, tym będzie oporniejszy.

— Na kim chce się pani zemścić i w jaki sposób?

— Jeszcze nie mam dokładnie opracowanego planu. Nad tym musiałabym się zastanowić. Oni są zbyt przebiegli i chytrzy, by ich łatwo można było przylapać. Mam

Kobieta

Kobieta demoniczna, Uroda

Interes, Zemsta, Kobieta
demoniczna, Uroda,
Ambicja

wrażenie, że pan, panie komisarzu, niejednokrotnie mógł się o tym przekonać. I pan zapewne był pewny, że w Zakopanem wszystko pójdzie jak po maśle, a jednak...

Roześmiała się. Komisarz wyczuł z jej śmiechu zadowolenie. Odezwał się:

— Jak widzę, pani jest o wszystkim dobrze poinformowana.

— Oho!...

— O czym pani jeszcze jest tak świetnie poinformowana? — zapytał komisarz Szczupak. — Jestem tego bardzo ciekaw — dodał poufnym tonem.

— Sądzę, że na dziś starczy, innym razem znów panu coś powiem. Niech mi pan lepiej powie, czy chce pan skorzystać z mojej słabości i żądy zemsty nad tym, którego kochałam, oraz z mojej przyjaźni?

— Czy pani to mówi poważnie?

— Dziwi mnie pańskie pytanie.

— Bo my jesteśmy z zasady w takich wypadkach powściągliwi i ostrożni — wyjaśnił Szczupak.

— Pewnie — uśmiechnęła się „Zimna kokota”.

— Co oznacza pani tajemniczy uśmiech? — Szczupak poczuł się dotknięty.

— Pan chce za jednym razem dowiedzieć się więcej, niż można.

— Muszę wiedzieć o wszystkim, do czego obowiązuje mnie stanowisko urzędowe.

— I o niczym więcej? — uśmiechała się teraz do niego kokieteryjnie.

— Pani od pierwszej chwili przemawia do mnie dwuznacznikami.

— A pan do mnie nie?

— Już od dawna zdecydowałem, że z kobietami nie prowadzę dyskusji.

— Nawet z takimi kobietami jak ja?

— Pani jeszcze nie znam dobrze.

— Ale pan chciałby mnie lepiej poznać?

— Zależy. — Wyprostował się, jakby chciał być wyższy, niż jest w rzeczywistości.

— Od czego? — podchwyciła „Zimna kokota”.

— Od tego, czy można mieć do pani zaufanie — odparł Szczupak.

— A czy do pana, panie komisarzu, można odnieść się z ufnością?

— Pani mnie obraża... Pani zapomina, że rozmawia z komisarzem policji.

— Przeciwnie, pamiętam, że przede mną stoi wszechpotężny komisarz policji — rzekła nie bez ironii. — I dlatego zachowuję ostrożność.

— Więc, używając pani stylu, czy zawrzemy interes?

— Na dziś wystarczy — rzekła „Zimna kokota”, dając jednocześnie znak kelnerowi, że chce uiścić należność za konsumpcję.

Szczupak wyprzedził ją z zapłatą należności.

— A więc pani chce spotkać się ze mną jeszcze raz? — spytał komisarz.

— A pan niby nie chce?... — roześmiała się. — Przybyłam tu, by zawrzeć z panem znajomość, a nie ją zrywać... Pan, panie komisarzu, spodobał mi się jako mądry człowiek, a nie jako mężczyzna.

Ta uwaga zaboląła Szczupaka. Odezwał się:

— Byłbym rad, gdyby pani teraz od razu wyznała wszystko, co wie. Szkoda czasu.

— Jak to? Pan już nie chce się ze mną spotkać?... Nie zainteresowałam pana swoją osobą?

— Jako kobieta, nie — odplacił się jej Szczupak. — Jako konfidentka — musiałbym się jeszcze o tym przekonać.

„Zimna kokota” podała mu szybko rękę i uśmiechając się, rzekła:

— Jeszcze się spotkamy, panie komisarzu! Dziś o dziesiątej wieczór oczekiwać będę pana na tym samym miejscu. Pa!

Oddaliła się szybkim krokiem.

Szczupak miał ochotę zatrzymać ją, skierować do Urzędu Śledczego, by tam poddać badaniu. W krzyżowym ogniu pytań wyjawiał wszystko. W ostatniej chwili zrezygnował z tej myśli. Nie chciał, by w Urzędzie Śledczym dowiedziano się o jego przejściu w suterynie Krygiera. „Zimna kokota” mogłaby o tym powiedzieć. Najadłby się wstydu.

Szczupak skierował się do Urzędu Śledczego. Na swoim biurku znalazł plikę papierów, pism i ważnych dokumentów, które czekały na jego podpis lub załatwienie.

Zabrał się energicznie do roboty. Ale nie mógł skupić myśli. Wbrew woli i wysiłku nie mógł uwolnić się od wrażenia, jakie na nim wywarła „Zimna kokota”. Chwilami zdawało mu się, że ona jest tuż przy nim. Ciągnęło go ku niej. Wstydział się tych uczuć i myśli, ale zwalczyć ich nie był w stanie. „Zimna kokota” miała w sobie coś takiego, co przyciąga jak magnes. Umiała wkradać się do myśli mężczyzny i nie dawać mu długo o sobie zapomnieć.

— Ta banda umyślnie nasłała mi tę kokotę, by mnie dostać w swoje podstępne sieci. Ale ja to nie Wołkow. Mnie nie wezmą na ten kawał.

Znów pożałował swego kroku, że nie zatrzymał „Zimnej kokoty”. Nie był zadowolony także z tego, że odbył z nią poufne spotkanie. Nie miał teraz żadnych wątpliwości, że „Zimna kokota” miała za zadanie skompromitowanie jego osoby i unieszkodliwienie go w ten sposób.

Nie był zdolny do dalszej pracy. Znów odżywały w nim fragmenty spotkania z „Zimną kokotą”. Przypominał sobie, jak uwodzicielsko spoglądała na niego, jak zbliżała się do niego kolanami. Ale zdawał sobie przy tym sprawę z tego, że to nie były odruchy nieświadome z jej strony, lecz działanie z rozmysłem.

Rozmyślał w dalszym ciągu nad jej urodą. Pamiętał o tym, że swoją prezencją nie mógłby kobiecie zaimponować: jest niskiego wzrostu, ma twarz pokrytą piegami, niepozorny. Mimo woli czuł się dobrze z myślą, że „Zimna kokota”, urodziwa niewiasta poluje na niego. Wyczuł to od razu, ale nie mógł wyjaśnić, w jakim celu to czyniła.

Nie mógł uwierzyć w jej oświadczenie, że pragnie zemsty na Klawym Janku, gdyż brakło w tym logicznego związku. Sama chwaliła się, że należy do ludzi nocy, a teraz pragnie ich zdradzić... Tu musi tkwić podstęp.

Znów zabrał się do roboty, ale i tym razem mu nie szło. Oczarował go uśmiech „Zimnej kokoty”. Zerwał się z fotela, by przechadzać się ostrym krokiem po gabinecie.

— Nie, nie, nie! — zawołał na głos. To karcił siebie za myśli, które go odrywały od powinności. — Jesteś piękna, uwodzicielska, kusicielska, ale nie odprowadzisz mnie od postanowienia zlikwidowania i wytepienia tej bandy!

Z powrotem zajął miejsce w fotelu i energicznym ruchem nacisnął guzik dzwonka. Do pokoju wszedł policjant, stojący na warcie przed gabinetem.

— Proszę pojeńdźczo wprowadzić zatrzymanych dziś w melinie na Smoczey — Szczupak wydał rozkaz.

Niedługo trwało, a drzwi gabinetu Szczupaka otworzył się i na progu stanął wysoki, rosły arestant z paletkiem przerzuconym na rękę, jakby był gotów do podróży. Wprowadzony przez policjanta zatrzymał się przed biurkiem komisarza. Obaj, policjant i arestant, czekali na to, by komisarz uniósł głowę do góry.

Szczupak, spostrzegłszy arestanta, zawołał:

— Oho, kogo tu widzę? Jak pan do nas trafił?

Arestowany uklonił się i z szelmowskim uśmiechem odparł:

— To nie moja wina, panie komisarzu.

— A czyja? — spytał Szczupak.

— Pańskich ludzi, którzy mnie zatrzymali.

Szczupak, śmiejąc się, rzekł:

— Pewnie... Jak widzę, nie pozbył się pan humoru. Już dawno, jak pan przybył do Warszawy?

— Kilka dni.

— A po co pan właściwie wrócił do Polski? Przecież pan operował za granicą?

— Stęskniłem się za ojczyzną.

— Taki z pana patriota?

— Zawsze człowieka opanowują solidne uczucia.

— Doskonale. Siadajcie — rzekł Szczupak.

— Mam czas na to, by „siedzieć”...

— Ślusznie. I ja jestem tego zdania. Ale możecie usiąść na razie... Chciałbym z wami pogadać. Jak się powodziło w Londynie?

— Świetnie, panie komisarzu. Oby nie gorzej w Warszawie.

Szczupak dał znak policjantowi, aby wyszedł z gabinetu.

Aresztowany poruszał się nerwowo na krześle. Widać było, że jego humor jest sztuczny. Zapytał w pewnym momencie:

— Za co mnie zatrzymano?

— A co robiliście w melinie u garbuska?

Aresztowany przyjął zdumiony wyraz twarzy:

— Przybyłem do tego starca w odwiedzin. Jest samotny, chory, opuszczony. Kto by to się spodziewał, że tego chorego staruszka traktujecie jeszcze jako zbrodniarza? Od wielu lat jest przykuty do łóżka i nie jest zdolny do żadnego czynu.

— Ten staruszek na pewno nie jest zdolny — uśmiechnął się Szczupak.

— A jeżeli chodzi o mnie, od dawna zarzuciłem fach złodziejski. Przekonałem się, że jest nieopłacalny.

— Zbyt późno doszliście do tego wniosku. Ale mamy jeszcze stare rachunki do wyrównania.

— Stare rachunki? — zdziwił się badany. — Nie wiem, o co chodzi.

— Ale my wiemy. Może sobie przypominać włamanie do sklepu jubilerskiego na Marszałkowskiej przed pięciu laty?

— Pojęcia nie mam o tej kradzieży. Tu zachodzi nieporozumienie albo pomyłka, panie komisarzu.

— Nie mylę się — odparł Szczupak. — Odpocznijcie sobie za kratkami, to i pamięć będzie lepiej służyła. Zresztą, nie dziwię się, że pan o tej kradzieży zapomniał. A to jest dług!

— Kto dziś płaci długi? — roześmiał się aresztowany. — Tym bardziej, że nie przypominam sobie podobnej roboty.

Komisarz Szczupak zastanowił się przez chwilę, po czym zapytał:

— Chcecie odzyskać wolność?

— Któż by tego nie chciał? Słońce tak pięknie świeci, ptaszki ćwierkają w sadach i ogrodach, na świecie jest tak rozkosznie i przyziemnie — któż by to chciał powędrować za kraty? Popęłniłby pan największy grzech, gdyby mnie pan uwięził za zadawnione grzechy.

— Podobacie mi się. Jesteście zawsze pogodnie nastrojeni. Wasza wesołość rozbija mnie. Ale jeden warunek stawiam.

Aresztowany posmutniał przy ostatnich słowach. Wiedział z doświadczenia, że złodziej z charakterem nie może uczynić zadość warunkom policji...

— Dlaczego milczycie? — pytał komisarz. — Nie uśmiecha się wam wolność?

— Czego pan komisarz pragnie się ode mnie dowiedzieć?

— Drobnostki. Powiedźcie mi, czy znacie kobietę, którą w waszym świecie przezywają „Zimną kokotą”?

Aresztowany wybałuszył oczy na znak zdumienia i rzekł:

— Nie rozumiem, o co chodzi.

— Tylko nie udawaj Greka — odparł komisarz.

— Naprawdę nie wiem, o kogo chodzi. Po raz pierwszy słyszę o podobnym przydomku kobiecym.

— A o Klawym Janku także słyszycie po raz pierwszy?

Badany wstał z miejsca i cedząc każde słowo z osobna, odpowiedział:

— Kapusiem nigdy nie byłem i nie będę. Panie komisarzu, pan źle trafił, jeżeli chodzi o moją osobę.

— A więc wolicie odpocząć w celi więziennej?... Trudno. Chociaż przyznaję, że za takiego głupca was nie uważałem.

— Może pan robić, co mu się żywnie podoba.

— Czy to wasze ostatnie słowo?

— Tak. Nigdy nie zdradzam moich towarzyszy.

Komisarz nacisnął guzik dzwonka. Wszedł policjant.

— Odprowadzić do celi, skąd aresztanci będą odtransportowani do więzienia.

Aresztowany zmierzył komisarza od stóp do głowy i rzekł z przesadną elegancją:

— O ile pan komisarz ma nadzieję, że w celi więziennej rozwiąże mi się język, tkwi w błędzie.

— Przekonamy się o tym później. A teraz — do celi.

Złodziej, Kradzież,
Więzienie, Pamięć

Złodziej

Szczupak należał do tych ludzi, którzy pamiętają twarz, choćby raz oglądaną, przez całe życie. Był chodzącą encyklopedią wydarzeń policyjnych. Dobrze znał jegomościa, którego przed chwilą odesłał do celi więziennej. Aresztowany należał do typu przestępców, którzy długo potrafią ukrywać się przed okiem policji.

Drzwi gabinetu Szczupaka znów się otworzyły. Jegomość w ubraniu robotniczym stanął z respektem przed biurkiem komisarza.

— Olek? — zawołał zdumiony Szczupak na widok przybyłego. — Nie do twarzy wam w bluzie robotniczej.

— Cóż zrobić? Takie czasy. Musiałem się zabrać do roboty.

— Do jakiej roboty? — zagadnął z uśmiechem Szczupak.

— Do uczciwej pracy.

— Tylko bez dowcipów. Mam dokładne dane, że chodzicie na „tamte” roboty.

— Ja? Nigdy... Już dawno byłbym przyzwoitym człowiekiem, gdyby mi pozwolono.

— A kto wam nie pozwala?

— Frajery, a niech ich jasna...

— A teraz już pozwalają wam być uczciwym człowiekiem?

— Teraz także nie. Wytykają mnie palcami: „Oto idzie złodziej”. Mogę przysiąc, że już od pięciu miesięcy nie wyjąłem rąk z kieszeni.

— Z czyich kieszeni? — żartował komisarz.

— Z moich. Pięć miesięcy, jak jestem frajerem.

— Pięć miesięcy to niewiele.

— A mnie, panie komisarzu, wydaje się, że to już pięć lat.

— Z czego utrzymujesz się, skoro nie „pracujesz”? — spytał Szczupak. — Z „oszczędności”?

— Nie, handluję.

— Czym?

— Pomarańczami.

— Smaczny artykuł. Ale czy to ci wystarczy?

— W zupełności. Ale frajery dziś zmądrzeli i nie dają się oszukiwać. „Uczciwie żyć, znaczy ciężko żyć”, mawiają frajerzy — rzekł badany z udanym westchnieniem.

Komisarz, który znał się na aktorskich zdolnościach ludzi nocy, przyjrzał się uważnie badanemu, po czym wyjął papierośnicę, zapalił papierosa i poczęstował aresztowanego.

— Palcie, proszę. Jestem zadowolony, że zerwaliście z tym podłym życiem. A więc założyliście sobie sklep owocowy i zostaliście uczciwym kupcem?

— Po co od razu zakładać sklep i płacić podatki. Niechaj podatki płacą frajerzy.

— A więc handlujecie i oszukujecie skarb państwa?

— Mam wózek ręczny, na którym obwożę swoje towary. Jeżeli to równoznaczne jest z okradaniem skarbu państwa, to już uczciwy być nie mogę.

Komisarz roześmiał się:

— Jak widzę, dorobiliście się, ale, przypuszczam, że gdy nawija się zarobek, nie przepuszczacie tej okazji...

Badanemu zaiskrzyły się oczy.

— Człowiek nie jest z drzewa...

— Powiedzcie mi, jakim sposobem trafiliście do meliny garbuska, u którego zbierają się tylko złodzieje?

— Starzy znajomi. Przyszedłem do staruszka w odwiedzin. Chory jest. Przyniosłem mu kilka pomarańczy. Nie rozumiem, czego tam policja szukała.

Szczupak uśmiechnął się pod wąsem i rzekł:

— Będziecie musieli przerwać handel pomarańczami.

— Dlaczego, panie komisarzu? Jestem niewinny.

— Może jesteście niewinni, ale znacie wielu, którzy mają grube grzechy na sumieniu. Wybierajcie: albo powędrujecie do więzienia, albo powiecie wszystko o dawnych znajomych.

— Nie rozumiem, czego pan komisarz chce ode mnie. Nie mam nic wspólnego z moimi kompanami. Nie obchodzą mnie. Nie widuję się z nimi.

— Powiedzcie lepiej, że nie chcecie nic opowiedzieć.

— O kogo panu chodzi, panie komisarzu?

Złodziej

Praca, Handel

— Chciałbym wiedzieć, gdzie teraz przebywają Klawy Janek i Krygier?
— Po raz pierwszy słyszę te nazwiska. Daję słowo złodziejskie, że gdy tylko się o czymś dowiem, wnet tu przylecę.

Komisarz zatopił wzrok w twarzy badanego, śledząc za najmniejszą zmarszczką. Chciał go przeniknąć, co knuje i zamierza.

— Widzę, że nie chcesz więcej handlować pomarańczami — rzekł Szczupak. — Nie to nie.

Komisarz zwrócił się do posterunkowego:

— Odprowadzić do tej samej celi, a stamtąd do więzienia.

— Za co to mnie spotyka? — zawołał Olek płaczącym głosem. — Jestem niewinny!

— Dlatego, że nie chcesz powiedzieć prawdy. Ale ja już ci rozwiążę język.

Olek przez chwilę jakby się namyślał.

— A gdy powiem, puści mnie pan?

— Od razu. Tylko prawdę proszę mówić!

— Opowiem tylko o tym, co mi jest wiadome — rzekł Olek zrezygnowany. — Przepadło. Wolność cenię wyżej od kompanów. I szkoda mi zostawiać dla innych moją młodą żonę. A więc pana interesuje Krygier i jego banda, co, panie komisarzu?

— O, o! Właśnie o nich chodzi! — zawołał z ożywieniem Szczupak, napinając nerwy, wzrok i słuch. — Krygiera znacie?

— A jakże.

— Janka?

— Także.

— Bajgele, Milczka, Felka?

— Któż ich nie zna! — zawołał Olek.

Szczupak uśmiechnął się z zadowoleniem:

— Nie macie powodu lękać się ich. A my potrafimy odwdziżyć się.

— Pan chce, bym został waszym człowiekiem, kapusiem?

— Przypuszczam, że to będzie przyjemniejsze niż przebywanie w więzieniu. Nie raziłbym wam odrzucania mojej propozycji. Zresztą, to nie będą darmowe usługi. A teraz proszę mi powiedzieć: znacie „Zimną kokotę”?

— To ładna i bycza¹¹ kobita. Warta grzechu.

— Nie o to pytam i wasza rekomendacja w tej dziedzinie nie jest mi potrzebna. Mnie obchodzą inne szczegóły.

— Proszę, niech pan komisarz o to pyta. Odpowiem.

— Trzeba było tak od razu. Muszę wiedzieć, czy ta kobieta jest zaufaną tych ludzi i czy zajmuje w świecie przestępców jakąś pozycję.

Badany nie mógł dłużej wytrzymać i zbliżywszy się do biurka komisarza, zawołał cynicznie:

— I pan mógł uwierzyć w to, że otrzyma ode mnie podobne informacje? Właśnie nam są potrzebni tacy jak Klawy Janek, Krygier i ich towarzysze. Zapewniam pana, panie komisarzu, że szkoda pańskiej fatygi i że ich pan nigdy nie schwyta. Krygier nabił w butelkę najzdolniejszych detektywów świata! A mnie uczynić kapusiem panu się nie uda!... Rezygnuję z wszystkiego: z wózka z pomarańczami, z młodej żony, ale kapusiem nie będę.

W kilka chwil później Olka wyprowadzono, zakutego w kajdany, gdyż urządził w gabinecie Szczupaka awanturę.

Szczupak żałował w duchu, że wdał się z przestępcami w rozmowy. Musiał przyznać, że ludzie nocy nie są zdolni do zdrady. Szczupak zaniechał badania pozostałych aresztantów, wyłowionych podczas obławy.

Będąc sam w gabinecie, Szczupak zaczął wertować kartki albumu przestępców. Z nienawiścią przyglądał się modrym oczom Krygiera. Szczupakowi zdawało się, że nawet z podobizny wyziera szyderczy uśmiech przebiegłego przestępcy.

Szczupak przypomniał sobie, że o dziewiątej wieczorem ma spotkanie z „Zimną kokotą”. Zadzwoeni na wartownika, któremu polecił wezwać przodownika Andrzejczaka.

Wolność

¹¹byczy — wspaniały, świetny. [przypis edytorski]

W kilka minut po tym w gabinecie siedział przystojny mężczyzna w cywilu. Był to wywiadowca Andrzejczak.

— Jesteście dziś wolni? — spytał komisarz.

— Zawsze jestem na rozkazy pana komisarza.

— No to świetnie — odrzekł Szczupak z uśmiechem zadowolenia na ustach.

Andrzejczak uchodził za jednego z najzdolniejszych wywiadowców. Cechował go upór. Był ryzykantem, wszędzie wysuwając się na przedni plan z narażeniem życia. Był zwinny i pełen humoru. Potrafił znaleźć się w każdej sytuacji. Miał, jak to ludzie mówią, nosa, jego węch detektywistyczny dokonywał niejednokrotnie cudów.

W czasie trwania pościgu za bandą Krygiera Andrzejczak był zajęty innymi sprawami, których nigdy brak w Urzędzie Śledczym. Z drugiej strony, inni, którzy mieli plecy w Urzędzie, nie chcieli dopuścić Andrzejczaka do tej roboty. Nie chcieli, by na niego spadły odznaczenia w razie pomyślnej likwidacji bandy Krygiera. Andrzejczak w duchu naśmiewał się z błazeństwa niektórych uczestników pościgu bandy Krygiera. W skrytości robił w tej sprawie wywiady i zdobył informacje, o których Szczupak nie miał pojęcia.

Andrzejczak domyślał się, o co chodzi, ale trwał w milczeniu, czekając z respektem na zlecenia Szczupaka.

Szczupak przez dłuższą chwilę obserwował Andrzejczaka, po czym zapytał go:

— Jak się wam powodzi? Jak żona, dziecko? Już czas, byście zaawansowali. Uczciwie zasłużyliście sobie na to.

Szczupak znał słabe strony przodownika Andrzejczaka. Wiedział, że ubóstwa swoją żonę i dziecko. Co do awansu, Szczupak chciał w ten sposób podrażnić ambicję Andrzejczaka.

Ale Andrzejczak odpowiedział rzeczowo:

— Może byśmy, panie komisarzu, od razu przystąpili do rzeczy.

Szczupak udawał, że nie spostrzegł tej niezręczności Andrzejczaka i ciągnął dalej:

— Zawsze byłem o was jak najlepszego zdania. Teraz, gdy to zależy ode mnie, postaram się dla was o awans.

— Panie komisarzu, obraża mnie to, że pan z góry chce mnie wynagrodzić za czyny, których jeszcze nie spełniłem.

— A więc, do sprawy. Domyślacie się, że chcę was przyciągnąć do sprawy bandy Krygiera.

— Krygiera i Klawego Janka znam osobiście — wyjaśnił Andrzejczak. — Pozostałych znam z widzenia.

— Znacie ich osobiście? — zawołał Szczupak uradowany.

— Razem z nimi na wyprawy nie chodziłem, ale znam ich dobrze. Nie chciałbym teraz jeszcze o tym mówić.

— Dlaczego? Czy macie przede mną jakieś tajemnice?

— Nie, panie komisarzu. Wstyd mi przyznać, że ich szpiegowałem w skrytości, na własną rękę. Nawet byłem gotów ich zatrzymać, ale w ostatniej chwili wymignęli się. Nie mogłem pojąć, jak to się stało. Oni muszą mieć swego człowieka w Urzędzie Śledczym, który ich ostrzega...

— Co, co? — zapytał przerażony Szczupak. — I mnie coś podobnego spotkało! Już miałem tę bandę kilkakrotnie w ręku, ale w ostatniej chwili udało im się wykręcić. I ja wówczas powziąłem podejrzenie, że wśród nas jest zdrajca. Nawet wiem, kogo należy o to podejrzewać.

Obaj spoglądali teraz na siebie, jakby czekali na to, by nie być pierwszym z wymienieniem nazwiska domniemanego zdrajcy.

Wreszcie Szczupak zapytał:

— Czy można wiedzieć, kogo o to podejrzewacie?

— To nie jest w tej chwili decydujące — Andrzejczak usiłował wykręcić się.

— Może i macie rację. Ale przejdziemy do naszej sprawy — Szczupak nie chciał nalegać na wyjawienie nazwiska podejrzanego. — Kogo jeszcze znacie z tej bandy?

— Znam Bajgele, Milczka i Antka. Znałem także Felka, którego zamordowali, oraz Reginę, która powiesiła się. Znam również „Zimną kokotę”.

— „Zimna kokotę”? — zawołał zdumiony Szczupak. — Opowiedzcie szybko wszystko, co wiecie o niej.

— Wiem także, że była dziś o dziesiątej rano na randce w kawiarni z panem komisarzem.

Szczupak nie mógł się opanować i zawołał:

— Szpiegowaliście mnie? Jak śmieliście?

— Nie pana, panie komisarzu, szpiegowałem, lecz ich...

Obaj przez dłuższy czas spoglądali na siebie podejrzliwie.

W pewnym momencie Szczupak zawołał gniewnym tonem:

— Co się tu, do licha, dzieje w Urzędzie Śledczym? Nikomu nie można zaufać! Będę musiał z tym raz na zawsze skończyć!

Szczupak krążył nerwowym krokiem po gabinecie.

— A co jeszcze wiecie o mnie? — spytał raptownie Andrzejczaka.

— Że dziś o dziesiątej wieczór ma się pan spotkać po raz wtóry z „Zimną kokotą”.

Szczupaka ogarniała wściekłość. Zatopił przenikliwy wzrok w twarzy Andrzejczaka, ale nic nie mógł odczytać z niej. Czy Andrzejczak szydził z niego w duchu? A może mówił poważnie?

— Więc, zapewne, i podsłuchaliście moją rozmowę z „Zimną kokotą”? — unosił się Szczupak.

— Nie, treści rozmowy nie znam. To nie było przedmiotem moich zainteresowań. Natomiast wiem, że pańskiemu życiu zagrażało niebezpieczeństwo. Czy domyśla się pan przynajmniej, przez kogo została nasłana?

— Przesada!... Nie widzę, jakie groziłoby mi niebezpieczeństwo ze strony tej kobiety. Zanadto macie rozbudzoną fantazję.

W duchu jednak Szczupak był odmiennego zdania o Andrzejczaku, podziwiając jego zdolności wywiadowcze, zręczność, orientację, a przede wszystkim jego informacje!...

— Panie komisarzu — odparł Andrzejczak — nie należę do ludzi dających się unosić falom fantazji. Całą noc spędzili na naradzie, na której szukali sposobu, by się pana komisarza pozbyć i jego zniszczyć. „Zimna kokota” została przez nich nasłana, by pana zwabiła w „bezpieczne” miejsce. I gdyby im się udało, byłiby w odpowiedniej chwili, kiedy pan byłby pochłonięty „Zimną kokotą”, wpadli i... Panie komisarzu, nie jestem bajkopisarzem...

— Ale skąd o tym wiecie? Kto was tak dokładnie o wszystkim poinformował?

— Niestety, na razie musi to wszystko pozostać w tajemnicy.

— I to niby była przyczyna, dla której nas szpiegowałeś?

— Nie szpiegowałem pana komisarza, lecz strzegłem go! Uważałem to za swój obowiązek. Nie mogłem pana spuścić z oczu. Nie byłem tam sam. Na wszelki wypadek w pobliżu znajdowało się kilku moich wywiadowców. Przypuszczałem, że uda jej się za pierwszym razem pana komisarza gdzieś uprowadzić — rzekł Andrzejczak z uśmiechem.

Szczupak był jakby rażony prądem. Wstyd mu było spoglądać przodownikowi w oczy. Wierzył teraz, że Andrzejczak nie zmyślił niczego. Andrzejczak urósł na znaczeniu w oczach Szczupaka. Odnosiło się wrażenie, jakby nagle zmieniły się role...

— I co jeszcze panu wiadomo? — spytał komisarz, gdy odzyskał równowagę.

— Wiem... — Andrzejczak chrząknął, ale spotkawszy się z zachęającym spojrzeniem Szczupaka, rzekł: — Wiem, że pan był w ich ręku i że mieli pana już związanego powrozami w piwnicy.

— Co??? — krzyknął Szczupak nie swoim głosem. — Ja? Ja?

— To było w piwnicy Bajgele — ciągnął dalej spokojnie. — Oni, co prawda, pana uwolnili, ale nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę z tego, komu winien pan wdzięczność z powodu swego ocalenia.

— Komu?

— Przypadkowi.

— Nie rozumiem — rzekł Szczupak ze zdziwieniem.

— Przypadkowi — powtórzył Andrzejczak. — Przypadkowo otoczyłem tę melinę moimi ludźmi. Nie pozostało tedy bandzie nic innego, jak uwolnić pana i ulotnić się. I ten przypadek zrządził, że pan komisarz ocalał.

— Dlaczego od razu nie meldowaliście mi o tym?
— Pan komisarz wybaczy, ale teraz jeszcze nie mogę udzielić na to pytanie odpowiedzi.

— Kto jeszcze wie o tym wypadku w suterynie?
— Nikt oprócz mnie — zapewnił Andrzejczak.
— Rozumiem was — Szczupak wyciągnął dłoń Andrzejczakowi. — Nie chcieliście mnie skompromitować. Dziękuję wam. Od dziś będziemy przyjaciółmi.

— A czy mogę wiedzieć, po co mnie pan komisarz wzywał? — zapytał po chwili Andrzejczak.

— Chciałem z wami omówić tę sprawę oraz szczegóły dalszego postępowania. „Zimna kokota” zapewniła mnie, że to jej mam do zawdzięczenia ocalenie życia, wówczas, w piwnicy...

— Ona już niejednego doprowadziła do tego, że musiał popełnić samobójstwo, ale ratować kogoś od śmierci, to nie jej fach — roześmiał się Andrzejczak. — Znam ją bardzo dobrze, ale teraz nie mam czasu na rozmowy o niej. Nie darmo ludzie nocy przewali ją „Zimną kokotą”.

— Umówiłem z nią spotkanie dziś o dziesiątej wieczór. Zresztą, wiecie sami o tym. Jak sądzicie, mam tam iść?

— Pewnie, że tak.

— A wy co zrobicie?

— Ja? Nadal będę was szpiegował — uśmiechnął się dobrotliwie Andrzejczak.

— Spodobaliście mi się. Jutro przedstawię was do awansu. Uczciwie zarobiliście tę zasługę.

— Dziękuję. Ale nie ma powodu do pośpiechu. Najprzód musimy ich wszystkich dostać w swoje ręce.

— Ale jak to zrobić?

— Mam pomysł.

— Proszę, słucham — zawołał podniecony Szczupak.

— Panie komisarzu, pan nie powinien niczym się zdradzać, że wie, o co chodzi. Najlepiej pan uczyni, gdy zagra rolę zakochanego. „Zimna kokota” dążyć będzie do osiągnięcia swego celu, a wówczas my dojdziemy do naszego celu. Ale proszę pamiętać, że trzeba grać zakochanego, ale nie wolno się przy tym zapomnieć... A ta kobieta może człowieka zaprowadzić prosto w objęcia diabła.

Szczupak zastanowił się przez chwilę i rzekł:

— Już myślałem nad tym, ale...

— Rozumiem, to jest trochę ryzykowne...

— Ta banda może przejrzeć naszą grę. Tu trzeba zachować ostrożność. Nie wolno nam zapominać, że po ich stronie grą kieruje przebiegły i doświadczony Krygier.

— Ale i ja obmyśliłem ich szanse.

— Mam inny plan — rzucił Szczupak stanowczym głosem.

— Rozkaz, panie komisarzu — odpowiedział Andrzejczak.

— Uważam, że najlepiej uczynimy, gdy ją natychmiast aresztujemy. A potem zobaczymy, co dalej robić. Jestem przekonany, że gdy ją weźmiemy w ogień krzyżowych pytań, prędzej dowiemy się o wielu rzeczach, niż to osiągniemy w zabawie „w miłość”. Ona jest nazbyt wyrafinowana, bym ja ją mógł oszukać. Kobiety przestępczyni nigdy długo nie wytrzymują ognia krzyżowego. Od razu śpiewają. Nie wolno nam się z nią bawić w kota i myszkę. Gangrenę leczy się radykalnie. Uciąć i koniec. Każda minuta zwłoki grozi śmiercią.

— Rozkaz, panie komisarzu!

— Rozkaz rozkazem, ale chciałbym wysłuchać waszej opinii — rzekł Szczupak.

— Pan komisarz ma większe ode mnie doświadczenie, a po drugie...

— Po drugie? — podchwycił Szczupak.

— Z zasady słucham się moich przełożonych.

— Przecież już mówiłem na wstępie, że w naszej współpracy nie może być tej ścisłej granicy między przełożonym a podwładnym. Macie prawo osobistego wypowiedania się. Chcę wiedzieć, jakie jest wasze zdanie w tej sprawie. Po to was wzywałem. Nie chcę, abyście byli tylko biernym narzędziem.

Kobieta demoniczna,
Samobójstwo

Kobieta demoniczna

Choroba

— Pan komisarz mówi to poważnie?
— Nawet bardzo poważnie.
— W takim razie muszę otwarcie powiedzieć, że plan pana komisarza nie wytrzyma próby życiowej.

— Dlaczego?
— Bo „Zimna kokota” jest bardziej zahartowana od niejednego mężczyzny. Ona nigdy nie zdradzi swoich towarzyszy, nawet gdyby ją krojono żywcem. Urodziła się i wychowywała w otoczeniu i środowisku ludzi nocy. I ich tajemnic nie zdradzi. Ręczę za to.

— Skąd wasza pewność?
— Znam dobrze jej rodowód. Proszę, niech pan komisarz przewertuje stronicę albumu przestępców: łatwo przekona się, że od pradziada ciągnie się jej „szlachectwo” zbrodniarzy. Taka kobieta nawet wzięta w krzyżowy ogień pytań na śledztwie nie zdradzi swoich najbliższych. To jest kobieta o silniejszych nerwach od niejednego mężczyzny.

— Przerazacie mnie tą kobietą — uśmiechnął się Szczupak.
— Nie miałem tego zamiaru.
— Więc?
— Dążymy do tego samego celu: do wytępienia tej bandy. Ale, moim zdaniem, aresztując „Zimną kokotę”, zepsujemy tylko sprawę. Banda dopiero wówczas będzie się miała na baczności. I trzeba będzie zacząć od nowa...

— Może i macie rację — rzekł komisarz. — Ale to nie dla mnie robota wlec się z taką kokotą po mieście i udawać, że się kocham w niej na zabój.

— Obawia się pan, że naprawdę się w niej zakocha? — uśmiechnął się Andrzejczak.
— Wszystko jest na tym świecie możliwe. Ona jest piękna i kusząca. Są takie chwile w życiu człowieka, kiedy mężczyzna nie może ręczyć za siebie, jesteście mężczyzną o silniejszej woli, może byście tak wy...

— Co?
— No, bardzo prosto. Wzielibyście na siebie rolę zakochanego. Zapoznam was z nią i...

— O, nie! Panie komisarzu, dziękuję za tę przyjemność.
— Aha. Boicie się?
— Nie, co do tego, nie mam obawy, tylko...
— Tylko co? — pytał Szczupak.
— Już i tego sposobu się chwyciłem.
— Co? — zdumieniu Szczupaka nie było granicy.
— Niestety, to prawda — gorzko uśmiechnął się Andrzejczak.
— Taka z niej ptaszyna? — mówił uszczypliwie Szczupak.
— To nie ptaszyna, lecz jadowita żmija, „Zimna kokota” łowi ofiary i je zatruwa.
— Kochaliście się? — Szczupak nie wierzył własnym uszom.
— Tak. Ale ona nie jest zdolna do miłości...
— Przestaję rozumieć wiele rzeczy. Za donżuana was nie uważałem. Skąd żeście się wzięli do niej?

— To dawna historia...
— To także tajemnica?
— Niestety...
— Dziwny z was człowiek. I teraz pałacie do niej uczuciem zemsty?
— Nie. Raczej lituję się nad nią. Ta sama kobieta gdyby z jej wrodzonymi zdolnościami przyszła na świat w innym środowisku, oddziaływałaby na mężczyznę dodatnio, tak jak obecnie oddziałuje na niego ujemnie. Jej wina w moich oczach jest z tego powodu mniejsza. Ale, sądzę, nie zostałem tu wezwany po to, aby rozprawiać o zaletach czy wadach „Zimnej kokoty”. Mamy chyba omawiać sprawę natury urzędowej.

— Racja. A więc słucham waszego zdania.
— Moim zdaniem pan, panie komisarzu, winien dać się przez nią prowadzić... Nie spuścimy „Zimnej kokoty” z oka i w ten sposób trafimy do kryjówki bandy.
— Niechaj i tak będzie. Wierzę mi pan, że nie mam do tego zbytnej ochoty.
— Innego wyjścia nie widzę. Przypuszczam jednak, że to długo nie potrwa.
Wymienili ze sobą uścisk dłoni. Szczupak dodał:

Dziedzictwo, Kobieta
demoniczna

Kobieta demoniczna

— Zabieramy się od razu do roboty. Tylko ostrożnie!
— Ostrożność zalecam panu, panie komisarzu! Niech pan nie zapomina przez sekundę nawet, z kim pan ma do czynienia. Niech pan pamięta, że ona uczciwie zasłużyła na przydomek „Zimna kokota”.

Gdy drzwi gabinetu Szczupaka zamknęły się za oddalającym się Andrzejczakiem, komisarz zabrał się do wertowania albumu przestępców. Teraz nie było to trudne, skoro Andrzejczak wyjawiał Szczupakowi nazwisko „Zimnej kokoty”.

Szczupak przyglądał się teraz jej podobiznie z większym zainteresowaniem. „Zimna kokota” przedstawiona była na fotografii jako młoda, łobuzerska dziewczyna o małych, prowokujących oczach, które jakby teraz szydziły z niego. Zestawiał teraz tę podobiznę z sylwetką, jaką miał przed sobą w kawiarni. Szczupak musiał przyznać w duchu, że „Zimna kokota” jest teraz o wiele ładniejsza.

Dziwny strach obleciał teraz komisarza. Zaczęło go nurtować niebezpieczne uczucie i pożądanie.

„A może ten chytry Andrzejczak chce mi podstawić nogę” — naraz przebiegła go myśl. Szczupak odpędził od siebie to podejrzenie. Andrzejczak, który służył od wielu lat w Urzędzie Śledczym, cieszył się nieskazitelną opinią.

Ale na dnie duszy w Szczupaku zrodziło się uczucie zazdrości.

„On był jej kochankiem”.

Andrzejczak nie chciał mu wyjawić szczegółów tej romantycznej przygody.

Po spożyciu obiadu Szczupak zaczął się denerwować. Co pewien czas spoglądał na zegar. Chciał, by wskazywał już godzinę dziesiątą wieczór. Pragnął już siedzieć przy boku tej kobiety, o której tak wiele już słyszał.

Na trzydzieści minut przed oznaczonym terminem Szczupak już siedział w kawiarni, wypatrując niecierpliwie zjawienia się „Zimnej kokoty”. Szczupak był w odświeżonym nastroju, jakby miał niebawem stanąć na ślubnym kobiercu. Wyelegantował się nie do poznania. Włożył po raz pierwszy nowiuteńkie ciemne ubranie, które wisiało w szafie. Wyglądał przystojniej niż zazwyczaj.

Punktualnie o dziesiątej wieczór „Zimna kokota” zbliżyła się do jego stolika z czarującym uśmiechem na usteczkach. Szczupak zerwał się z miejsca i szarmancko ucałował jej dłoń, prosząc o zajęcie miejsca przy jej stoliku.

— Dobry wieczór — rzekł Szczupak na jej powitanie. — Jak widzę, jest pani punktualna.

— A pan punktualniejszy ode mnie — odparła, zwracając uwagę na jego elegancję. Uśmiech zadowolenia, który zakwitł na jej ustach, znikł bez śladu.

Szczupak nie mógł oderwać oczu od jej czarującej twarzy.

Blade światło elektryczne dodawało jej twarzy uroku. Była ubrana jasno i bogato. Wzrokiem wędrowała od stolika do stolika. Ściągała na siebie powszechną uwagę. Nawet kobiety rzucały w jej kierunku zazdrosne spojrzenia.

— Tu nam nie będzie wygodnie rozmawiać — szepnęła mu. — Może przejdziemy do gabinetu.

— Proszę bardzo — odezwał się Szczupak.

Andrzejczak, ucharakteryzowany i zaszyty w kącie, obserwował go ze swego miejsca. Był zadowolony z zachowania się Szczupaka, który, nadskakując „Zimnej kokocie”, grał świetnie rolę zakochanego.

W kilka minut po tym Szczupak znajdował się z „Zimną kokotą” w separacie. A w sąsiednim gabinecie ulokował się Andrzejczak.

— Czego się pani napije?

— Ja?... Szampana — roześmiała się „Zimna kokota”. — Ten trunek dodaje nam chęci do życia — dodała z szelmowskim uśmiechem.

Kelner, który stał we drzwiach, nie dał się prosić i nie pytając o zgodę Szczupaka, zwał, by wrócić z butelką szampana.

Szczupak znajdował się w nieprzyjemnej sytuacji. Wiedział, że ona go naciągnie i że będzie musiał uiścić słony rachunek. W kieszeni miał niewielką sumę. Nie spodziewał się, że „Zimna kokota” rozpocznie od szampana.

— Pan nie jest w humorze — rzekła do Szczupaka, przysuwając się doń bliżej.

Uroda, Zazdrość

— Gdy się siedzi blisko tak urodziwej kobiety, mimo woli traci się humor.
— Sądzę, że dzieje się odwrotnie. Tak chciałabym wiedzieć, co pan sądzi w tej chwili o mnie.

— O pani?
— O mnie pan winien myśleć jak najmniej. Przecież jestem tak blisko pana.
— Blisko, a jednocześnie tak daleko — westchnął Szczupak.
Nalała sobie kielich szampana i wychyliła go duszkiem.
— Przybyłam tu, by się zabawić, a nie wysłuchiwać pana westchnień, panie komisarzu
— rzekła doń, kokieteryjnie zaglądając mu w oczy. Podsunęła mu kielich wina do ust.
— Czy pani tu zamierza dłużej zabawić?
— To zależy od pana.
Szczupak udawał, że nie rozumie, i jeszcze głębiej westchnął.
— E, pan mi psuje do reszty humor swoimi westchnieniami.
— Wzdycham dlatego, że pani jest „Zimną kokotą”, a ja komisarzem policji.
— Cha, cha, cha! — roześmiała się. — Nie rozumiem, co nam to może szkodzić.
— Pani albo nie rozumie, albo udaje, że nie rozumie.
„Zimna kokota” zmierzyla go podejrzliwie i zawołała:
— Kelner!

Kelner, który stał w pogotowiu w niewielkim oddaleniu od gabinetu, zjawił się momentalnie. Jego oko nie myliło go. Od pierwszego wejrzenia zrozumiał, że ta kobieta zrobi duży rachunek.

— Jeszcze szampana, koniaku francuskiego i zakąski.
W kilka chwil po tym stół był już zastawiony smacznymi zakąskami.
Szczupak nadaremnie dawał jej do zrozumienia w delikatny sposób, że nie ma przy sobie tyle pieniędzy. Niby ptaszyna, „Zimna kokota” dziobnęła po łyčku i kąsku z każdej przyniesionej potrawy czy dania. Robiło to wrażenie, jakby jej zależało na tym, by rachunek wynosił jak najwięcej...

— Dlaczego pan nie pije? Niech się pan nie obawia! Nie upije się pan!
— Już jestem pijany! — rzekł Szczupak, biorąc ją za rękę.
— Od czego? Chyba nie z miłości do mnie?
— Może tak?
Raptownie wyrwała rączkę z jego dłoni, odsuwając się jak najdalej.
— Nie po to tu przyszłam. Pan się zapomina, panie komisarzu.
Wyrzuciła z siebie te słowa tak ostrym tonem, że Szczupak przez chwilę był zgniewany i zdumiony. Ale wnet przypomniał sobie ostrzeżenie Andrzejczaka, że ta kobieta zna świetnie arkana sztuki uwodzicielskiej. Szczupak mimo to postanowił grać swoją rolę do końca.

— Pani rozumie — rzekł z uśmiechem — że pod mundurem komisarza bije żywe serce i pulsuje krew ludzka. To nie moja wina, że powoli zaczynam ulegać pani wpływowi.

— Mojemu wpływowi? — spytała jakby zawstydzona. — Ja, przyznam się panu, tego nie czuję. Wy, mężczyźni, zbyt szybko stajecie się sentymentalni na widok sukienki. Przypisujecie nam takie zdolności i takie zalety, których same nie odczuwamy.

— Czy pani to mówi poważnie?
— Nie mam potrzeby kłamać.
— Dlaczego pani nie pije?
— Bo pan, panie komisarzu, nie pije.
— Bez tytułowania się obejdzie... Przecież jestem tylko mężczyzną... — uśmiechnął się i nalał kieliszki.

— Dla mnie jest pan tylko komisarzem policji — odparła, dumnie zarzucając główkę.
— Jak widzę, pan zupełnie zapomniał o celu naszego spotkania.

— Pani obecność odurzyła mnie do tego stopnia, że zapomniałem o wszystkim...
— Bez komplementów.

Szczupak spojrział jej w oczy. Siedziała, pogrążona w zadumie. Zdawał sobie sprawę, że z niego kiepski amant. Wszystko, co robił w kierunku udawania zakochanego, wypadało sztucznie i nieswojo. Gotów był przypuszczać, że wyrafinowana „Zimna kokota” przejrzała go na wylot i że już czyta w jego myślach. Uważał sam, że jego gra jest nieprzekonywująca. Jej wyrachowanie i chłód do reszty wybijały go z roli.

Mężczyzna, Kobieta

— Dlaczego pan nie pije? — wyrwała go z rozmyślań. — Pan dziś zbyt wiele zastanawia się...

— Myślę o pani.

— A ja o panu — spojrzała na niego czule. Na jej twarzy pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech.

— O mnie? — zapytał wesoło komisarz, poruszając się na krześle. — Ciekaw jestem, co pani o mnie sądzi?

— Powiedziałabym panu, gdybym miała pewność...

Nie dokończyła. Uśmiechnęła się.

Jego wystrzony węż policjanta mówił mu, że gra jest skończona.

Teraz Szczupak zrozumiał słowa Andrzejczaka, że z tą kobietą nie pójdzie im tak łatwo. Gotów był już odkryć karty, ale nie pozwoliła mu na to godność męska, która w nim wzięła górę.

„Do diaska — wyrzucił sobie w duchu — czyż jestem aż tak odrażający, że nie mogę sobie nawet wmówić, iż jestem zakochany? Nie, nie wolno mi ustępować. Muszę podjąć na nowo próbę”.

— Z ust pani gotów jestem wszystko wysłuchać — rzekł na głos Szczupak.

— Wszystko?

W tym momencie ich spojrzenia skrzyżowały się.

— Może pani mówić o wszystkim. Słucham.

— Skoro pan domaga się prawdy, wywalę ją panu prosto z mostu — syknęła niby żmija.

— O co pani chodzi?

— O co? — wybuchnęła swoim charakterystycznym śmiechem, wstając naraz z krzesła.

— Nie rozumiem pani śmiechu?

— Pan nie rozumie?... Pan?... Ależ, panie komisarzu, tym razem to chyba pan się wyspał, a nie ja...

— Czym?

— Wszystkim — śmiała się „Zimna kokota” w dalszym ciągu.

— Co to za gra? — denerwował się Szczupak. — Pani się zapomina.

— Ale za to pan gra wyśmienicie i nie zapomina się.

— Niech pani do mnie nie mówi półsłówkami.

Szczupak nie mógł oderwać od niej wzroku. Była trupio biała, a oczy jej skrzyły się niby u kocicy w nocy.

Szczupak nie poznawał jej. Twarz i głos jej zmieniły się radykalnie.

— Dlaczego pan, panie komisarzu, nie ma odwagi ze mną, słaba kobietą, mówić otwarcie?

— No więc, co pani ma mi do powiedzenia? Niechże się nareszcie dowiem! — unosił się Szczupak.

— Sądzę, że już panu wiele powiedziałam. Niekiedy niedomówienia mają większą wymowę od słów. Przecież pan nie jest taki naiwny, by trzeba mu było kłaść łopatą do głowy...

— Ma pani rację, po co te komedie? Możemy grać w otwarte karty.

— I ja jestem tego samego zdania. Nie należę do tchórzów.

„Zimna kokota” wypowiedziała te słowa tak stanowczym tonem, jakby nie należała do ludzi nocy, których można unieszkodliwić każdej chwili.

— Kto mnie uratował krytycznego dnia w piwnicy Bajgele? — zapytał ironicznie Szczupak.

— Nie ja. — „Zimna kokota” puściła przy tym dym papierosa prosto w twarz Szczupakowi.

— A mnie pani przedtem zapewniała, że to pani mnie uratowała.

— To było przedtem, teraz jest nieistotne — uśmiechała się.

— A w jakiej sprawie pani do mnie dzwoniła pewnej nocy?

— W sprawie, która mi się teraz nie powiodła.

— Pani chciała mnie naciągnąć?

— Tak!... Pragnęłam tego...

Słowo

— I pani się nie udało?

— Panu także.

— To się jeszcze okaże — uśmiechnął się Szczupak, a twarz jego zdradzała pewność siebie.

— Owszem, pan jest mądry i roztropny wywiadowca.

— A pani mnie miała przedtem za frajera, który da się zwieść?... Nie należę do tego typu mężczyzn, których kobiety łatwo uwodzą.

— A teraz czy mogę panu zadać kilka pytań, z tym, by pan był tak samo szczery ze mną?

— To zależy od rodzaju pytań.

„Zimna kokota” naraz zerwała się z miejsca i zawołała:

— Niech pan nie sądzi, że jestem głupsza od pana. Od pierwszej chwili pana przejrzałam. O, gdyby nie kapusie, których nigdzie nie brak...

— Co byłoby? — ironizował Szczupak.

— Gdyby nie Andrzejczak, który tu siedzi za ścianą i pana strzeże, byłabym ja zwyciężyła, a nie pan!... O własnych siłach niczego nie jesteście w stanie zdziałać. Jesteście mądrzy i genialni przy pomocy donosicieli. Jakże panu nie było do twarzy z miną zakochanego.

Szczupak aż zsiniał z oburzenia. Na twarzy jego ukazały się czerwone plamy.

— Domyślam się — ciągnęła dalej „Zimna kokota” — że pan za chwilę wyda rozkaz aresztowania mnie, ale niech pan nie sądzi, że to się panu tak łatwo uda.

Ale oto niespodzianie we drzwiach ukazał się Andrzejczak, który wyczuł, że dłużej mu nie wolno zwlekać. Słyszał za ścianką, jak „Zimna kokota” wymawiała jego nazwisko, nie mógł tylko pojąć, skąd ona to wszystko wywęszyła.

— Dobry wieczór — ukłonił się Andrzejczak.

— Dobry wieczór, panie przodowniku — odparła „Zimna kokota”. — Proszę, niech pan siada. Z panem chętniej uciąłabym flircik niż z tą...

Nie dokończyła, ale za to Andrzejczak ofuknął ją:

— Stul pyszczek!

— Oho! I pan dziś jest taki ostry? — roześmiała się.

— Jesteś aresztowana! — oświadczył twardo Andrzejczak. — Chodź ze mną.

— A może byśmy tak razem trochę wypili — ironizowała „Zimna kokota”. — Pański przełożony kazał suto stół zastawić... Nawet szampan jest tu...

— Dziś nie. Ale chętnie z tobą będę pił w dniu odzyskania przez ciebie wolności po kilkuletnim pobycie w więzieniu — rzekł Andrzejczak zgryźliwie.

— A co ci szkodzi, jeżeli dziś napijemy się? Po co tak długo czekać? A nuż Bóg da i nie dożyjesz tej chwili?... — odpłaciła mu się „Zimna kokota”.

— Dość tego! — zawołał Szczupak. — Do aresztu!

Naraz stała się rzecz, której nawet doświadczony Andrzejczak nie mógł przewidzieć.

„Zimna kokota” dobyła nagle małego rewolweru i oddała celny strzał do lampy elektrycznej. Gabinet zaległ ciemności. Wtem drzwi rozwarły się z łoskotem i do gabinetu wdarło się kilka osób. Padło kilka szybko po sobie następujących strzałów.

Gdy Szczupak i Andrzejczak odzyskali równowagę ducha, „Zimnej kokoty” już dawno nie było. Jeszcze brzmiały im w uszach echa jej cynicznego śmiechu.

„Zimna kokota” umiała sobie dobierać lokale...

ROZDZIAŁ III

Garbusek, „rebe” złodziejski, któremu przez tyle lat udawało się uniknąć styczności z policją, po uwięzieniu go przez Szczupaka, rozchorował się w celi. Umieszczono go w separacie w szpitalu więziennym, gdzie mógł się swobodnie oddać rozmyśleniom nad przeszłością. Siły go stopniowo opuszczały. Wiedział, że zbliża się godzina śmierci.

Nie obawiał się śmierci. Wręcz przeciwnie — już od dawna wypatrywał tej chwili jak zbawienia. Ale tu, w więzieniu, nie chciał umrzeć. Na myśl o tym zimne dreszcze przeżywały jego ciało. Raczej wybrałby śmierć w rynsztoku, na śmietniku, byle na wolności!

W skupieniu odmawiał modły, ledwie poruszając zasuszonymi wargami.

Więzień, Choroba,
Więzienie, Śmierć

— Jużem odcierpiał za grzechy na tej ziemi — szeptały jego usta. Był pewny, że za pokutę, dobrowolnie na siebie wziętą, na starość pójdzie do raju.

Tylko jednej rzeczy bał się: by w raju nie spotkał się z żoną, którą zamordował. Z jej powodu podupadł tak w życiu i runął w przepaść.

W obliczu śmierci wybiegał myślą daleko poza mury więzienne, hen za granice kraju, do Francji, gdzie w Paryżu mieszkała jego córka, jedyne dziecko. Tak bardzo pragnął choć raz jeszcze ujrzeć ją i przytulić do schorzałego serca. Za żadną cenę nie chciał, by dowiedziała się kiedykolwiek, jak żył i że umarł w więzieniu.

Jego zwolennicy dbali o to, by w więzieniu mu na niczym nie zbywało. Posyłali mu wałówki, tak że nie odczuwał braku pod tym względem. Kalefaktorzy (roznosiciele posiłków po celach) obchodzili się z garbuskiem delikatnie i uprzejmie. Za okazywaną mu serdeczność z góry odbierali zapłatę, przywłaszczając sobie kosztowne wałówki, których aresztant nawet nie tknął. Również felczer skazany za defraudację „nie dokładał” do chorego, ale za to dbał, by tak prędko nie rozstał się ze światem... Dbano o to, by źródło dochodów nie wyschło przedwcześnie...

Lekarz więzienny od pierwszej chwili traktował garbuska jako nieuleczalnego, którego losy Opatrzność już przesądziła. Stolik przy łóżku chorego zastawiony był półlitrowkami mleka. Był to jeszcze jeden dowód, że chory ten nie pociągnie już długo (w rosyjskich więzieniach dawano mleko chorym, gdy już byli bliscy śmierci).

Ale chory jakby się zbuntował przeciw śmierci i... nie umierał.

W dwa tygodnie po jego uwięzieniu do separatki zgłosił się elegancko ubrany jego-mość z teczką w rękę. Utkwił on w twarzy przybyłego parę świdrujących oczu.

— Dzień dobry! — rzekł przybyły na powitanie.

Chory ciężko westchnął. Jego małe, wygasłe oczy zmierzyły niespodziewanego gościa podejrzliwym spojrzeniem. Po chwili twarz chorego przystygła wyrazem pogardy i oburzenia. Garbus odwrócił się twarzą do ściany.

— Dzień dobry! — zawołał jeszcze głośniejszym głosem przybyły, który usiadł przy łóżku chorego.

Ale chory nie odwracał się do niego. Usiłował nakryć nawet twarz kołdrą.

Przybyły zwrócił się do strażnika więziennego, by otworzył nieco okno, po czym dał mu znak, aby się oddalił i zostawił go sam na sam z chorym więźniem.

— Dlaczego mi nie odpowiadacie? — zapytał przybyły.

— Idź pan stąd! Pozwól mi pan umierać! — wystękał chory.

— E, przesada! Pan wcale nie jest tak poważnie chory. Pan udaje. Pan jest tylko wyczerpany. Czy pan wie, po co tu przybyłem?

— Wiem, wiem! Proszę sobie iść stąd i pozwolić mi umrzeć.

— Na umieranie zawsze człowiekowi starczy czasu.

— Zostawcie mnie w spokoju — błagał chory. — Przecież tu możecie zaniechać udręki. Nie mam sił.

— Gdy się miało siły w życiu kraść i rabować, musi się mieć siły na to, by udzielić odpowiedzi na pytania sędziego śledczego.

Chory raptownie odwrócił się, zrzucił z siebie kołdrę i usiadł na brzegu łóżka. Oczy jego zabłyśły złymi ognikami. Dopiero teraz sędzia śledczy ujrzał, co za potworek krył się pod kołdrą. Instynktownie sędzia cofnął się nieco z krzesłem. Przeraził go widok wychudłego starca-garbuska, pożółkłego na twarzy i posiwiąłego. Chory robił nędzne wrażenie. To nie był człowiek, lecz karykaturalna postać, poruszający się szkielet.

Chory żywo poruszał bezdźwięcznie wargami, jakby czynił tajemnicze zaklęcia.

— Nie chciałem was dotknąć — rzekł po chwili sędzia śledczy. — Rozumiecie sami, że muszę spełnić swój obowiązek, który mi nakazuje zaprotokołowanie waszych zeznań. Przecież nie ja jestem sędzią do wyrokowania kary.

Chory ułożył się z powrotem na łóżku, ciężko oddychając.

Sędzia śledczy wyrzekł się pierwotnej myśli, która go tu sprowadziła, gdyż sądził, że ten garbus jest mistrzem symulacji. Teraz żywił dla chorego uczucie litości, nie bacząc na to, że zarzucano mu długi łańcuch różnych przestępstw i zbrodni.

Na myśl o licznych listach gończych policji różnych państw, które miał teraz w swojej teczce, sędziemu śledczemu wzbierało na śmiech. Jak policja międzynarodowa nie mogła się uporać z takim człowieczkiem, w dodatku ułomnym. I czy jest do uwierzenia, by

Śmierć, Czas

tak nędzny człowieczek zdolny był do popełnienia tych przestępstw, które mu zarzucają? Wszak wymagało to odwagi, bohaterstwa, siły i wytrwałości?

— Czego pan żąda ode mnie? — wyszeptał chory, wyrывая swoim pytaniem z zadumy sędziego śledczego.

— Chciałbym z panem pomówić.

— O czym?

— O pańskiej przeszłości, która jest mi już po części, a może i w całości znana.

— Zna pan moją przeszłość? — krzyknął chory, chwytając się obiema rękoma za głowę.

— Może nie wszystko wiem, ale sędzę — sędzia śledczy przyjął już surową postawę prokuratorską — że panu obojętne jest, czy ukryje coś lub wszystko szczerze wyjaw, bo i tak pańskie dni są policzone. Panu będzie łatwiej umrzeć, gdy wyjaw, ze skruchą wszystkie przewinienia, a nam będzie łatwiej ująć współwinowajców, którzy są zdrowi i mogą odbyć karę za popełnione czyny.

Chory szepotał nerwowo nieco niezrozumiałym dla sędziego językiem, kręcąc się niespokojnie na łóżku. Sędzia śledczy odniósł wrażenie, że badany stacza ze sobą wewnętrzną walkę. Postanowił tedy przyspieszyć decyzję.

— W obliczu zbliżającej się śmierci powinien pan być ze mną szczery i niczego nie ukrywać. Winien pan pobudzić swoją wolę do spowiedzi czystej i ludzkiej. Przecież panu wiadomo, że Pan Bóg miłuje tych, którzy korzą się przed nim w prawdzie i pokorze. Czas nagli. Sprawiedliwość i uczciwość nakazują panu, by przed śmiercią wyznał wszystko o sobie i swoich współnikach.

Ostatnie słowa sędziego śledczego wypowiedział pobożnie, po czym wyjął papier, pióro i atrament. Unikał przy tym krzyżowania swoich spojrzeń ze wzrokiem więźnia.

Ale naraz usłyszał głos aresztanta:

— O czym pan wspominał? O uczciwości?

A gdy sędzia podniósł wzrok na twarz garbuska, zobaczył wyraz ironii i pogardy.

— Uczciwość musi zwyciężyć — odparł poważnie sędzia śledczy.

Skrzypiący chichot rozległ się w małej celi więziennej. To zaśmiał się garbusek.

— Uczciwość? Cha, cha, cha... Gdzież ją można nabyć?... Proszę, niech mi pan sędzia wskaże adres!... I ja bym chętnie ją nabył...

— Tylko bez żartów — zawołał sędzia śledczy. — Czas nagli. Wszak pan jest inteligentnym człowiekiem; posiada pan wyższe wykształcenie. W takiej chwili mógłby pan wyzbyć się tej maniery.

— Traktuję pana tak samo jak pan mnie — odparł z oburzeniem chory więzień. Twarz chorego nabrała rumieńców.

Sędzia śledczy znów nabrał przekonania, że ma do czynienia z symulantem.

— Czy mogę przystąpić do sprawy? — zapytał sędzia, zabierając się do notowania w aktach.

— Do jakiej sprawy? — zareagował więzień.

— Muszę wszystko wiedzieć o pańskiej przeszłości! — rzekł stanowczym głosem sędzia śledczy.

— Musi to nawet na Rusi... — odpowiedział z ironią garbusek. — Ale oznajmiam panu, że nic mu nie powiem, bo nie chcę i nie mogę. Czy pan mnie rozumie, panie sędzio?

Sędzia śledczy przez chwilę spoglądał na więźnia, po czym wyjął z teczki pomięty zeszyt i zapytał:

— Pan to poznaje?

Więzień zatopił wzrok w zeszyt, po czym wycedził:

— W jaki sposób ten zeszyt dostał się w pańskie ręce? Niech mi pan to zwróci, proszę o to bardzo.

Chory wyciągnął przed siebie ręce i opadł na wpół zemdłony na poduszkę.

Sędzia podał mu garnuszek mleka dla pokrzepienia.

Więzień po chwili wyszeptał słabym głosem:

— Opowiem panu wiele, ale pod jednym warunkiem.

— Pod jakim warunkiem?

— O ile pan ten zeszyt zniszczy lub spali na moich oczach. Ten zeszyt i tak nie ma dla pana żadnej wartości.

Więzień, Śmierć

— Wręcz przeciwnie. Nasze muzeum policyjne wzbogaci się o bardzo ciekawy egzemplarz. Pańskie wiersze, zawarte w tym zeszycie, są bardzo zajmujące. Czy pan bardzo był zakochany w tej kobiecie, do której te wiersze były pisane? Czy ta kobieta jeszcze żyje?

Garbusek przysunął się doń bliżej tak, że sędzia śledczy uczuł na sobie gorący oddech chorego.

— O jakiej kobiecie pan myśli? Poznaję po panu, że pan wie wszystko. Spal pan to jak najszybciej. To jest jedyna pamiątka, która mi po niej pozostała.

— A dzieci nie zostały?

— Nie, nie! Żadnych dzieci — zawołał garbusek przerażony. — Co pana obchodzi moje dzieci? — krzyknął groźnie. — Zróbcie ze mną, co chcecie, ale nie szperajcie w moim życiu rodzinnym.

— Widzisz pan, że jesteśmy dobrze poinformowani o wszystkim — triumfował sędzia śledczy. — Myślę, że teraz odpowie mi pan już na wszystkie moje pytania.

— Podrzyj pan zeszyt. Proszę, podrzyj pan. — Garbusek wyciągnął błagalnie rękę. — Opowiem wszystko.

Sędzia śledczy podał mu zeszyt z wierszami.

Garbusek z sadystycznym uśmieszkiem na ustach darł każdą kartkę z osobna na drobne kawałeczki. Cała jego twarz promieniowała w tej chwili wielką radością.

— No, czy teraz mogę zadawać moje pytania?

— Proszę bardzo.

— Jak pana nazywają?

— Garbusek.

— Prawdziwe nazwisko?

— Kuźniec.

— Urodzony?

— W Rosji.

— W jakiej okolicy?

— Na Ukrainie.

— Miasto?

— Czy to jest ważne?

— No, niech będzie... Ile pan ma lat?

Garbusek spojrział na niego ironicznym wzrokiem.

— Po co panu mój wiek? Po co panu wiedzieć, kim był mój ojciec i matka? Pytaj pan o to, co może się panu przydać praktycznie.

— Dobrze. Zgadza się. Proszę mi powiedzieć, czy zna pan osobnika, którego nazywają w naszym świecie Stasiak Lipa?

— Znam go bardzo dobrze. Bardzo przyzwoity i porządny człowiek.

— Oczywiście — uśmiechnął się sędzia śledczy. — Może mógłby mnie pan poinformować, gdzie on się teraz znajduje?

— Tego akurat nie wiem. Powiedziałbym chętnie, gdybym wiedział.

— Nie wie pan... Na pewno nie wie pan?

Garbusek nalegał.

Sędzia śledczy podsunął mu pod nos list adresowany doń z zagranicy właśnie przez Staśka Lipę.

— Wie pan więc lepiej ode mnie — odpowiedział garbusek zdenerwowanym głosem.

— Wiem jeszcze więcej, niż się panu zdaje.

— Więc czemu mnie pan dręczy, jeśli pan wie?

— Przyszedłem tu tylko dla niektórych formalności. Pan na pewno zna Klawego Janka, Krygiera i wszystkie wielkie ryby podziemnego świata, które nieraz wykonywały pańskie plany. My wiemy, że pan sam leżał sparaliżowany. Ale wskutek pańskich planów i porad mieliśmy więcej kłopotów, niż gdyby pan sam poszedł na miasto kraść. Pan był przywódcą wszystkich wielkich włamań wykonanych w ostatnich czasach u nas w Polsce. Pan jednak może nam tylko wskazać miejsce, gdzie się teraz ukrywają wykonawcy pańskich pomysłów. Powinien pan to zrobić, aby przynajmniej w ten sposób okupić wszystkie zbrodnie popełnione przez pana w życiu.

— Chcę to przecież uczynić, panie sędzio śledczy. Proszę, niech pan pyta, a powiem wszystko.

Sędzia śledczy wyczuł, że stary ironizuje. Zrobiło mu się żal, że pozwolił garbusowi podrzeć zeszyt, choć dla śledztwa nie miało to żadnego znaczenia. Pomimo to postanowił podjąć dalszą próbę.

— Jeśli pan wyzna prawdę o wszystkim, damy panu tu w więzieniu najlepszych lekarzy. Wyleczymy pana zupełnie. Wkrótce będzie amnestia i ta niewielka kara, którą pan otrzymał, zostanie panu darowana. Będzie pan mógł spędzić swoje pozostałe lata na wolności, jako uczciwy człowiek. Pragnę tylko pańskiego dobra.

Garbusek usiadł na swoim łóżku więziennym. Jego blada twarz przybrała trupi kolor. Jego błyszczące oczka, jakby naraz zagrały. Wybuchnął śmiechem.

— Z czego pan się śmieje?

— Cha, cha, cha! — śmiał się garbusek coraz głośniejszym głosem, że sędzia śledczy naprawdę się przeraził.

Wyglądało to, jakby się trup zanosił śmiechem. Sędzia śledczy odsunął się od więźnia.

— Jakże z was głupie frajery! — wykrztusił garbusek, zgrzytając zębami.

— Licz się pan ze słowami! — zawołał ostrzegawczo sędzia śledczy.

— Liczę się właśnie. Gdyby nie to, już dawno naplułbym panu w tłustą gębę.

— Co to za wyrażenie?!

— Zwyczajne wyrażenia. Specyficzne powiedzonka i przekleństwa świata przestępczego były mi zawsze obce. Jestem przecież inteligentem, jak to pan sam przed tym określił. Dlatego nie mówię do pana językiem mętów¹², chociaż słownik ludzi nocy jest mi dobrze znany. Ja go jednak nigdy nie używam. Jestem przecież byłym inżynierem — roześmiał się.

Przez chwilę zapanowała cisza.

— Ach, gdybym miał moją dawniejszą siłę — rzucił garbusek złym wzrokiem na sędziego śledczego.

— To co by było?

— Zmiażdżyłbym pana własnymi rękoma. — Garbusek podniósł zaciśnięte pięści, które jednak zaraz opadły bezsilnie na brudną koldrę.

— Czyż czynię panu coś złego? Pragnę przecież tylko pańskiego dobra.

— Mojego dobra? — zaśmiał się garbusek.

— Tak, pańskiego dobra. Mówiłem już panu przecież. I zapewniam pana, że sam się będę o to starał, aby pana wyleczyli lekarze więzienni. Co więcej, wydam polecenie, aby pana przewieziono do szpitala. To wszystko stanie się, jeśli pan złoży wyczerpujące zeznania.

Garbusek wyciągnął się przy tych słowach sztywno na swym posłaniu. Wychudłe ręce położył pod głowę. Zapatrzył się na kraty, a jego oczy przybrały przy tym szklany wyraz.

— Czemu pan milczy?

Garbusek westchnął.

— Czas mija. Ja jestem zajęty. Czemu pan milczy?

Garbusek leżał bez ruchu.

— Mówi pan czy pan śpi?

— Nie mówię i nie śpię — zawołał garbusek ze złością, ostro akcentując każde słowo.

— Więc nie chce pan wydać swoich współników?

— Nie! Nie!!!

— Umrzesz zbrodniarzem.

I sędzia śledczy zaczął zbierać swoje papiery.

— Już mnie pan opuszcza? Czemu się pan spieszy? — odezwał się nagle garbusek.

Sędzia śledczy spojrzał na niego podejrzliwie.

— Rozmyślił się pan? Chce pan zeznawać?

— Tak.

Sędzia śledczy uśmiechnął się z zadowoleniem i pomógł choremu ułożyć się wygodnie na posłaniu. Potem wyjął z powrotem papiery z teki. Uczynił wszystkie potrzebne przygotowania. Nawet jego zewnętrzny wygląd zmienił się nagle. Nie wątpił już teraz, że ten stary zdechłak — jak go nazywał w myślach — będzie śpiewał jak z nut.

¹²męt (pogard.) — bandyta, osoba z marginesu społecznego. [przypis edytorski]

— Tak to rozumiem. Jeszcze dziś pošlę panu dobrego lekarza. Nie jest pan jeszcze taki stary — pocieszał go. — Wszystko może być jeszcze dobrze.

A więc, teraz do rzeczy.

Garbusek uśmiechnął się pod nosem i błysnął jakby łobuzowato oczyma. Sędzia śledczy przyjął to za dobrą monetę.

— Najpierw powiedz mi pan, jak długo przebywa pan już u nas w Warszawie?

— Dobrych parę lat, panie sędzio śledczy.

— I zawsze pan leżał chory w łóżku?

— Tak. Już więcej niż piętnaście lat jestem kaleką.

— Piętnaście lat? — dziwił się sędzia śledczy.

— Tak, piętnaście lat z czubkiem.

— No, no... a ile pan ma lat?

— Sześćdziesiąt.

— Jak długo pan siedział w więzieniu?

— Niedługo.

— Jak długo robi pan w fachu?

— Także niedługo.

— Kto byli pańscy współpracownicy?

— Różni: Żydzi, chrześcijanie, Rosjanie, Turcy, Chińczycy, Japończycy, Tatarzy, Cyganie. Nawet Murzyni także.

— No, no...

— Tak to jest, panie sędzio śledczy. Byłem zawsze internacjonalistą¹³. Nie dbałem o różnice rasowe. A obrabiałem także ludzi z różnych krajów. Nie robiłem różnicy między żadnymi walutami świata. Słowem, stuprocentowy internacjonalista.

Zamyślił się przez chwilę. Poznać było, że jest bardzo zdenerwowany. Uśmiechnął się z przymusem i mówił dalej.

— Cała moja przeszłość, która tak pana interesuje, jest dla mnie samego jakby koszmarem, jakby złym snem, który dręczy mnie od wielu lat i nie pozwala mi przespać spokojnie nocy. Pan mi obiecuje lekarzy i inne przywileje za cenę zdradzenia moich przyjaciół, z którymi razem się cieszyłem, jadłem, głodowałem i cierpiałem. Pan żąda ode mnie drobnostki. Więcej pan nie chce, jak tylko zrobić ze mnie kapusia — roześmiał się.

Sędzia śledczy nie mógł się już połapać, do czego stary zmierza.

— Ja znam wszystkie nazwiska i adresy wszystkich pańskich przyjaciół — pochwalił się sędzia śledczy. — Powtarzam panu raz jeszcze, że my wiemy o wszystkim. Pytam pana tylko o to *pro forma*, bo tak nam nakazują nasze przepisy.

— Wasze przepisy... — Garbusek pochylił się ku niemu, a jego twarz stała się jeszcze bledsza. — Gwiżdżę na was i na wasze przepisy, i na wszystko, na co wy, uczciwi ludzie, się powołujecie. Mnie tylko obchodzi teraz jedna rzecz.

— Czy można wiedzieć co?

— Jak się pana pozbyć.

— Sam mnie pan przecież zatrzymał.

— Tak, zatrzymałem pana. Nudzę się tu w więzieniu aż do szaleństwa. Nawet śmierć, na którą czekam, nie spieszy się, aby mnie zabrać. Dziękuję panu, że mi pan pomógł spędzić tych kilka godzin na jakiejś odmianie. Muszę przyznać, że pan mnie nieźle ubawił swoimi idiotycznymi pytaniami. Ale ode mnie nie wyciągnie pan tego, co pan chce. Idiotą nazywam pana dlatego, panie sędzio śledczy, bo śmiał pan mi zaproponować, abym się stał na starość zdrajcą.

Sędzia śledczy zerwał się z miejsca i krzyknął:

— Zdechniesz już tu, w więzieniu. Dziś jeszcze napiszę list do twej córki w Paryżu, jakiego ma ojczulka.

Ostatnie słowa wywarły niezwykle skutec.

Garbusek chwycił się obiema rękami za serce. Piana ukazała mu się na ustach. Całe jego ciało zaczęło dygotać konwulsyjnie. Sędzia śledczy wybiegł na korytarz z teką w jednej ręce, z papierami w drugiej, alarmując głośno strażników.

Złodziej

Więzienie, Nuda

¹³internacjonalista — zwolennik przyjaźni i współpracy wszystkich narodów. [przypis edytorski]

Po chwili wszedł do celi garbuska strażnik ze swoimi dwoma pomocnikami aresztantami.

Stary więzień nie dawał już najmniejszego znaku życia...

Strażnik przy pomocy swego „wypróbowanego środka” stwierdził natychmiast, że więzień nie żyje.

Rabin złodziejów doczekał się wreszcie tego, na co tak długo czekał z niecierpliwością.

Wiadomość o śmierci garbuska rozniosła się szybko wśród ludzi nocy. We wszystkich melinach, kawiarniach, restauracjach uczęszczanych przez nich podawano sobie nowinę z ust do ust. A wiadomość ta zrobiła na wszystkich wielkie wrażenie. Nawet przeciwnicy garbuska słuchali z respektem opowiadań o jego ostatnich minutach w szpitalu więziennym.

Bajgele przyjął tę wiadomość z zapartym tchem. Natychmiast przyjechał do Warszawy i podstawił „lepszych facetów”, aby się postarali o wydobycie zwłok z więzienia.

Dzięki protekcji i wstawiennictwu bardzo ważnych osobistości udało się wydostać zwłoki. Podstawiono ciotkę, stryja, kuzyna, którzy się zobowiązali, że urządzią pogrzeb na własny rachunek.

W największej tajemnicy przeniesiono zwłoki garbuska na bezpieczne miejsce, gdzie ludzie nocy mogli bez przeszkód przyjść i pożegnać po raz ostatni swego wiernego towarzysza.

Garbusek leżał na ziemi obstawiony srebrnym lichtarzami, w których paliły się świece. Po długich klótniach i dyskusjach zgodził się Bajgele na te kwiaty, które przynieśli nie-Żydzi.

Przez całą dobę żegnali swego garbuska przy stołach zastawionych flaszками wódki, wina i zakąsek. A potem nadeszła chwila, gdy trzeba go było pożegnać na zawsze. Przez całą noc zajmowano się przygotowaniem pogrzebu garbuska.

Pieniądzy nie brak było. Każdy składał z całego serca datek, według swego stanowiska, jakie zajmował wśród ludzi nocy. Ostatnie zebranie obeszło się jednak bez incydentów.

Bajgele, który się uważał za najbliższego przyjaciela zmarłego, rzucał rozkazy na wszystkie strony, a to się nie podobało innym. Bajgele pretendował również na zajęcie stanowiska garbuska, lecz tu natrafił na silnego przeciwnika w osobie Józka Zalewacza¹⁴.

Józek Zalewacz uważał, że tylko on, jako domorosły adwokat, ma prawo zająć miejsce zmarłego. Zapewniał on, że tylko inteligentny i kulturalny człowiek powinien stać na czele warszawskich ludzi nocy, taki mianowicie, który jest uczony.

Bajgele znowu utrzymywał, że na czele powinien stać taki człowiek jak on, z należytą praktyką i odpowiednimi znajomościami wśród zblatowanych¹⁵ policjantów.

„Zimna kokota” również robiła ruch. Agitowała, ile tylko mogła, używała wszystkich swoich środków i sposobów, pragnąc dopiąć, aby przeszła kandydatura Bajgele. Chciała mu się w ten sposób odwdziżyć za wszystko, co on dla niej zrobił. Albowiem wśród ludzi nocy „Zimna kokota” była znana oficjalnie jako adoptowana córka wszechmocnego Bajgele.

Sam Bajgele był z niej dumny. Po ostatnim wyczynie ze Szczupakiem stała się ona jeszcze bardziej sławna i liczono się z nią. Słowem, „Zimna kokota” osiągnęła takie znaczenie, że wybaczone jej nawet to, że żyła przedtem z Szulcem.

W tej samej melinie, w której „melinowały” zwłoki garbuska, zebrały się delegacje ze wszystkich sfer nocnych ludzi. Mali kieszonkowcy, potokarze¹⁶, szopenfeldziarze¹⁷, aferzyści, włamywacze, rozpruwacze i inni fachowcy i przedstawiciele różnych gałęzi sztuki złodziejskiej.

Te trzydzieści kilka osób, które się tu zebrały, były poszukiwane przez policję różnych krajów. Szczupak miałby wielką pociechę, gdyby się tu zjawił w tej chwili. Oni zaś dobrze o tym wiedzieli i byli bardzo ostrożni.

¹⁴Zalewacz — przezwisko utworzone od pot. znaczenia czasownika *zalewać*: łgać, kłamać. [przypis edytorski]

¹⁵zblatowany — przekupiony. [przypis edytorski]

¹⁶potokarz — złodziej okradający wozy. [przypis edytorski]

¹⁷szopenfeldziarz — złodziej okradający sklepy lub magazyny. [przypis edytorski]

Szczupak był wprawdzie poinformowany o tym „zebraniu”, ale gdzie ono się zame-
linowało, tego w żaden sposób nie mógł się dowiedzieć. Na próżno najzdolniejsi agenci,
których on wysłał, szukali, tropili, węszyli. Nawet ten agent, który śledził od bramy wię-
ziennej wóz, na którym wywieziono zwłoki garbuska, stracił ślad.

Ludzie nocy wiedzieli przecież, że będą śledzeni, przeto zwłoki zostały wniesione
do przechodniego domu. Po drugiej stronie brat „Zimnej kokoty” czekał w taksówce,
w której przeniesiono zwłoki na bezpieczne miejsce.

Każdy delegat wygłaszał przemówienie, chwając czyny zmarłego i podnosząc przy tym,
że najodpowiedniejszym zastępcą zmarłego może być tylko on sam.

Delegata niemówiącego do rzeczy ściągano bez ceremonii za kołnierz „z trybuny”
i kazano mu zamknąć gębę.

Zebranie zagałę pierwszy Bajgele, który wygłosił też pierwsze przemówienie:

— Braciszku mili i tęgę chwaty¹⁸! — mówił Bajgele. — Każdy z nas wie bardzo
dobrze, kim był zmarły. Miną setki lat, a nie będziemy mieli więcej takiego kamrata,
jakim był garbusek. Jego złodziejski charakter, jego wykształcenie i inteligencja górowały
nad każdym z nas. Był on jeszcze bardziej wykształcony i mądrzejszy od samego Krygiera.
My wszyscy musimy pochylić głowy i z bólem w sercu żałować straty, którą poniósł cały
złodziejski świat. Bardzo długo potrwa, zanim zdołamy go zapomnieć. Takiego cennego
człowieka nie zapomina się tak prędko. Takiego oddanego przyjaciela, jakiego w nim
mieliśmy, już tak rychło nie znajdziemy.

Bajgele powiódł chytrymi oczkami po obecnych, aby się przekonać, jakie wrażenie
wywołały jego słowa, i tak ciągnął dalej:

— Kto z was może zaprzeczyć, że nie jest tak, jak powiedziałem? Kto z was może tak
naszykować robotę, jak on to potrafił? Owszem, powiedzcie, kto?!

Wszyscy spojrzeli po sobie, lecz nikt nie ośmielił się przerwać wszechmocnemu Baj-
gele.

Bajgele otworzył już usta, aby mówić dalej, gdy w tym odezwał się Józek Zalewacz:

— Ja wiem, kto może zająć jego miejsce. Któż inny, jak nie ja sam?! — zawołał na
cały głos.

Kilka głosów zaraz dodało:

— Tak, Józek Zalewacz powinien zastąpić zmarłego. Nikt inny, tylko on.

Bajgele udawał, że nie słyszy tych głosów, i chciał mówić dalej. Lecz jeden z obecnych,
zwolennik Zalewacza, nabrał nagle odwagi i ściągnął go za marynarkę.

Całe szacowne grono podzieliło się na dwa wrogie obozy. Jeden obóz stanął po stronie
Bajgele, a drugi po stronie Józka Zalewacza.

Niewiele brakło, by w ruch poszły stolki, laski, noże i rewolwery. Gdyby nie zapobie-
gliwość „Zimnej kokoty”, z pewnością doszłoby do krwawej masakry. Nieproszona przez
nikogo zajęła miejsce na mównicy i zaczęła przemawiać stanowczym i rozkazującym to-
nem:

— CISZA. Jak wam nie wstyd?

Istotnie w mgnieniu oka ustał wszelki krzyk. Oczy wszystkich zwrócone były w stro-
nę mównicy. „Zimna kokota” w tym momencie wyglądała imponująco. Spojrzeniem
zelektryzowała zgromadzonych, nakazując im posłuszeństwo i uległość.

Jej głos piorunował:

— Jeszcze nie zastygły zwłoki zmarłego, a już wszczynacie burdę? Zachciewa się wam
nowej zabawy w dintojry¹⁹? Szczupak tylko czeka na taką okazję, abyśmy wszczęli między
sobą awantury, by tym łatwiej nas wszystkich wykończył. Uprzedzam i ostrzegam was,
że teraz nie pora na osobiste porachunki.

— Słusznie. Słusznie. Nie pora teraz na porachunki — rozległy się wołania wtórne.

— Stulcie pyski! — wołali inni. — Nam „Zimna kokota” nie będzie przewodziła!

— Niechaj lepiej nadal sypia z Wołkowem — odcinali się drudzy. — Co to, nasza
nowa rabinowa?

— Nowy kaznodzieja w spódnicę? — unosił się Józek Zalewacz.

¹⁸chwyt — człowiek energiczny, dzielny, śmiały. [przypis edytorski]

¹⁹dintojra — sąd złodziejski. [przypis edytorski]

„Zimna kokota” z uporem i spokojem wytrzymała grad obelg i uwag. Na jej ustach ukazał się tylko ów charakterystyczny uśmiech, a oczy ciskały dokoła ironiczne spojrzenia. Gdy przeciwnicy ucichli, „Zimna kokota” ciągnęła dalej:

— Bracia, ze mną nigdy nie spóźniecie wyklócić się. Mamy teraz pilniejsze sprawy do przedyskutowania. Zawsze byłam gotowa skoczyć w ogień i w wodę dla naszego brata. Moi rodzice i najbliższe rodzeństwo rekrutowali się z uczciwych złodziei. Nie ciąży na nich żadna plamka. Nawet dziadek i babka byli ludźmi blatnymi²⁰. Musicie mi uwierzyć, że chodzi mi tylko o wasze dobro. Każdy z nas jest doskonale świadom ostatnich prześladowań. Możemy zwyciężyć tylko wówczas, gdy będziemy działali ramię w ramię i w wielkiej zgodzie. Musimy wypowiedzieć zaciętą walkę wszystkim kapusiom, mętom i konfidentom, czyhającym na naszą wolność. Pamiętajcie, że kłótnie i swary mogą tylko przyspieszyć naszą klęskę. Nawet wówczas, gdy stałam w bliskim kontakcie z Wołkowem, czyniłam to dla waszego dobra.

— Dla naszego dobra? — parsknął śmiechem Józek Zalewacz. — Można pęknąć ze śmiechu. Co wy na to, koledzy? — szydził z „Zimnej kokoty” Józek Zalewacz. — Jak się wam podoba ten meszjasz złodziei?

— CHA! CHA! CHA... — wtórowali mu jego zwolennicy. — Niech dalej grypsuje²¹.

— Niech lepiej stanie z koszem pod hałami, a nie nam prawić morały, patrzcie, kto nas uczy moresu²²?

Bajgele, który przez cały czas nerwowo wrzucał sobie do ust czekoladki, uśmiechnął się pewny siebie, że w końcu „Zimna kokota” zwycięży. Dla tej przyczyny nie zabierał głosu w tej dyskusji.

Ale gdy wyzwiska nie ustawały, a Józek Zalewacz zawołał: „może tak jaśnie pani »Zimna kokota« i mnie pozwoli powiedzieć kilka słów”, wówczas Bajgele nie wytrzymał i krzyknął:

— TY frajerska duszo! Odwalisz się? To wstyd, byśmy się dali wodzić za nos przez frajerskiego kombinatora. Kim dla nas jest ten krzykacz? Przecież tylko butelce ma on do zawdzięczenia, że znajduje się w naszych szeregach.

Awantura się wzmogła. Zwolennicy Zalewacza przelicytowali przeciwników, uznając go za swego człowieka. „Zimna kokota” ustąpiła Zalewaczowi miejsca na mównicy. Jemu jednak nie powiodło się. Zbyt inteligentną wypalił mówkę i z kretesem przepadł w opinii złodziejskiej. Kilku zwolenników Bajgele ściągnęło Zalewacza z mównicy, na której triumfalnie teraz stanęła „Zimna kokota”.

— Teraz mieliście możność przekonania się, że z Zalewaczem nie tak łatwo będzie można się porozumieć. Musimy mieć swego człowieka, z którym można by było zasiąść do stołu i gadać po naszymu. Ostatnie moje przejście ze Szczupakiem powinno was przekonać, że działam dla waszego dobra. Uważam, że najgodniejszym następcą Zmarłego może być tylko Bajgele.

— Tak, Bajgele, a nie Józek Zalewacz — wołali zebrani.

— Niech żyje Bajgele!

— Niech żyje „Zimna kokota”!

— Niech żyje ten, który jeszcze nie umarł... — ironizował Zalewacz, wkładając jednocześnie palto i kapelusz na znak, że odchodzi.

Ale „Zimna kokota” zatrzymała go, mówiąc:

— Nie ma powodów do ucieczki. Ale sami rozumiecie, że nie jesteście zdolni do odziedziczenia godności po Zmarłym.

— Rozumiem... rozumiem, że umrę już jako frajer. Ale jedno muszę wam powiedzieć, że nie macie tyle rozumu w waszych głowach, ile ja w nogach.

— Stul pysk! — zagrzmiąło naraz kilka głosów. Nawet zwolennicy jego zaprotestowali przeciw tym słowom, które wszystkich obrażały.

— Niech nas natychmiast przeprosi! — domagali się inni. — To czelność tak nas znieważać.

Współpraca, Zwycięstwo,
Kłótnia, Klęska

Ironia

²⁰blatny (gw. środ.) — złodziej; przekupiony, działający dla pieniędzy. [przypis edytorski]

²¹grypsować — nielegalnie porozumiewać się (między więźniami). [przypis edytorski]

²²mores — subordynacja. [przypis edytorski]

— Jest zdenerwowany i nie należy zbyt zwracać na niego uwagi — starała się „Zimna kokota” zbagatelizować sprawę. Znała dobrze ludzi swego otoczenia i wiedziała, że w obronie honoru gotowi są nawet wszczać bójkę. Wolą przeto czym prędzej załagodzić zatarg.

— A więc, bractwo, na czym zostaje? — uśmiechnęła się do obecnych, którzy zapomnieli już o wszystkim i znajdowali się całkowicie pod jej wpływem. Nawet poprzedni przeciwnicy odwrócili się od Zalewacza i z zachwytem spoglądali na „Zimną kokotę”.

[...]scy, unosząc w górę pięści.

— Jak powiadają frajerzy: „strzeżonego Pan Bóg strzeże”.

— Musimy się bronić! — grzmiał Bajgele tubalnym głosem. — Złodzieje też muszą żyć!...

— Jeszcze jak żyć! Słyszycie?... Nie damy się! — wołali obecni, wygrażając pięściami.

Bajgele znał dobrze swoich ludzi. Z natury łagodny, cichy człowieczek imponował on teraz kolegom swym bohaterstwem. Bajgele wiedział, że ludzie ci są jak małe dzieci, które trzeba coraz zabawiać innymi historyjkami. Zainteresować ich coraz czymś innym i nowym, by nie mogli się zbyt długo zatrzymywać na jednej sprawie.

Kim jest ich nowy „rebe”? Bajgele miał na swym sumieniu kilka zadawnionych grzechów i obawiał się, by któryś z obecnych nie wypomnił mu tego.

Na szczęście Bajgele nikt z obecnych nie wiedział o niczym. Gdyby zmarły garbus żył, Bajgele nie pozwoliłby sobie na wygłoszenie takiego kazania i na stawianie siebie na wzór uczciwego złodzieja²³. Stary garbusek wiedział o wielu wykroczeniach Bajgele przeciwko ludziom nocy, w czasie jego złodziejsko-paserskiej kariery. Ale teraz Bajgele czuł się jak ryba w wodzie i przemawiał do sumienia swego audytorium.

„Zimna kokota” opanowała bez większych trudności jego najgroźniejszych przeciwników.

— Teraz, przyjaciele — ciągnął dalej Bajgele tajemniczym głosem — musimy jeszcze omówić dwie sprawy. Po pierwsze musimy się zastanowić, jak urządzić pogrzeb.

— Co znaczy „jak”? Z całą pompą. Niech frajerzy wiedzą, jak odprawiamy naszego przyjaciela na tamten świat.

— O to właśnie chodzi — zauważył Bajgele. — Koledzy! Musimy wziąć pod uwagę, że Szczupak czeka tylko na to, byśmy się zgromadzili na pogrzebie. Zostaniemy wszyscy otoczeni przez męty i odprowadzeni tam, gdzie jest jeszcze gorzej niż w grobie, w którym mają spocząć drogie nam zwłoki. Do żywego grobu zamkną nas na długie lata.

Bajgele urwał, czekając na efekt ostatnich słów, po czym dodał:

— Moim zdaniem nikt z nas nie może być obecny na pogrzebie.

Wszyscy stanęli jak skamieniały.

— Nie! Nie! — posypały się protesty. — Nigdy się na to nie zgodzimy. Musimy go pochować z honorem.

Bajgele rozłożył bezradnie ręce.

— Inaczej nie może być.

— Musimy naszego kochanego kolegę odprowadzić z honorami na miejsce wiecznego spoczynku. Nawet gdybyśmy mieli gnić w więzieniu.

— Gdzie jest honor złodziejski — wołał Józek Zalewacz, który przez cały czas trzymał w ręku otwartą książkę.

— Musimy w danym wypadku tak postąpić — nie ustępował Bajgele. — Zmarłemu już jest wszystko jedno, czy go odprowadzimy, czy nie. Ale nam nie będzie obojętne, gdy nas zamkną w więzieniu.

— A jaka jest druga sprawa, którą chciałeś omówić? — padło pytanie. — Może chcesz nas namówić, byśmy więcej nie kradli?

— Tego nie. Krać możecie jak najwięcej! Druga sprawa, jaką chciałem omówić, jest, byście się natychmiast pożegnali ze zmarłym. Nie możemy tu dłużej zastać. Niebezpieczeństwo jest wielkie. Musimy bez protestu, każdy z oddzielną, ostrożnie opuścić lokal.

— Zaledwie od kilku chwil jesteś naszym wodzem, a już domagasz się od nas dziwnych rzeczy.

²³stawianie siebie na wzór uczciwego złodzieja — popr.: stawianie siebie za wzór uczciwego złodzieja. [przypis edytorski]

— Nie ma w tym nic dziwnego. Dbam o waszą skórę, Szczupak może wpaść do tej meliny, a wówczas jesteście zgubieni. Brak tylko tego, by sprowadzono was wszystkich do Urzędu Śledczego. Ręczę, że nikt z nas by tak prędko nie odnalazł wolności. Nie jesteście wszak barankami, byśmy się mieli bezbrinnie oddać w ręce Szczupaka.

— Ale ktoś musi się jednak zająć jego pogrzebem — zawołał jeden z obecnych. — Wszak to hańba dla klanu złodziejskiego pozostawić go w ten sposób.

— Myślałem już nad tym, jak by to urządzić.

— I coś postanowił? — zapytało kilku naraz.

— Będziemy ciągnąć losy. Na kogo padnie los, ten będzie musiał zaryzykować swą wolnością i odprowadzić zwłoki na miejsce wiecznego spoczynku. Uprzedzam was raz jeszcze, że kto się znajdzie na cmentarzu, nie wróci stamtąd. A dalej możecie robić, jak uważacie.

Przez dłuższą chwilę obecni przyglądali się sobie. Obudził się w nich instynkt samoobrony. Nikt z nich nie chciał się znaleźć za kratami. Wolność była dla nich najdroższym skarbem na świecie. A nikt nie wątpił w to, że Bajgele mówi poważnie. Jednocześnie jednak każdy z nich poczytywał sobie za najświętszy obowiązek oddać ostatnie honory zmarłemu.

— A więc, jak zdecydowaliście? — wołał Bajgele stanowczym głosem. — Przypominam wam ponownie, że czas nagli.

— Stanie się zadość twojemu życzeniu — odezwali się wszyscy jednogłośnie. — Decydować będzie los.

Bajgele zmarszczył czoło, po czym rzekł:

— Bracia! Chcecie mnie posłuchać? Wicie wszak, że myślę tylko o was i gotów jestem uczynić wszystko, by uniknąć nieszczęścia.

— Tak. Ufamy ci w zupełności.

— I nikt nie sprzeciwi się mojej decyzji?

— Nikt! Nikt!

— Na pewno?

— Nikt nie waży się zaprotestować przeciwko twej woli. Jesteśmy przekonani, że możemy i powinniśmy zawierzyć tobie.

— Możecie przysiąc?

— Przysięgamy! — Wszyscy podnieśli ręce.

Bajgele wyprostował się. Twarz przybrała poważny wyraz. Głos jego drżał:

— Przysięgamy sobie wzajemną wierność na śmierć i życie. Każdy, kto zechce nas zniszczyć, będzie musiał zginąć z naszej ręki!

Po przysiędze wytworzył się bardzo przyjazny nastrój. Nawet Józek Zalewacz ucałował Bajgele.

— Proponuję — rozpoczął znów Bajgele podniesionym głosem — by nikt z nas nie wziął udziału w pogrzebie. Słyszycie: NIKT! — podkreślił ostatnie słowo. — Zmarłemu będzie to obojętne, kto go odprowadzi i pochowa. Nie urządzajmy losowania.

— A wszak poprzednio proponowałeś, by los decydował — zawołał ktoś nieufnym tonem.

Nie zdążył dokończyć zdania, a już kilka pięści podsunięto mu pod nos.

— Słuchaj i milcz, kiedy „on” przemawia.

Bajgele ciągnął dalej:

— Na początku gotów byłem poświęcić kilku z nas. Ale sumienie złodziejskie sprzeciwia się temu. Nie przeżyłbym tego, gdyby aresztowano któregoś z nas. Musimy zrezygnować z pogrzebu. Trzeba dbać raczej o żywych niż o umarłych.

— Musimy! Musimy! Masz słusność. Szkoda wolności. Wiosna się zbliża.

— Naturalnie, że nie możemy postąpić inaczej — wtrąciła się „Zimna kokota”, opierając rękę na ramieniu Zalewacza. — Oplacimy hojnie frajerów i pogrzeb odbędzie się bez naszego udziału. Za pieniądze otrzymamy grób na honorowym miejscu. Wszystko za pieniądze. Życie i umierać — tylko z pieniędzmi. Mam rację, czy nie?

— Racja. Oczywiście racja. Za pieniądze będą go oplakiwać bez nas.

— A teraz chodźmy do naszego zmarłego przyjaciela. — Bajgele opuścił trybunę. — Pożegnamy go po raz ostatni i złożymy życzenie szczęśliwej podróży wprost do raj.

Przysięga

Człowiek, Trup

Pieniądz

Złodziej, Śmierć, Trup

Musicie wiedzieć, że w ciągu ostatnich lat był bardzo bogobojny. Dość cierpiał na tym świecie.

— Wątpię, czy go tam wpuszczą — dowcipkował się Zalewacz.

— Jeżeli nie, to podstępem się tam dostanie. Nasz brat poradzi sobie wszędzie — odezwał się inny. — Dokona włamania nawet do raju. Można na nim polegać.

— Dosyć! — uspokoiła ich „Zimna kokota”. — Umarły jest jeszcze między nami, a wy bluźnicie.

Obecni otoczyli zwłoki. Bajgele uroczyście odsłonił twarz Zmarłego. Rozplakał się na głos. Również „Zimna kokota” wybuchnęła histerycznym płaczem.

Kilka chwil trwało pożegnanie. Każdy szukał pożegnalnego spojrzenia na twarzy nieboszczyka, po czym oddalił się, ustępując miejsca następnemu.

Bajgele ostatni pożegnał Zmarłego tymi słowami:

— Spocznij, bracie, w uroczystym spokoju. Bądź naszym patronem, patronem złodziei. Błagaj Boga, by dał nam łżejsze zarobki niż ryzykowanie życiem dla kawałka chleba. Nikt z nas nie życzy sobie podobnego psiego życia. Słyszysz: powiedz, że nikt z nas nie chce być wiecznie szczuty i ścigany. Oby nas Bóg wybawił z występnego życia. Żegnam cię, przyjacielu, może spotkamy się tam kiedyś.

Był już zmrok, gdy zgromadzeni pojedynczo opuścili melinę. Bajgele i „Zimna kokota” wyszli ostatni.

Szczupak na próżno głowił się nad opracowaniem planu, w jaki sposób osaczyć wszystkich na pogrzebie. Okazało się, że ludzie nocy byli dobrze poinformowani o wszystkim.

ROZDZIAŁ IV

W jednym z pięknych uzdrowisk nadmorskich roilo się tego dnia od ludzi. Mnóstwo ogorzałych, spoconych ciał. Rozmawiano, żartowano, śmiano się, dowcipkowano. Panował beztroski nastrój. Znać było, że ci ludzie, ubrani w eleganckie stroje kąpielowe, nie znają trosk materialnych. Kryzys, bezrobocie i inne kłęski, pod ciężarem których ugięła się ludzkość, były im obce. Rozglądali się dokoła z pewnością siebie. Drwili sobie jakby z całego świata.

Wśród obnażonych pleców, ramion, piersi, nóg i rąk leżał, oparłszy podbródek na dłoniach, opalony na słońcu — Kławy Janek. Zamyślony, wpatrzony w jeden punkt na plaży, gdzie jakaś niewiasta pogrążona była w czytaniu książki.

— Tak, mogę przysiąc, że to ona — mówił do samego siebie. — Jak to się wszystko dziwnie układa. To na pewno Aniela. Ale nie będę zakłócał jej spokoju.

Nie wytrzymał jednak i powoli przesunął się w jej stronę. Napinał wzrok, by się przekonać, czy się nie myli. Serce waliło w nim mocno, jak gdyby miał popełnić zbrodnię. Usta szeptały bezdźwięcznie:

— Aniello... Najdroższa moja. Zapomniałaś już o mnie na pewno. Jaka piękna! Pokazać się jej czy nie? — zmagął się z własnymi myślami.

Obok Anieli leżał wpatrzony w słońce jej ojciec — Stasiek Lipa, opalony na Murzyna.

Gdy Janek go zauważył, legł mu ciężar na sercu. Postanowił zachować ostrożność i zaczekać na lepszą okazję zetknięcia się z Aniela. Pół życia oddałby teraz, by mógł spojrzeć w jej piękne oczy i dowiedzieć się, co sądzi o nim.

Że była o wszystkim poinformowana, nie ulegało dlań żadnej wątpliwości. Gdy sobie pomyślał, na kogo ją zamienił — krew uderzyła mu do twarzy ze wstydu.

Zdawał sobie sprawę z tego, że wciąż jeszcze ją kocha. Ba, kocha ją stokroć więcej niż dawniej. Ale nie śmiał wspominać jej więcej o tym. Sumienie nie pozwalało mu na to i nakazywało milczenie.

Kilka dni upłynęło od chwili, gdy ją zauważył na plaży. Stokrotnie przysięgał sobie, że wyjedzie, ucieknie stąd, lecz gdy miał się zdecydować na wyjazd, brakło mu sił.

Całymi nocami warował w pobliżu willi, gdzie mieszkała Aniela wraz z ojcem, obserwując, czy nikt z młodych ludzi nie ma dostępu do jej domu.

Tracił zmysły z zazdrości, aczkolwiek nie miał powodów do podejrzeń. Stale widywał ją w towarzystwie ojca, opartą o jego ramię.

Zazdrość

Na plaży nie pokazywał się więcej. Pragnął rozmowy z nią, zapytać, jak się ma, co myśli o nim, dowiedzieć się, czy inny zajął miejsce w jej sercu. A jednocześnie unikał jej. Opanowywał go dziwny lęk na myśl, że może się z nią spotkać oko w oko.

Z chwilą gdy zmuszony był opuścić Polskę i uciekać za granicę, postanowił wszcząć poszukiwania za nią. Krygier przeszkadzał mu w tym i to było przyczyną, że rozstali się.

Krygier wyruszył do Japonii. Postanowił zamieszkać tam na stałe. Założyć fabrykę i zapomnieć o przyszłości. Ostatni wypadek w Warszawie naprowadził go na tę myśl. Janek w chwili rozstania uzbrojony był w gruby portfel z pieniędzmi.

Milczka Krygier zabrał ze sobą. Postanowił i jego urządzić. Tylko Antek pozostał osierocony i żaden z jego dawnych wspólników nie zatroszczył się o niego.

W uzdrowisku tym Janek znalazł się przypadkowo. Szukał wytchnienia. Wyczerpany ostatnimi wydarzeniami, złamany fizycznie i moralnie, przybył nad morze, by odzyskać spokój i równowagę ducha.

Klawy Janek węszył, że w kąpielisku, wśród beztroskiej burżuazji, która zjeżdża się z całego świata, znajdzie schronienie przed wścibskimi spojrzeciami agentów.

Ledwie tylko rozpakował swe bagaże w pierwszorzędnym hotelu, uczepiła się jakaś Amerykanka, starsza panna, narzucając mu swoją osobę. Ale Janek nie wytrzymał długo w towarzystwie kapryśnej, na wpół zhysterizowanej²⁴ Amerykanki. Na trzeci dzień przekonał się, że jej brylanty są imitacją i dał jej wyraźnie do poznania, że nie ma zamiaru dłużej tracić na nią czasu. Ambitna Amerykanka nie darowała mu tego i uprzedzała przyjaciółki, że człowiek ten nie jest dżentelmenem.

Janek nie szukał towarzystwa. Unikał bogatych damulek, które polowały nań, jako na przystojnego mężczyznę. Po ostatnim przeżyciu z konfidentką Janek nie znośił kobiet z fałszywymi brylantami i koliaми.

Janek spędzał długie godziny nad brzegiem morza. Nie przyszło mu nawet na myśl, by szukać tu Anieli. Przeciwnie, studiował listę gości w różnych hotelach w obawie, by nie natknąć się na znajome nazwisko.

Od chwili, gdy ujrzał Anielę, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Jak uparta mucha brzęczało mu w uszach słowo „Anieli”, nie dając mu chwili spokoju.

Dowiedział się, że Stasiek Lipa mieszkał nad morzem od dłuższego czasu. Kupił on tu willę za piętnaście tysięcy dolarów. Jednego tylko Janek nie mógł pojąć, skąd się tu wzięli. Wiedział, że udali się do Ameryki. Miał o nich dokładne relacje; wiedział nawet o ostatnim wypadku z Anielą w pensjonacie, kiedy oświadczył jej się w miłości międzynarodowy handlarz żywym towarem. Świadomość, że również Stasiek Lipa mógł być poinformowany o jego ostatnim przejściu z konfidentką, nie dawała mu spokoju. Dręczyły go wyrzuty sumienia.

Całymi dniami Janek wałęsał się na wybrzeżu. Do uszu jego dochodziły radosne okrzyki i odgłosy pocałunków zakochanych par. Smutek go ogarniał na myśl, że tak blisko jest Anieli, a zarazem tak daleko.

Wiedział, że Aniela nigdy mu nie przebaczy tej zdrady. Pół życia byłby oddał za to, żeby i jej mógł coś zarzucić. Szpiegował ją, śledził, zbierał informacje co do jej sposobu życia.

Sam złoczyńca i destruktor moralny nie mógł się pogodzić z myślą, że Aniela zachowała swą niewinność. Myśl, że to ojciec jej, Stasiek Lipa stał na straży jej cnoty, wywoływała w nim uśmiech ironiczny. Zbyt dobrze znał kobiety i wiedział, że kobieta potrafi wywieść w pole najbardziej zazdrosnego męża i najzdolniejszego detektywa.

Gdy ujrzał ją po raz pierwszy na plaży, nie uszło jego uwagi, że Aniela jest przedmiotem powszechnego podziwu. Nawet kobiety z zazdrością spoglądały na jej wysmukłą, dziewczęcą postać...

Gdy tylko zapadała noc, Janek skradał się do ogrodu, który otaczał willę Staśka Lipy, i wracał do swego hotelu dopiero nad ranem. Na próżno starał się spotkać z Anielą sam na sam, niespostrzeżony przez nikogo. Stasiek Lipa śledził córkę na każdym kroku. Janka oburzało to, że Aniela nie protestuje przeciw zbyt wstrętnej opiece i nie rwie się do samodzielnego życia.

Kobieta, Mąż

²⁴zhysterizowanej — popr.: rozhysterizowanej. [przypis edytorski]

Pewnego razu w nocy, gdy przedostał się przez wysoki parkan i ukrył w cieniu drzew, usłyszał cichy szep, który dobiegł do jego uszu.

„Mam cię!... — Janka przebiegła radosna myśl. — Na pewno randka z jakimś bubkiem”.

Skradał się cicho, zawodowo; słyszał wyraźnie odgłosy pocałunków. Krew uderzyła mu do głowy, obudziła się w nim zazdrość.

— Zastrzelę ich oboje. — Janek ścisnął rewolwer w dłoni. — Mnie tak długo wodziła za nos i udawała niewiniątko!

Wyciągnął się na ziemi i czołgał na brzuchu aż pod ściankę dyskretnej altanki. Cichy szep zamienił się naraz w ciężkie sapanie. Janek nie wątpił ani na chwilę, że przybył w porę. Myśl jak błyskawica przebiegła jego mózg. Ale zanim zdążył urzeczywistnić swój plan, pociemniało mu w oczach. Dwa cienie wyskoczyły jeden po drugim wystraszone i ukryły się wśród drzew; chciał pobiec za nimi, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Przed oczyma miał jeszcze wciąż dwie postacie, kobietę w białej sukni i mężczyznę, który ciągnął ją za sobą.

Złamany i zrozpaczony Janek oparł się o ściankę altany, gdzie później się ukrył. Wprawny okiem dojrzał w ciemności dwie wypróżnione butelki po winie.

„Widzę, że używa — pomyślał. — Podczas gdy stary głupiec Stasiek Lipa śpi twardym snem, Aniela wykrada się z pokoju”.

Groźne szczekanie psa przypomniało mu, że musi się czym prędzej stąd wynieść. Zegar wskazywał późną porę.

Przez cały następny dzień Janek biegał jak nieprzytomny. Zobojętniał na wszystko. Urodziwa kelnerka, którą się nieco zainteresował, nadziwić się nie mogła jego obojętności. Bolało ją, że nie zdradza najmniejszego zainteresowania jej osobą.

Janek ledwie doczekał się nocy. W ciągu dnia unikał tych miejsc, gdzie by się mógł natknąć na Staśkę Lipę z jego córką. Światło dzienne wyprowadzało z równowagi. Świadomość, że Aniela należy do innych, doprowadzała go do szału. Nie mógł sobie wybaczyć, że nie zareagował z miejsca w altanie i nie dowiódł, że nie jest lepsza od niego...

W głębi duszy wątpił wprawdzie, czy to była Aniela. Postanowił sprawdzić, czy nie ma tam młodej służącej, kucharki lub po prostu kobiety, którą przyjął za Anielę.

Następnej nocy w willi Staśki Lipy pogaszono światła wcześniej niż zazwyczaj. O godzinie dziesiątej, prócz starego dozorca, z którym Janek zdążył zawrzeć znajomość, wszyscy pogrążeni byli we śnie. Dozorca strzegł sumiennie willi przed złodziejami, natomiast przez palce patrzył na amantów, którzy zakradali się przez okna do damy swego serca.

Na próżno Janek usiłował dowiedzieć się od niego, ile kobiet przebywa w willi. Amant, którego Janek zauważył w altanie, widać nie szczędził napiwków. Dozorca jak gdyby nabrał pełne usta wody, milczał i uśmiechał się tajemniczo.

Że Janek jest człowiekiem, który interesuje się tylko kobietami, było dla dozorca więcej niż pewne. Zapewne inaczej wyobrażał sobie złodzieja, włamywacza. Janka uważał za bogatego cudzoziemca, który szuka flirtu.

Noc była ciepła, jasna. „Które okno należy do jej pokoju?” — strzeliła mu myśl. Janek zbliżył się do ganku i zadarłszy głowę do góry, wpatrywał się w okna.

Jako fachowiec zorientował się z łatwością w rozkładzie mieszkania. Ustalił, że pokój Anieli musi się znajdować na pierwszym piętrze. Zastanawiał się nad sposobami, jak by się tam dostać.

Dozorca próbował mu przeszkodzić w jego zamiarach, domyślając się, że coś tu jest nie w porządku. Ale kilka banknotów, które Janek wsunął mu do ręki, dały mu do zrozumienia, że lepiej będzie, jeżeli się usunie na drugi koniec willi. Przed odejściem dozorca go ostrzegł:

— Ostrożnie, młodzieńcze. Pan się chce zapewne dostać do Marty, a tam na piętrze mieszka córka szefa. Ostrożnie! Stary może się zbudzić.

Z wielkiej radości Janek miał ochotę rzucić się dozorczy na szyję i rozcałować go serdecznie. Brzydził się samego siebie, że bodaj przez chwilę mógł przypuścić, iż poprzedniej nocy zastał Anielę w altanie. Teraz nie wątpił już, że była to Marta, o której dozorca wspominał przed chwilą.

Przekupstwo

Pragnął teraz tylko rzucić się do stóp Anieli, błagać u niej przebaczenie i odejść. Odejść na zawsze, daleko, i więcej nie stanąć na jej drodze. „Jest zbyt czysta — myślał — bym ja, ordynarny przestępca, śmiał myśleć o niej, źle lub dobrze”.

Nigdy w życiu nie czuł do siebie takiego gniewu i odrazy, jak w tej chwili. Gdyby mógł plunąć sobie w twarz, uczyniłby to chętnie. Już myśl o tym sprawiała mu ulgę.

Aniela urosła teraz w jego wyobraźni do niedoścignionego ideału. Dotąd traktował kobiety jako rozrywkę. Interesował się tylko ich wyglądem zewnętrznym, nie zważając na wartości duchowe, im bardziej kobieta była wyuzdana i zdemoralizowana, tym więcej mu imponowała. Teraz inaczej spoglądał na kobiety.

Jak kot wdrapał się po schodach i zaczął majstrować u drzwi. Zamek rychło ustąpił i Janek znalazł się na korytarzu. Nocna lampka słabo oświetlała łóżko, na którym leżała kobieta. Dreszcz przeszedł mu po ciele. Kobieta tą była Aniela.

Przez dłuższą chwilę Janek nasyczał się jej widokiem. Aniela oddychała lekko i twarz jej wzbudziła w nim uczucie, jak gdyby spoglądał na bóstwo, a nie na żywą istotę.

W pewnej chwili uczynił krok w tył, jak gdyby chciał uciec stąd, niespostrzeżony przez nikogo. Ale w tej chwili Aniela przekręciła się na drugi bok. Krew uderzyła mu do głowy z taką siłą, że musiał się oprzeć o ścianę, by nie upaść. Wnet jednak opanował się. Usta jego szeptały czułe:

— Anielo! Jedyna!... Najdroższa!...

Zbliżył się do łóżka i wpił oczy w śpiącą kobietę. Doznawał teraz takiego uczucia, jak gdyby włamywał się do kasy pełnej pieniędzy, z tą różnicą, że z kasy mógł zabrać, ile chciał...

Janek żałował już, że się zakradł do Anieli. Bał się, że jego nerwy nie wytrzymają.

Janek stał jak przykuty do miejsca. Aniela spała spokojnie, nie czując na sobie płomiennych spojrzeń mężczyzny, który wzrokiem obejmował jej ciało. Aniela przyciągała go jak magnes, a jednokrotnie nie dopuszczała do siebie.

„Trudno, niech się dzieje wola boska” — pomyślał nieśmiało. Walka, jaką staczał ze sobą, była najsilniejszą w jego życiu! I zwyciężył.

Złe myśli pierzchyły jak zmyły nocne i w sercu jego zbudziły się szlachetne uczucia. Spoglądał też na ukochaną zupełnie innym wzrokiem. Cicho szeptały jego usta:

— Nie. Nigdy. Jestem podły, nikczemny, ale ciebie, najdroższa, nigdy nie skrzywdzę.

W tej chwili mówił szczerze, z całego serca. Spoglądał na Anielę jak na siostrę ukochaną, zachwycając się jej subtelnymi rysami twarzy.

Był zadowolony z siebie, że zdołał się opanować i potrafił tak spokojnie patrzeć na nią. Czuł się jak nowo narodzony. Całe życie chciałby tak czuć nad jej łóżkiem i strzec jej przed innymi mężczyznami.

Naraz rozległ się donośny kaszel z zewnątrz, a potem skrzypnięcie zamykanych drzwi.

Zimny pot wystąpił mu na czoło na myśl, że Stasiek Lipa może go przyłapać. Szybko dobył z kieszeni notes i skreślił kilka słów:

Aniela kochana. Żyję. Kocham cię tysiąckroć goręcej niż dawniej. Przebac mi, ty jedna możesz ziszczyć najgorętsze moje marzenie, zostać uczciwym człowiekiem. Twój Janek

Odruchowo, z przyzwyczajenia Janek natężył słuch i przybrał „fachową” pozycję. Wydawało mu się, że słyszy kroki po schodach. Czuł się gorzej, niż gdyby przyłapano go na gorącym uczynku włamywania się do kasy. Szybko wsunął karteczkę pod zegarek, który leżał na stoliku nocnym. Następnie delikatnie ucałował jej jasne włosy i cicho opuścił dom.

Dozorca nocny uśmiechnął się doń porozumiewawczo, dając do poznania, że wie, u kogo był. Dwa banknoty natychmiast zamknęły mu usta. Jako dowód, iż zrozumiał, że należy trzymać język za zębami, przyłożył sobie palec do ust.

— Uciekaj pan natychmiast! Stary już nie śpi...

Dozorca nie miał potrzeby powtórzyć napomnienia. Jednym susem Janek przesadził parkan i szczęśliwy wrócił do hotelu. Świtało już. Janek rozebrał się szybko i zasnął natychmiast. Słodkie sny i marzenia o Anieli przykuły go do łóżka aż do wieczora. Gdy zbudził się, zapadał już zmierzch. Szczęśliwy wyskoczył z łóżka. Wydarzenia ostatniej nocy wryły się w jego świadomość, napawały go uczuciem niewysłowionej radości.

Miał niejasne przeczucie, że tej nocy zajdzie w jego życiu wielka zmiana. Dotychczasowe życie najeżone niepewnością i niebezpieczeństwami wyrobiło w nim potrzebę ryzyka. Był to swego rodzaju hazard. Zakradanie się w nocy do pokoju Anieli napawało go dziwnym uczuciem.

Zastanawiając się nad kolejami swego życia, doszedł do przekonania, że nic nie zmyje z jego sumienia występnej przeszłości. Gdy myślał o Anieli, która w międzyczasie nabrała mądrości życiowej i doświadczenia, że należycie potrafi ocenić jego haniebne postępowanie wobec niej, łzy napłynęły mu do oczu. Janek płakał jak małe dziecko, które zrozumiało, że postępowało źle. Był przekonany, że Aniela go odrzuci, nie mógł jednak zrezygnować z rozkoszy, by spojrzeć na nią jeszcze raz jeden, zapytać, co sądzi o nim. W tej chwili pragnął, by Aniela nie miała wyboru i musiała się związać z nim na zawsze. Przez mózg jego przesuwaly się najbardziej fantastyczne pomysły.

Z rozważań tych wyrwało go dyskretne pukanie do drzwi.

— Proszę.

Drzwi otworzyły się na oścież. Do pokoju wtoczyła się tęga kobieta i uśmiechając się tajemniczo nakarminowanymi ustami, rzekła:

— Dobry wieczór panu, panie Blank, tak, zdaje się, brzmi pańska godność?

Janek, niezadowolony, że nieznajoma przerwała tok jego rozważań, zapytał niezbyt delikatnym tonem, nie odpowiadając nawet na jej powitanie:

— Czym mogę pani służyć i kim pani jest?

— Nie poznaje mnie pan, panie Blank?

Przykry uśmiech wykrzywił jej grube wargi. Nie czekając, aż poprosi, rozparła się szeroko w fotelu i zapaliła papierosa.

Janek szybko zarzucił na siebie płaszcz i skłoniwszy się grzeczne, rzekł:

— Pani daruje, muszę odejść.

Przybyła uśmiechała się nadal, pokazując rząd złotych zębów. Miała na sobie mnóstwo kosztownej biżuterii: brylantowych kolczyków i pierścieni; istna wystawa jubilerska.

Janek wiedział, że wszystkie jej brylanty są fałszywe. Kobieta ta mieszkała w tym samym co on pensjonacie i podawała się za bogatą Amerykankę. Janek domyślał się, że jest to międzynarodowa aferzystka, która celowo demonstrowa swoje brylanty. Trzymał się z dala od niej. Z jej sposobu zachowania się wynikało, że zna jego przeszłość. Janek postanowił bronić się do ostateczności.

Janek znał dobrze tego typu arystokratyczne kobiety, które można spotkać w każdym eleganckim uzdrowisku, gdzie żerują różnego rodzaju aferzystki, hochsztaplerzy²⁵. Było dlań jasne, że kobieta ta należy do tej kategorii ludzi. Aczkolwiek uchodziła tu za rodowitą Amerykankę, dowiedział się, że pochodzi z Warszawy, z ulicy Krochmalnej czy Smoczej.

— Nie wiem, o co pani chodzi — odezwał się ostro. — Bardzo dziękuję pani za towarzystwo, ale niestety w tej chwili jestem bardzo zajęty. Czy mam zadzwonić na portiera, by panią wyprosił? Tu Europa, a nie Ameryka, gdzie kobiety mogą sobie pozwolić na swoje kaprysy.

Janek świadomie wspominał o Ameryce, aby przybyła przypuszczała, że rzeczywiście wierzy w jej pochodzenie. Postanowił się nie poddawać.

Nieznajoma spoglądała nań ironicznym spojrzeniem, jak gdyby bawiła się jego kosztem i zniecierpliwieniem. Nadal nie ruszała się z miejsca, jakby nie zrozumiała, o co chodzi.

Janek pienieł się z oburzenia, wiedział jednak, że kobieta ta prowokuje go świadomie. „Zimna kokota N 2” — pomyślał, z tą tylko różnicą, że tamta jest piękna i młoda, a ta...

Wreszcie przybyła odezwała się:

— Jeżeli mnie pamięć nie myli, widziałam pana kiedyś.

Janekowi krew uderzyła do głowy. Miał ochotę schwycić kobietę za gardło i udusić na miejscu. Teraz, gdy zdawało mu się, że jest tak bliski szczęścia, znów przypominało mu jego ciemną przeszłość.

— Widziałem panią po raz pierwszy w pensjonacie.

— Moje oko nie myli mnie nigdy. Na pewno widziałam pana dawniej.

— O, bardzo panią przepraszam, ale jednak muszę odejść.

Zło

Kobieta, Obyczaje

²⁵hochsztapler — aferzysta. [przypis edytorski]

Przybyła wstała i przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

— A więc pan sobie mnie nie przypomina?

— Niestety, nie.

— Wprawdzie zmieniałam się w międzyczasie, utylam...

— Ale cóż mnie to może obchodzić — rzucił Janek.

— Hola, przyjacielu, cierpliwości.

— Skąd ten poufaly ton? — udawał Janek obrażonego.

Przybyła roześmiała się.

— Proszę się nie śmiać tak głośno i nie zawracać mi głowy. Czy aby pani nie wypila dziś za dużo...

— Nie wiem, kto z nas jest pijany, ja czy pan, przyjacielu kochany.

— Ja na pewno nie.

— I ja tak sądzę o sobie. Jesteśmy oboje przy zdrowych zmysłach.

— Nie wiem jednak ciągle, o co pani chodzi. Jestem w tym uzdrowisku po raz pierwszy.

— Wiem o tym.

— Co pani jest jeszcze wiadome o mnie?

— Bardzo wiele — roześmiała się przybyła.

Oboje przyglądali się sobie przez dłuższą chwilę.

Janek spoglądał w jej duże, mądre oczy. Zaczynał ją sobie naprawdę przypominać. Ogarnęło go przerażenie.

— Czy może mi pani otwarcie powiedzieć, kim pani jest?

— Bardzo chętnie, ale pan mi się pierwszy przedstawi. Możliwie, że przyjęłam pana za kogo innego. — Uśmiechnęła się ironicznie.

— Wszak pani zna moje nazwisko. Nazywam się Blank.

Przybyła wybuchnęła śmiechem.

— Nie o to nazwisko mi chodzi.

— A o jakie?

— To... To... — Mrugnęła lewym okiem.

Janek nie wątpił już teraz, że jest zdemaskowany. Postanowił jednak nie ustępować, aż sobie nie przypomni, kiedy tę twarz widział.

— Nie rozumiem, co oznacza to mruganie okiem? Nie znam się na tym.

— Za to ja się znam na tym — odparła kobieta, mrugnawszy okiem po raz drugi.

Janek poczuł się zaintrygowany. Odłożył płaszcz, który przez cały czas miał przerzucony na ramieniu, gotowy do wyjścia, i usiadł na wprost przybyłej.

— Pani ma piękne brylanty.

— Pan się zna na tym. Nic nie są warte.

— Czyżby?

— Tak samo jak pan...

— Pani jest tego pewna?

— Najzupełniej... Rozumiemy się doskonale...

To mówiąc, kobieta wstała.

— Nie będę pana dłużej zatrzymywała — rzekła — ale radzę się strzec!

— Kogo? — Janek zerwał się z miejsca.

— Wszystkiego... Jestem życzliwą...

— Proszę ze mną mówić otwarcie. — Janek schwycił ją za rękę.

— Przyszłam tu po to, by szczerze porozmawiać z Klawym Jankiem.

Janek zbladł. Nie mógł wydobyć z siebie głosu.

— Czemu się pan tak przeraził?

— Skąd pani mnie zna? Kim pani jest?

— Jestem „Lipet”. Teraz przypomina pan sobie?

— Skoro tak — odetchnął Janek z ulgą — jesteśmy w swoim gronie. Zna pani nasz parol²⁶? A jak się pani nazywa?

— Jestem wśród naszej braci nie mniej popularna od ciebie. Widzę, że osłabła ci pamięć. Jestem żoną Drejkopa.

²⁶parol — tu: hasło. [przypis edytorski]

— Czyż to możliwe?! Skąd się tu wzięłaś? Wszak mieszkacie w Ameryce...

— Bracie, my mieszkamy na całym świecie.

Oboje przyglądali się sobie przez chwilę, po czym Janek wybuchnął śmiechem:

— A ja przyjąłem cię w pierwszej chwili za Amerykankę, która szuka flirtu. A to frajer ze mnie!!!

— Prędko jednak zorientowałeś się, że moje brylanty są fałszywe. Powiedz mi, co tu porabiasz nad morzem?

— Sam nie wiem, skąd się tu wziąłem.

— Ale ja wiem... Wiem, że nie jesteś już dawnym Klawym Jankiem. Gdzie twoje sumienie złodziejskie? Tak nie postępuje błatny. Pamiętaj, że źle skończysz...

Upłynęła dłuższa chwila zanim Janek odpowiedział na ten zarzut.

— Właściwie nie wiem, o co ci chodzi...

Kobieta podeszła do drzwi i przekręciła klucz w zamku. Potem zbliżyła się do Janka i rzekła cichym, zmęczonym głosem:

— Czegoś się uwziął na starego Staśka Lipę. Daj mu żyć! Pozwól mu zapomnieć o przeszłości. Słyszysz!... — zakończyła groźnym tonem. — Dość się już nacierpiał w swym życiu.

Janek poczuł się, jak gdyby mu sztylet wbito w pierś. Zwiesił ciężko głowę i rzekł usprawiedliwiającym tonem:

— To nie moja wina, że spotkaliśmy się znowu. Zatrzymałem się tu zupełnie przypadkowo... Zresztą, cóż on mnie może obchodzić?

— Ale ona cię interesuje, co?

— Cóż to ciebie może obchodzić? — zapalił się Janek.

— Nawet bardzo, Janku.

— Nie będę się nikogo pytał, jak mam postępować!

— Daremny trud. Aniela już dawno zapomniała o tobie. Małoż kobiet przewinięło się w twoim życiu? Jeszcze jej ci brak do kompletu?...

— Ale cóż to ciebie obchodzi?

— Powiedziałam ci już, że bardzo wiele. Stasiak jest moim kuzynem. Aniela jest naszym okiem w głowie. Nigdy nie zostanie żoną złodzieja. Słyszysz? Nigdy!... Aniela ma narzeczonego, który jest adwokatem.

Janek zachwiał się na nogach. Prawą ręką uchwycił się stołu, by nie upaść. Spoglądał na nią błędnym wzrokiem, jak gdyby postradał zmysły. Naraz wybuchnął na wpół idiotycznym śmiechem.

Kobietę ogarnął strach. Nie wiedziała, co począć z sobą. Janek nie zdejmował z niej oczu. Zdawało się, że za chwilę rzuci się na nią.

— Coś powiedziała, że Aniela?...

Urwał i roześmiał się ponownie. Jego twarz skrzywił dziki grymas, a oczy biegały gorączkowo po pokoju, jak gdyby szukały narzędzia. Jankowi wróciła przytomność umysłu. Spokojnie zapalił cygaro i usiadł na krześle tuż obok przybyłej.

— Już odzyskałem równowagę. Nie lękaj się mnie. Klawy Janek ma twardą skórę. Życzę Anieli dużo szczęścia z jej adwokatem. Cieszę się, że jednak wybrała sobie na męża człowieka zbliżonego do naszego zawodu. Złodziej i adwokat są stale w kontakcie — ironizował. — Tylko o jedną bym ją prosił drobnostkę. A potem, przysięgam, nie pokażę jej się więcej na oczy.

Oboje milczeli przez chwilę. Kobieta spojrzała ze współczuciem na Janka i zapytała:

— Powiedz, o co ci chodzi... Postaram się wpłynąć, by uczyniła zadość twej prośbie, jesteś wszak naszym człowiekiem.

Janek z wdzięcznością pocałował ją w rękę.

— Pragnę ją zobaczyć po raz ostatni w życiu — wyrzucił z siebie jednym tchem.

— Widziałeś ją tej nocy.

— Wiesz o tym? — zawołał Janek zdumiony. — Jesteś genialnym detektywem — uśmiechnął się pośpiesznie.

— Dziękuję za komplement — obraziła się.

— To nie komplement. Jesteś doskonale poinformowana.

— Wiem też o twoim liście. Aniela podała go na drobne kawałki i podeptała nogami.

Złodziej, Prawo, Miłość,
Zazdrość

— Kłamiesz! Kłamiesz! — Janek zerwał się z miejsca i uczynił ruch, jak gdyby chciał ją schwycić za gardło. Kobieta nie ruszyła się z miejsca. Spoglądała na niego dumnie, jak na tchórza, którego nie ma powodu się obawiać. Jej spokój przywrócił mu przytomność umysłu.

— Jest mi bardzo źle... Jak nigdy w życiu — wybuchnął i zasłonił sobie twarz rękoma, jak gdyby się wstydził własnej słabości.

— Uspokój się, Janku — szepnęła kobieta.

Janek spojrzał na nią zdziwiony.

— Musisz się wyrzec Anieli — szeptała. — Ona nie chce cię znać. Szkoda zachodu. Stary Lipa raczej cię zamorduje i będzie gnił na stare lata w więzieniu, niżby ci miał oddać córkę za żonę.

Janek milczał. W mózgu jego krzyżowały się rozmaite myśli. Kobieta ciągnęła dalej:

— Jestem poinformowana o twoich wizytach w willi Lipy. Radzę ci się więcej tam nie pokazywać.

— Będę czynił, co uważam za słuszne — buntował się znów Janek. — Nikt na świecie nie będzie w stanie oderwać mnie od niej. Los mnie tu sprowadził. Ona musi być moja!

— A co na to powie policja?

— Niech robi, co chce. Mnie już jest wszystko jedno.

— Jak możesz twierdzić, że kochasz Anielę, kiedy zaraz pierwszego dnia po jej wyjeździe z Polski miałeś już kochankę?

— Kochanek miałem wiele — zawołał Janek — ale serce moje nie należało do żadnej z nich. Ją jedną tylko kocham.

Janek biegł po pokoju, niby zwierzę zamknięte w klatce. Oczy mu błyszczały jak u wściekłego kota.

— Czy pani ma tu zamiar jeszcze długo siedzieć? — zapytał, zatrzymując się przed nią.

— To zależy od ciebie.

— Skoro tak, mogła się pani wcale nie fatygować — wyrzucił z siebie Janek, wskazując jej palcem drzwi. — Dobranoc! — dodał.

— Do widzenia! — uśmiechnęła się kobieta.

Kobieta zmierzyła go od stóp do głowy, trzymając jedną rękę na klamce.

— Na co pani jeszcze czeka?

— Mam ci jeszcze coś do powiedzenia.

Kobieta puściła klamkę i usiadła z powrotem na krześle. Janek nic nie rozumiał.

— Janku! — odezwała się kobieta. — Czy naprawdę kochasz Anielę?

— Czy pani w to wątpi? Życie gotów byłbym oddać za nią.

— A gotów byłbyś zerwać raz na zawsze ze światem przestępczym?

— Tak postanowiłem raz na zawsze zerwać z przeszłością.

— I wierzysz, że będziesz mógł się opanować?

— Tak. Ostatnia noc dowiodła, że mam żelazną wolę.

— Wiem o tym.

— Co pani wie? — schwycił ją Janek za rękę. — Pani zachowanie wydaje mi się dziwne.

— Nie przerywaj. Odpowiadaj na pytanie. Powiedz, czy masz wiele dawnych grzechów, za które policja cię ściga?

— Sporo. Ale po co pani pyta o to? — denerwował się Janek.

— Cierpliwości. Czy jesteś zupełnie zdrow?

— Jak ryba.

— W takim razie Aniela będzie twoja.

Janek zerwał się z miejsca.

— Pani nie żartuje?! Aniela będzie moja?!

— Podejmuję się umożliwić wam spotkanie. Resztę pozostawiam tobie.

Janek był nieprzytomny ze szczęścia.

— Dlaczego mi pani tego od razu nie powiedziała? Jakże jestem wdzięczny pani!

— Uspokój się. Mamy jeszcze ciężki orzech do zgryzienia. Stary Lipa za nic nie zgodzi się pojąć ciebie za zięcia. On szuka dla swej córki lekarza, adwokata lub inżyniera; ona jednak słyszeć nawet nie chce o tym.

Miłość, Zdrada

— Kocha mnie jeszcze?

— Kocha cię goręcej niż dawniej, aczkolwiek nie wspomina o tym wcale, jestem z nią zaprzyjaźniona; opowiada mi o wszystkim. Ułatwię wam spotkanie. Stary nie może jednak wiedzieć o tym. Jego trzeba postawić przed faktem dokonanym. Rozumiesz?

— Tak. Ale czy Aniela zgodzi się na to?

— Nie bądź frajerem, już ja to wszystko załatwię, ale pod jednym warunkiem.

— Mianowicie? — Janek zapytał nieufnie.

— Żebyś nie zakradał się przez parkan. Tej nocy niewiele brakło, by Lipa cię schwycił.

— Jak ty jesteś dobrze poinformowana o wszystkim! — zawołał Janek oszołomiony.

— Jesteś pierwszorzędnym detektywem.

— Wiem o tym. Wolę jednak zostać blatną. Pamiętaj, Aniela nie wie o tym, że należę do świata podziemi.

— Dobrze. Ale umieram z tęsknoty porozmawiania z nią. Jak będę mógł się z nią zobaczyć?

— Polegaj na mnie. Każdej niedzieli wyjeżdżam z nią na spacer. Będziesz czekał tam, gdzie ci wskażę.

— Dziś mamy zaledwie wtorek. To ponad moje siły czekać aż do niedzieli.

— Inaczej być nie może. Musisz mnie usłuchać. Sam widzisz, że chcę cię z nią zetknąć. Chociaż, mówiąc między nami, nie jesteś jej wart.

— Zobaczysz pani, jak jej będzie dobrze ze mną. Zrobię wszystko, by uczynić ją szczęśliwą.

— A więc do niedzieli — rzuciła kobieta na pożegnanie i opuściła pokój Janka.

Gdy kobieta wyszła, Janek udał się do restauracji na kolację. Jadł i pił z wielkim apetytem. W pewnej chwili wzrok jego zatrzymał się na urodziwej blondynce, która mijając jego stolik. Jej klasycznie piękne nogi obciążone w cieniutkie jedwabne pończoszki budziły w nim niepokój. Miał już ochotę bliżej zainteresować się blondynką. Ale przypomniał sobie Anielę i... zrezygnował z zamiaru. Pełen radości i nadziei bliskiego zetknięcia się z Anielą udał się do pokoju na spoczynek.

ROZDZIAŁ V

Tej nocy, gdy Janek był w pokoju Anieli, młoda dziewczyna spała smaczniej i twardszym snem niż zazwyczaj. Ukołysana słodkim snem, nie słyszała, jak Janek się zakradł, a potem opuścił jej pokój. Zbudziła się wcześniej niż zwykle. Gdy Stasiak Lipa wszedł do jej pokoju, by złożyć ojcowski pocałunek na jej czole, była już dawno ubrana.

Staśka zaintrygował ten fakt. Ale gdy Aniela zarzuciła mu ramiona na szyję i oświadczyła, że spała dobrze, uspokoił się i udał się na swój codzienny spacer po willi, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Aniela umyślnie przybrała wesoły wyraz twarzy, by nie martwić ojca. W istocie była bardzo przygnębiona. Bilecik, który Janek zostawił na stoliku, obudził w niej na nowo uśpione uczucia. Rozpierała ją gorąca miłość do tego człowieka. Trawił ją głód zmysłów. Natura dopominała się o swe prawa. Kilka martwych słów na skrawku papieru przypominały jej setki wydarzeń, faktów z przeszłości, których na próżno pragnęła zapomnieć.

Jedyną jej przyjaciółką była znacznie starsza od niej kuzynka, ta sama, która odwiedziła Janka. Anieli nie przyszło nawet na myśl, że krewna ta ma za sobą bogatą przeszłość kryminalną. Zwierzała się jej ze wszystkiego. Opowiadała jej o swej miłości do Janka, którego mimo wysiłków nie może wyrwać ze swego serca. Wówczas kuzynka Anieli postanowiła na własną rękę rozpocząć kroki celem zbliżenia do siebie Anieli i Janka.

Gdy Aniela przeczytała list Janka, nie posiadała się ze szczęścia. Wierzyła, że uda się jej nawrócić go na uczciwą drogę i że będą ze sobą szczęśliwi. Była więcej niż pewna, że i on rwie się do niej całą duszą. Czuli, że bliska jest chwila, gdy los ich połączy na zawsze. Chciała go odszukać i wyznać swą miłość, tylko troska o starego ojca powstrzymywała ją od tego. Cierpiała i milczała. Miłość do starego ojca przemogła w niej uczucie do ukochanego. Musiała jednak wylać przed kimś swój ból. Powiernicą uczyniła swą kuzynkę, nie przypuszczała wcale, że ta kobieta pomoże jej urzeczywistnić piękny sen o Janku.

Następnej nocy w żaden sposób nie mogła zasnąć. Myślał, że i tej nocy może się zjawić, spędzała jej sen z oczu. Gdy zasnęła, już świtało. Janek nie zjawił się tej nocy. Przez cały

Miłość, List, Pamięć

dzień chodziła jak struta. Stasiek Lipa zauważył zmianę w jej usposobieniu i zaniepokoił się bardzo. Aniela zapewniała go, że nic jej nie jest. Stary ojciec postanowił jednak zbadać sprawę i ustalić przyczyny nagłej zmiany nastroju córki.

Następnej nocy Aniela udała się na spoczynek wcześniej niż zwykle. Gdy ojciec pocałował ją w głowę na dobranoc, Aniela udawała, że śpi. Stasiek wrócił do pokoju ufny, że noc minie spokojnie.

Gdy tylko została sama, Aniela szybko wyskoczyła z łóżka i wpiła wzrok w fotografię Janka, którą w tajemnicy przed ojcem miała zawsze przy sobie. Tęskniła za Jankiem. Tuliła jego fotografię do piersi jak żywą istotę. Nasłuchiwała. Przeczuciwała, że tej nocy stanie się cud. Przejmował ją dziwny strach. Zapaliła lampkę na nocnej szafce, chcąc zmusić siebie do czytania. Na próżno litery skakały jej przed oczyma. Odłożyła książkę i nakryła się koldrą po głowę. Nie mogła jednak zasnąć. Myśli ciężkie jak ołów nie dawały jej spokoju. Wszystkie dotychczasowe noce bezsenne były niczym wobec tego, co przeżywała teraz. Była gotowa na wszystko.

Aniela była uświadomioną niewiastą. Nie chciała jednak, by jej miłość do Janka ograniczała się tylko do fizycznego zbliżenia dwojga ludzi. Swą miłością chciała go oczyścić, wyrwać z występnego świata podziemi.

Wreszcie znużona i wyczerpana Aniela usnęła. Dręczyły ją fantastyczne, niezdrowe sny.

Poprzez cienkie firanki na oknach zaglądał księżyc. Oświecił gałęzie drzew i smukłą sylwetkę mężczyzny, który wdrapywał się przez parkan. Przez chwilę przyciął się pod parkanem, potem na czworakach czołgał się w kierunku domu. Z głębi ogrodu dały się słyszeć ciężkie kroki dozorczy. Tym razem Janek wołał się z nim nie spotkać. Kroki umilkły.

Janek leżał jeszcze przez chwilę na ziemi, po czym cichutko zaczął się skradać pod okno Anieli. Był już blisko schodów, które prowadziły do jej pokoju. W tej chwili świsnęło coś w powietrzu i jakiś wilgotny przedmiot dotknął jego twarzy. Janek upadł na ziemię. Przeraził się jak nigdy w życiu, mimo iż obfitowało ono w najfantastyczniejsze wydarzenia. Gdy wstał, przekonał się, że strachu nabawiła go jakaś mokra szmata, którą wiatr zrzucił na ziemię, śmiał się w duchu z tego wydarzenia.

Powoli i ostrożnie wspinał się po schodach, przechodząc po dwa stopnie od razu. Przy żadnej z robót, których wykonał w życiu mnóstwo, nie zachował tyle ostrożności, co tym razem. Przez dziurkę od klucza zauważył słabe światelko w jej pokoju. Delikatnie zabrał się do majstrowania u drzwi. Z wielkiego zdenerwowania nie mógł sobie poradzić z zamkiem. Zimny pot wystąpił mu na myśl, że będzie musiał zrezygnować z swego przedsięwzięcia. Zabrał się z pasją do roboty. Nie zważał na hałas, jaki powodował. Było mu już wszystko jedno. Postanowił nie rezygnować za żadną cenę. Zaczął zastanawiać nad innym sposobem dostania się do pokoju Anieli.

Po ostatniej rozmowie z kuzynką Anieli czuł się pewniejszy siebie. Próbował nawet zapukać do drzwi. Aniela nie słyszała. Bał się pukać głośniejsze, by nie zbudzić jej ojca. Jak kot zeskoczył ze schodów i przez chwilę obserwował okno okiem fachowca. Był wszak specjalistą w zakradaniu się do cudzych mieszkań. I tym razem znalazł sposób. Schodami dostał się na strych, skąd przez małe okienko wszedł na balkon, tam prowadziły drzwi do pokoju Anieli.

Znów nasycił swój wzrok widokiem Anieli. Pożerała go żądza, spalała mózg. Głos wewnętrzny wołał:

— Weź ją. Czeka na ciebie. Śni o tobie.

Janek czuł, że traci panowanie nad sobą. Na próżno usiłował uciec. Twarz jego wykrzywił zmysłowy grymas. Schylił się nad Anielą. W tej chwili skrzyżowały się ich spojrzenia. Z ich piersi jednocześnie wydarł się okrzyk:

— Janku!

— Anielo!

Porwał ją w swe ramiona. Janek wpił się ustami w jej wargi. Nie broniła się.

A za oknem dął wiatr morski, jak gdyby chciał opowiedzieć o wszystkim, co zaszło. Oboje roześmieli się szczęśliwi. Zmysły zwyciężyły moralność. W pewnej chwili Janek zauważył zmianę w usposobieniu Anieli.

Kobieta, Miłość

— Czemuś tak spoważniała, najdroższa?
 — Przypomniałam sobie ojca.
 Janek porwał ją w ramiona.
 — Co będzie dalej? — Aniela uwolniła się z jego uścisku.
 — Co ma być — odparł uszczęśliwiony Janek. — Pobierzemy się. Założymy ognisko domowe. Będziemy mieli dzieci...
 — To wszystko filozofia, mój kochany... Musimy się poważnie zastanowić nad naszą przyszłością.
 — Nie dbam o przeszłość ani o przyszłość. Jesteś dla mnie wszystkim. Powiedz, kochasz mnie?
 — Po tym, co zaszło między nami, czyż możesz wątpić w moją miłość? Czułam, że przyjdiesz.
 — Tęskniłaś za mną?
 Aniela w milczeniu zarzuciła mu ramiona na szyję.
 — Najdroższa, będziesz wiecznie moja. Słyszysz? Wiecznie!!!
 — To zależy od ciebie, kochanie.
 — Uczynię wszystko, co w mej mocy, by dać ci szczęście.
 — Wszystko?
 — Kochanie, czyż wątpisz w mą miłość do ciebie? Odtąd nie umiałbym żyć chwili bez twych oczu. Rozkaż, a uczynię wszystko. Jak pies będę leżał wiernie u stóp, posłuszny każdemu twemu życzeniu.
 — Wierzę ci, najdroższy. Dziś jeszcze musimy stąd uciec. Po tym, co zaszło między nami, nie śmiem pokazać się memu ojcu na oczy.
 Aniela przesłoniła sobie twarz. Janek próbował ją pocieszyć, ale łzy, które spływały po jej twarzy, onieśmiały go, nie mógł wydobyć z siebie słowa. Obawiał się, czy Aniela nie żałuje już tego, co zaszło między nimi... Znał gorycz uczucia, jakie opanowuje człowieka po dokonanej zbrodni. Postanowił się z nią rozmówić.
 — Anielko! Skarbie mój! Żoneczko najdroższa! Nie płacz! Przekonasz się, że nigdy nie pożałujesz tego, żeś ofiarowała mi swe serce, żeś oddała w me ręce swój los.
 — O nie, Janeczku, nie boję się o siebie — odparła Aniela — płaczę nad tobą.
 — Nade mną? Nie rozumiem ciebie.
 — Tak, najdroższy, obawiam się teraz więcej o ciebie niż o siebie. Serce mi mówi, że niedługo będziemy cieszyli się sobą.
 — Głupstwa.
 — O, mój złoty, nie mów tak. Mam ku temu powody. Czeka nas nieszczęście.
 — Po co mamy mówić o nieszczęściu, kiedy jesteśmy tak szczęśliwi? — zaczął się Janek denerwować. — Należymy do siebie i nic nie jest w stanie zakłócić naszej radości. Nie myśl o niczym, pozostaw to mnie.
 — Janeczku, kochany — wybuchła Aniela płaczem. — Twoje szczęście może się lada moment zamienić w nieszczęście. Musimy czym prędzej opuścić to uzdrowisko. Inaczej będziemy zgubieni.
 Janek zastanowił się na chwilę, po czym rzekł:
 — Sądzisz, że policja jest na moim tropie.
 — Jestem tego pewna. Ale co ciebie naprowadziło na tę myśl?
 — Domyślam się. Była u mnie pewna kobieta...
 — Czy Róża była u ciebie? — zawołała Aniela.
 — Tak. Opowiadała mi wiele. Między innymi wspomniała o policji.
 Aniela sposepniała. Łzy napłynęły jej do oczu.
 — Kobieta ta przechwalała się, żeś się zwierzył przed nią ze swej miłości do mnie.
 — Istotnie. Ona jedna mnie tutaj rozumiała. Tylko... dziwnie nie mam do niej zaufania...
 — Powiedz, Janku, czy kobieta ta nie należy do waszego świata?
 Janek milczał.
 — Nie odpowiadasz?
 — Nie wiem... Zresztą, ona jest twoją krewną... Przyrzekła skomunikować mnie z tobą. Tylko kazała mi czekać do niedzieli.
 — A tyś nie wytrzymał?

Miłość

— Gdybym wiedział, żeś mi wybaczyła, dawno bym już był przy tobie...
— Ale wróćmy do sprawy — przerwała mu Aniela. — Grozi ci niebezpieczeństwo i musisz stąd uciekać!

— Razem z tobą gotów jestem każdej chwili to uczynić.

— I ja nie myślę inaczej, żal mi tylko mego starego ojca. Wszak nie mogę uciec od niego, nie powiedziawszy mu ani słowa.

— Co masz zamiar uczynić?

— Wyznam mu prawdę.

— Co!... — Janek zerwał się z miejsca. — Żebyś się nie ważyła tego uczynić.

Aniela nie spodziewała się podobnej reakcji z jego strony. Wyprostowała się dumnie.

— Chcesz, bym już odczuła twoją brutalność? — zawołała wyniośle.

— Wybacz, kochana — tłumaczył się Janek. — Twój ojciec nie wybaczy mi tego nigdy, że wbrew jego woli zostałem twoim mężem.

— Będzie musiał się z tym pogodzić. Inaczej być nie może. Powiem mu wszystko.

— Błagam cię, Aniello, nie czyn tego. Nie znasz zwyczajów i zasad, jakie obowiązują w naszym świecie. Mnie jako Klawemu Jankowi nie wolno było pokochać ciebie. Jesteś córką złodzieja. To, czego dopuściłem się tej nocy wobec twego ojca, uważane jest w naszym świecie za największą zbrodnię. On zastrzeli nas oboje, jestem tego pewny.

— Ojciec kocha mnie i na pewno mi przebaczy. Gdy tylko wstanie, opowiem mu, co zaszło. Wyjdziemy stąd we troje.

Janek zrozumiał, że na nic się nie zdadzą wszelkie jego argumenty. Aniela nie ucieknie z nim bez wiedzy ojca. Spróbował jednak wytłumaczyć jej raz jeszcze, że ściągnie na nich nieszczęście.

— Nie znasz moralności świata podziemi. Nasz kodeks przewiduje najsurowszą karę dla blatnego, który oszukał swego towarzysza. Nadużywając twego zaufania, oszukałem twego ojca. Nie zasłużyłem na twoją miłość. My, mężczyźni, nie potrafimy kochać platonicznie... Przebac, że nie czekałem na ciebie, jak ty na mnie.

— Nie mów o tym. — Aniela przyłożyła mu palec do ust.

— Ale twój ojciec nie będzie tak wyrozumiały...

— Ojciec mój wie, że kocham ciebie. Wróć do swego hotelu, ubierz się elegancko i według wszelkich zasad etykiety poproś ojca o moja rękę.

— Wszystko, najdroższa, tylko nie to. Znam Staśka Lipę lepiej od ciebie, aczkolwiek jesteś jego córką. Nigdy nie zgodzi się na nasz ślub. Musimy stąd uciekać.

— Jeżeli będzie się upierał, opowiem mu wszystko, co zaszło tej nocy.

— Oszalałaś!? Człowiek ten, doprowadzony do pasji, zdolny jest do popełnienia największej zbrodni.

— Niech się dzieje, co chce. Idź! Zaczyna już świtać. Ojciec wnet się obudzi. Nie chcę, by cię tu spotkał.

— Nie ruszę się stąd bez ciebie.

— Mówisz jak dziecko.

— Nie, jak dorosły mężczyzna. Wyjdziemy i zawiadomimy go o naszym ślubie. Najlepiej jest postawić go wobec faktu dokonanego. Znam to z doświadczenia...

— Możliwie, ale ja nie ucieknę. Muszę przekonać mego ojca, że inaczej nie może być... Idź, proszę cię. Już dnieje.

— Nie pójdę! — upierał się Janek przy swoim.

Aniela spojrzała nań smutnym wzrokiem. Janek rzucił się jej do stóp.

— Pozwól mi zostać przy tobie — błagał. — Nie umiem teraz być bez ciebie ani chwili. Kocham cię, Aniello...

Aniela spojrzała nań karcącym wzrokiem, ale Janek ucałował serdecznie jej dłoń i ciągnął dalej:

— Nie gniewaj się na mnie, kochanie. Mam dziwne przeczucie... Wydaje mi się, że za progiem twego domu czeka na mnie niebezpieczeństwo... Teraz, gdy odzyskałem ciebie, miłość jest mi szczególnie droga... Nie chcę gnić za kratami... Z dala od ciebie...

W oczach jego błysnęły łzy. Serce Anieli ścisnął ból. Opanowała się jednak i rzekła:

— Jesteś przeczulony, Janku. Pocałuj mnie teraz i idź, a gdy przyjdiesz wieczorem, będziemy już gotowi do podróży. Ojciec udzieli nam swego błogosławieństwa i odtąd nie rozstaniemy się już nigdy. Słyszysz? Nigdy!

Miłość platoniczna,
Męczyzna, Zdrada

— Nigdy! — powtórzył za nią Janek, a jednocześnie doznał uczucia, jak gdyby zamknęły się za nim wrota więzienne. Wydało mu się nawet, że słyszy podejrzaną szmer pod oknem. Natężył słuch, ale Aniela roześmiała się beztrząsco:

— Przesadzasz, kochany... To tylko nerwy... Proszę cię, idź prędzej... Ojciec wnet się zbudzi.

Janek stał jeszcze wciąż niezdecydowany.

— No idź już, Janku, idź! Spełń, o co cię proszę, jeżeli mnie bodaj trochę kochasz...

Janek uczynił krok w kierunku drzwi.

— Nie żegnasz się ze mną?

— Ach, tak! — Janek cofnął się i porwał Anielę w ramiona.

W tej chwili rozległy się kroki na dole. Ktoś wspinał się po schodach. Suchy kaszel przerwał ciszę. Aniela zbladła jak chusta, a na twarzy jej odmalowało się tyle cierpienia, że Janek zapomniał o grożącym mu niebezpieczeństwie i odezwał się do Anieli:

— Nie bój się, najdroższa! Obronę cię!

— Uciekaj! Uciekaj — ledwie wyszeptała. — Ojciec idzie... Zabije nas...

Janek był w duszy zadowolony z czekającej go przeprawy. Postanowił wyjaśnić sytuację, raz na zawsze.

Aniela ukryła się pod kołdrą. Nie chciała być świadkiem spotkania Janka z ojcem. Gdy jednak rozległo się pukanie do drzwi, wybiegła z łóżka i otwierając drzwi szafy, zawołała:

— Ukryj się tam! — błagała. — Uczyn to dla mnie!

— Nie, muszę się z nim rozmówić! — obstawał Janek przy swoim. Przekręcił klucz w zamku.

Na progu stanął Stasiek Lipa.

W pokoju zapanowała śmiertelna cisza. Aniela nie śmiała podnieść oczu na ojca. Obaj mężczyźni zmierzli się nienawistnymi spojrzeniami. Pierwszy zerwał się z miejsca Stasiek Lipa. Był siny, oczy wylazły mu z orbit. Żył na skroniach napięły się jak struny... Powolnym krokiem zbliżał się do córki. Otworzył usta, by rzucić na nią słowa potępienia, ale w tejże chwili złapał się obiema rękami za klatkę piersiową i runął jak długi u stóp córki.

— Ojcie!... — zawołała Aniela i schyliła się nad starcem.

Na myśl, że Klawy Janek może być jego zięciem lub że Aniela może oddała mu się, Stasiek Lipa stracił panowanie nad sobą.

Stasiek Lipa odnosił wrażenie, jakby naraz cały świat zapadł się, a wszyscy ludzie poginęli — i tylko on jeden pozostał przy życiu, by spojrzeć ogromnej katastrofie w oczy. To, czego instynktownie przez całe życie się obawiał, nastąpiło... Życie utraciło dlań wszelką wartość.

Gdy spojrzał na Anielę, opuściła głowę. Wydawało mu się, że nie jego córka znajduje się w pokoju, nie jego dziecko, które ubóstwiał. To obcy człowiek, obca kobieta.

— Gratuluję!... — naraz zawołał Stasiek Lipa. — Winszuję!... — przekłuiwał Anielę ironią. A słowa ojcowskie wrzynały się teraz w serce córki z większym bólem, niżby zatapiał w niej ostrze noża.

Janek stanął między ojcem a córką.

— Postawiłeś na swoim? Co? Ty parszywy psie.

Janek nie odpowiadał. Tylko Aniela wstała, by zbliżyć się do ojca.

— Nie on postawił na swoim, ojcie — rzekła. — Żadna siła nie jest w stanie nas rozłączyć. Kocham go!

— Cha, cha, cha — wybuchnął nieswoim śmiechem Stasiek Lipa. — Coś powiedziała? Żadna moc was nie rozłączy?

— Ojcie, nie śmiej się. Należymy do siebie. Jesteśmy już jak mąż i żona...

Ale Stasiek Lipa wybuchnął jeszcze silniejszym śmiechem. Młodzi ludzie jednocześnie pomyśleli, czy Stasiek Lipa nie postradał zmysłów.

— Czy mógłbym z tobą porozmawiać? — spytał Janek Staśka Lipę.

— Ty ze mną... Nie, nie! Nie chcę cię znać!... Porozmawiaj z moją córką... Mnie zostaw w spokoju. Moim przyjacielem już nigdy nie będziesz.

— Dlaczego? Czy ci nie wypada?

Stasiek Lipa udawał, że nie słyszy, i zbliżył się do córki z zaciśniętymi pięściami.

— Tak tyś się odwzięczyła?... Bardzo pięknie z twojej strony... Miałś rację. Wszak jestem tylko złodziejem... Ojcu-złodziejowi wszystko wypada. Nawet córka.

Nie dokończył. Aniela wybuchnęła płaczem.

— Nie mogłam inaczej... Wyklnij mnie. Bij mnie. Rób, co chcesz, tylko nie lżyj.

— W tej chwili masz stąd wyjść! — krzyknął Stasiek Lipa do Klawego Janka, wskazując mu jednocześnie drzwi.

— Nie ruszę się stąd, póki nie rozmówimy się. Musisz mnie wysłuchać.

— Ze mną już nigdy rozmawiać nie będziesz. Twoim ciętym językiem zdołałeś, co prawda, uprowadzić moją córkę, ale ze mną nic nie wskórasz.

— Rozmyślisz się.

— Mylisz się.

Stasiek Lipa utkwiał w Janku groźne spojrzenie.

— Zapłacisz mi za wszystko. Zemszczę się na tobie za wszystko. Nie sądź, że już jestem bezbronny i stary, że można ze mną robić wszystko, czego się tylko zachciewa... Popamiętasz mnie, ty łobuzie...

— Pamiętam, pamiętam... — ironizował Klawy Janek. — Najlepszy dowód, że pamiętałem dotychczas o tobie, bo odszukam cię... Ale wiedz, że Aniela należy do mnie na zawsze, na wieki.

Krew nabiegła Staśkowi Lipie do oczu.

— Stul pysk!... Bezwstydny! Ale zapłacisz mi za wszystko.

— Kto się ciebie lęka?

Stasiek Lipa silnym pchnięciem ręki otworzył drzwi i z pośpiechem wybiegł z pokoju. Aniela, przerażona postępowaniem ojca, chwyciła Janka za rękę i zawołała:

— Musimy już stąd uciec. Stary może jeszcze popełnić głupstwo. Postradał chyba zmysły. Strach mnie ogarnia na myśl, że mogłabym przy nim pozostać.

— Nie lękaj się. Twój Janek strzeże cię.

— Dlaczego tak się uparłeś i nie chciałeś stąd odejść? — czyniła mu teraz Aniela wyrzuty. — Co teraz będzie? Przeczucie mówi mi, że tu wnet stanie się rzecz straszliwa. Strach targa mną. Co teraz będzie?

— Co ma być? Ojciec twój musi się trochę denerwować, oburzać, ale wnet pogodzi się z losem... Nie uważam go za tak głupiego, by nie zdawał sobie sprawy z tego, że już nic nie poradzi na to, co zaszło...

— Jesteś w błędzie. Nie znasz mego ojca.

— Możliwe, ale nie ma powodu do strachu.

W tej chwili drzwi otworzyły się i na progu stanął Stasiek Lipa, który robił okropne wrażenie. W jednym ręku trzymał rewolwer, wycelowany w Janka, a w drugim rękę sztylet. Aniela nie wierzyła własnym oczom. Oniemiała z przerażenia.

— Bądź gotów do wyprawy na tamten świat! — zawołał groźnie Stasiek Lipa do Janka.

Janek spoglądał nań z uśmiechem, chociaż w głowie błysnęła mu myśl: „Wszystko skończone...”.

Nie wątpił, że ten zacięty, stary przestępca spełni teraz swoją groźbę. Instynkt samozachowawczy podyktował Jankowi myśl nawiązania z Lipą rozmowy:

— Zastanów się, Staśku! Zastanów się nad tym, co chcesz uczynić! Wszak wiesz, że śmierci się nie lękam. Ale miej przynajmniej litość nad swoim dzieckiem. Z ciebie wielki egoista.

— Nie większy od ciebie. Musisz umrzeć!

Janek, przekonawszy się, że nie ma nic do stracenia, nagłym skokiem dopadł Staśka. Wywiązała się zacięta walka na śmierć i życie. Naraz padł strzał. Janek runął na podłogę, ciągnąc za kłapy Staśka Lipę...

Walka

Drzwi raptownie otworzyły się. Dwaj cywile z wyciągniętymi rewolwerami w rękę otoczyli ich.

— Ręce do góry! — padł rozkaz.

Wielki pies policyjny szczekał groźnie, jakby ostrzegał, że lepiej jest od razu ustąpić wobec władzy...

Wypadki nastąpiły po sobie w tak błyskawicznym tempie, że nie mogło nawet być mowy o stawianiu oporu. W kilkanaście sekund później Stasiek Lipa był już skuty w kajdanki. Aniela wyniesiono do auta policyjnego na wpół żywą i omdlałą. Janka z krwawiącą raną także umieszczono w aucie.

Dwaj miejscowi policjanci, którzy towarzyszyli dwóm cywilom, chcieli zaalarmować pogotowie ratunkowe, by śpieszyć Jankowi z pomocą lekarską. Ale obaj cywile, którymi byli komisarz Szczupak i starszy przodownik Andrzejczak, nie godzili się na żadne pauzy.

— Diabli go nie wezmą — rzekł komisarz. — W komisariacie już zrobimy, co trzeba będzie. Janek jeszcze nie kona...

Gra była skończona.

ROZDZIAŁ VI

Następnego dnia Szczupak i Andrzejczak odtransportowali całą szajkę do granicy, gdzie ją oczekiwała „służba honorowa” w postaci oddziału policji umundurowanej i cywilnej w liczbie kilkunastu osób.

Jak się wnet okazało, rana postrzałowa w plecy, którą otrzymał Janek, była lekka. Życiu jego nie zagrażało niebezpieczeństwo. Stasiek Lipa był zrezygnowany. Nie udzielał odpowiedzi na stawiane mu w śledztwie pytania. Policja nie mogła się tymczasem połapać, że dostała w swoje ręce słynnego przestępcę Staśka Lipę. Na miejscu strzału policja wystawiła aresztowanemu Lipie, który tam figurował pod innym nazwiskiem, jak najlepsze świadectwo. Wszystko miało się wyjaśnić w Warszawie.

Aniela była tak wstrząśnięta i złamana, że nie zdawała sobie sprawy z dalszego biegu wypadków. Nie rozumiała, dokąd ich prowadzą. Z bólem rozmyślała o starym ojcu, którego stan był godny pożałowania. Wyrzuty sumienia, które ją teraz trawiły, iż sama przyczyniła się do zaprowadzenia ojca na stare lata do więzienia, doprowadzały ją do szału.

Zaraz po sprowadzeniu całej szajki osadzono ją w więzieniu. Staśka Lipę umieszczono w osobnej celi. Jego tożsamości Szczupakowi nie udało się ustalić. Ale Szczupak nie wątpił, że wpadła mu w ręce gruba ryba, co najmniej drugi Krygier.

Straż, która czuwała nad Jankiem, była niezwykle ostra. W dzień i w nocy pode drzwiami jego celi czuwał strażnik. Również pod oknem jego celi czuwał drugi strażnik. Władze więzienne dobrze jeszcze miały w pamięci jego ryzykowną ucieczkę, która narobiła w całym świecie taką wrzawę, budząc powszechną sensację.

Anielę przydzielono do ogólnej celi, w której było kilka prostytutek i zawodowych złodziejek. Na szczęście w tej celi przebywała złodziejka, która wiedziała, kim jest Aniela. Dbała ona o to, by Anielę nie skrzywdzono. Przeciwnie, traktowano ją jak swoją. Ale Aniela była obojętna na otoczenie w celi więziennej, które stanowiło dla niej obcy świat. Dniami i nocami zalewała się łzami. Uważała siebie za winowajczynię wszystkich wypadków. Więcej myślała o starym ojcu niż o sobie. O Janku nie mogła wspominać, gdyż na samą myśl o nim traciła zmysły. Uważała go już za zupełnie straconego.

— Co będzie ze starym ojcem? Całe życie cierpiał, a teraz na stare lata będzie gnął w więzieniu? Ach, jakim nieszczęśliwa!...

Rozumiała, że musi przemilczeć sprawę Janka. Aresztantki już zdążyły wyśmiać Anielę, gdy opowiedział im o miłości do niego, jedna z nich nawet próbowała ją w ten sposób pocieszać:

— Nie bądź frajerką. Nie będzie Janek, to będzie Franek. Nie ma powodu do zmar-twień. Z tak pięknym „cyferblatem”²⁷ znajdziesz tysiące mężczyzn na jego miejsce. Gdybym ja była tak piękna jak ty, oho, już poradziłabym sobie. Niejeden mężczyzna leżałby pod moim obcasem. Polegaj na mnie. Przezywają mnie „Czerwoną Hanką”. I wiem, co mówię. Oho, ja to wiem wszystko...

Aniela miała wiele do zawdzięczenia znajomym ojca, nie mając nawet o tym pojęcia. Gdyby nie ten взгляд, padłaby ofiarą demoralizacji i występnej miłości więziennej... Uszanowano jej godność. Dano jej pod tym względem spokój. Przeciwnie, starano się wpływać na Anielę uspokajająco:

— Nie rozpaczaj — tłumaczono Anieli. — Więzienie jest dla ludzi zbudowane. Lu-

Więzienie, Więzień,
Rozpacz, Wyrzuty
sumienia, Opieka

Więzienie, Więzień,
Kondycja ludzka, Złodziej

²⁷cyferblat (gw. środ.) — twarz. [przypis edytorski]

dzie tu przychodzą, ale ludzie także stąd wychodzą. Nie ma wieczności na ziemi. Tu ludzie są podobni do podróżnych w hotelu. I dlatego nie trzeba ani płakać, ani rozpaczać. Wszak jesteś córka blatnego. Okrywasz hańbą ród złodziejski swoim tchórzostwem. Nieładnie. Twój ojciec jest taki odważny, a ty zdradzasz więcej strachu od przeciętnej frajerki. W twoich żyłach płynie przecież krew złodziejska. Ludzie naszego pokroju nie mogą się niczego obawiać.

Skutek tych pouczeń był wręcz odmienny. Aniela jeszcze więcej popłakiwała. To co u aresztantek uchodziło za punkt honoru, zasadę, szczyt moralności złodziejskiej, napawało Anielę strachem, odrazą i pogardą do samej siebie, że los mógł ją spręgnąć z takim otoczeniem. Aniela i wspomniane aresztantki stanowiły dwa odrębne światy. Nie rozumiały siebie.

Pierwsze dwa dni pobytu w więzieniu złamały Anielę. Oczy opuchły od łez, a od specyficznego zapachu kotła z jedzeniem wzbierało jej na wymioty. Dwa dni pościła. Nie mogła dotknąć potraw więziennych. Zmieniła się do niepoznania. Drogo zapłaciła za miłość do Janka. Ale miłość ta nie zmalą. Kochała go teraz jeszcze goręcej, jeszcze silniej.

Nie mogła odżalować teraz, że nie postąpiła dość energicznie i siłą nie przepędziła Janka przed nadejściem ojca. Byłoby może do tego wszystkiego nie doszło.

Znajoma Staśka perswadowała Anieli:

— Janek nie zginie. Znam go dobrze. Och, to bestia, nie człowiek. Odzyska wcześniej ode mnie wolność, chociaż muszę jeszcze tu posiedzieć z pół roku. Dla Janka nie ma takich murów więziennych ani takich krat, które na zawsze mogłyby go odgradzić od wolności. Będziecie jeszcze razem używali wolności. Zresztą od zatrzymania przez policję do wyroku skazującego dzieli nas długa droga. I dlatego wierzę, że Janek wykręci się.

Po chwili znajoma Staśka Lipy ciągnęła dalej:

— Wiem, że twój Janek niejedno przeszkrobał i niejedną grzech ciąży mu na sumieniu. Sprawiedliwość i kara znajdzie już dość powodów, by uwiesić mu na szyi wyrok na długie lata. Ale niejednokrotnie już to się zdarzało, że dowody skierowane przeciw oskarżonemu stają się dlań deską ratunku. Sędziowie nie są jasnowidzami, by móc przejrzyć dusze przestępców. W sądzie wiele zależy od różnych „dodatków” i okoliczności. Duże znaczenie mają zeznania świadków. Znam te sprawy z doświadczenia. Można być winnym przestępstwa i wyjść na wolność, a można być niewinnym i powędrować za kraty więzienne. Taki jest los człowieka. Trzeba mieć też szczęście. No i dobrego adwokata. Główna rzecz to pieniądze. Nieraz się zdarzyło, że uczciwość odmierzana była wedle kieszeni oskarżonego. Ciebie przecież na pewno wypuszczą na wolność.

Aniela nawet nie słyszała dokładnie słów swojej pocieszycielki. Miała przy jej słowach wrażenie, jakby wrywano włosy z jej głowy, a ciało przekłuwało szpilkami. Otoczenie było okryte mgłą i mrokiem. Przyszłość wydawała się jej beznadziejnie ciężka.

Niespodziewany przypadek, który zburzył tak długo wyczekiwane szczęście, dzielił Anielę obuchem po głowie. Nie mogła zebrać myśli, które chaotycznie błędziły w jej mózgu zboląłym.

Wieczorem, gdy ogłaszano, że nastała pora snu, rzucała się na brudny barłóg, walcząc ze snem jakby z upiorem. Spojrzenia aresztantek, które przekłuwały jej ciało dziwną i chorobliwą żądzą, przejmowały Anielę uczuciem zgrozy i ohydy. Nawet nie rozumiała dobrze utajonych pragnień zboczowych²⁸ współlokaterek. Podchwytывała nieraz szepem prowadzone rozmowy między aresztantkami, które przy tym rzucały groźne spojrzenia w stronę opiekunki Anieli. Niewiele z tego rozumiała, ale dużo strachu przeżywała.

Ale sen jest silniejszy od człowieka. Zmożył więc i Anielę. Gdy zasypiała, wchodziła w drugi świat mąk i cierpień. Z mroku więziennego poczęły się wylaniać widziadła, cienie, duchy, które wpijały się szponami w podświadomość Anieli. Ach, te zmary więzienne!...

Pierwszy we śnie zjawiał się jej stary ojciec ze spojrzeniem smutnym i pełnym wyrzutów. Po tym — Janek, który porywał ją w swoje ramiona. Później nawiedzały ją inne postacie: komisarz Żarski, Regina, Krygier, Bajgele, Wołkow, Antek, Felek, Milczek i za nimi w tyle włókl się profesor z Poznania, który ją wszak ostrzegał. Korowód ten zamykała „Zimna kokota”, która chichotem szyderczym jakby mówiła:

²⁸zboczowych — raczej: zboczonych. [przypis edytorski]

Więzień, Sprawiedliwość,
Kara, Los, Człowiek,
Pieniądz

Więzień, Więzienie, Sen

— Już jesteśmy do siebie prawie podobne, niby dwie krople wody...

Po takich snach koszmarnych Aniela budziła się jeszcze bardziej wyczerpana i złamana niż przed tym.

I Janek nie lepiej czuł się od Anieli w więzieniu. Miał nad nią tę przewagę, że już nieraz zasmakował w tym, ale i na niego nagle zaarrestowanie spadło niby grom z jasnego nieba. Życie zemściło się na nim fatalnie. Akurat kiedy ziściły się jego najgorętsze marzenia, oderwano go od Anieli, która złączyła się z nim sercem i ciałem.

W pierwszej chwili, gdy wzmocniona eskorta odprowadzała go do więzienia, nie zdawał sobie sprawy z tego, co w nim zachodziło. Dopiero następnego dnia, gdy obudził go ze snu dozorca więzienny, zdał sobie sprawę z rzeczywistości.

Instynktownie zaczął się ubierać. Jakby we śnie słyszał głosy dobiegające go z korytarza więziennego oraz brzęk kluczy więziennych.

Stał przy drzwiach. Powiodł ręką po czole, jakby chciał zebrać myśli. Oczy jego spoczęły na kratkach, serce jego drgnęło, jak gdyby miało skoczyć gdzieś w dal. Zbliżył się do okna. Promienie słońca ledwie mogły się tu przedrzeć i przypomnieć, że za murami więziennymi jest piękny świat, wolność, radość i miłość...

Drzwi otwarły się z łokotem.

— Śniadanie!

Janek nie ruszył się z miejsca.

— Śniadanie, powiadam! Ogłuchłeś?

Menta²⁹ szerzej otworzył drzwi, jakby na miejscu zamierzał wymierzyć karę temu, który ważył się go przez chwilę dłużej zatrzymać.

— Daj garnuszek — rzucił kalifaktor.

Janek jeszcze raz potarł ręką czoło i odrzekł:

— Dziękuję. Nie chcę.

— Co, masz zamiar proklamować strajk głodowy? Już zaczynasz swoje stare sztuki? Ruszaj się! Gdzie garnek?

Kławy Janek machinalnie podał swój garnuszek i odebrał przydział chleba, który odłożył na stół. W garnuszku chlusnęła czarna ciecz o osobliwym i przykrym zapachu. Drzwi z łokotem zatrzęsły się z powrotem.

Janek przyjmował wszystko z wyrazem twarzy człowieka, który postradał zmysły. Robił wrażenie człowieka-lunatyka. Wypadki, które spadły na niego tak niespodziewanie, wstrząsnęły nim do głębi. Żelazny Janek załamał się. Rozstanie z Aniela i uwięzienie oszołomiły go. Ale nie na długo. Po dwóch dniach zrodził się w nim bunt przeciwko prześladowcom.

Wiedział, że wcześniej czy później uda mu się stąd wydostać. O siebie się nie troszczył. Niepokoiła go tylko myśl o tym, że Aniela nie wytrzyma reżymu więziennego. Pienił się ze złości, zagrażał. Ale ceka więzienna przypominała mu, że póki jest w tych murach, silniejsi są ci, którzy je strzegą. Hamował swój gniew, by w przystępie furii nie popełnić głupstwa, które trzeba będzie w więzieniu odpokutować.

Z niecierpliwością oczekiwał chwili, kiedy prowadzić go będą do sędziego śledczego. Nie podobała mu się sytuacja, że znów spotka się z ironicznymi spojrzeciami prześladowców. Nie znosił ich, „przedstawicieli sprawiedliwości” — a jednak pragnął, by to spotkanie odbyło się czym wcześniej, by jak najprędzej dowiedzieć, że Aniela jest niewinna.

Był pewny, że sędzia śledczy wypuści ją na wolność.

„Wezmę wszystko na siebie — rozumował w duchu — przyznam się do wszystkiego, czego tylko ode mnie zażądata, byleby zwolnili Aniela”.

Był tak odurzony miłością do Anieli, że przestał się orientować w sytuacji. Zapomniał, że policja jest poinformowana o udziale Anieli w akcji wykradzenia go z Pawiaka³⁰ i że ten fakt wystarczy, by Aniela dalej trzymać w więzieniu i skazać ją na karę więzienia. Podświadomość dyktowała mu tylko sytuacje wygodne i pomyślne... Myśl, że Aniela musi odzyskać wolność, górowała nad wszystkim.

Janek nie nudził się w więzieniu. Kombinował, opracowywał plany, układał sobie w myśli odpowiedzi na pytania, które, jego zdaniem, zada mu sędzia śledczy.

Więzienie, Więzień,
Jedzenie

Więzień, Więzienie, Grzech

²⁹ *menta* — policjant. [przypis edytorski]

³⁰ *Pawiak* — więzienie męskie mieszczące się na ulicy Pawiej w Warszawie. [przypis edytorski]

Przypomniat sobie przede wszystkim wszystkie „wyprawy”, które podejmował. Segregował je według pewnego porządku. Podzielił swoje grzechy na dwie kategorie: na te, o których policja ma pewne informacje, oraz na te, które przeszły gładko, bez najmniejszego śladu.

Zestawienie tego bilansu zabrało mu sporo czasu. Przyszedł do wniosku, że nawet pięćset lat więzienia nie wystarczyłyby na wyrównanie tego „rachunku przestępstw”, gdyby miano mu wymierzyć karę za każdy grzech z oddzielną. A przecież ciążył na nim zarzut zabójstwa policjanta, który faktycznie padł z ręki Wołkova. Będzie mógł wskazać na Wołkova. Ale po pierwsze, byłoby to niełojalne wobec współnika... A po drugie, kto wie, czy uwierzą, że mówi prawdę?... Jedyny dowód, list, w którym Wołkow przyznaje się do winy zabójstwa policjanta, przechowywał u siebie Krygier.

Najnieszczęśliwszy był Stasiak Lipa. Dostawał ataki sercowe. Nie bolało go to, że dostał się do więzienia, lecz okoliczność, że kula, którą posłał Jankowi, nie była śmiertelna.

Stan zdrowia Staśki Lipy pogorszył się do tego stopnia, że trzeba było umieścić go w szpitalu więziennym. Przypadek zrzucił, że go umieszczono w tej samej celi, w której skonał garbusek.

Stasiak Lipa przyjmował wszystko z rezygnacją. Dopatrywał się w ostatnich klęskach życiowych palca Bożego, który ukarał go w ten sposób za wszystkie grzechy popełnione w życiu. Ze spokojem ducha oczekiwał śmierci.

Na zegarze więziennym wybiła dwunasta godzina. Rozległ się dzwon obwieszcający godzinę obiadu. Później nieco we drzwiach trzech cel Anieli, Janka i Staśki zawołał menta drewnianym, grubym głosem:

— Do sędziego śledczego!

W kilka minut po tym wszyscy trzej stali, odgródzeni od siebie, w długim, ponurym korytarzu więziennym. Jeden nie wiedział nic o drugim. Twarzą do ściany stali w pełnym odosobnieniu, oczekując na chwilę wpuszczenia ich do gabinetu sędziego śledczego.

Pierwszy został wezwany Stasiak Lipa.

— Siadajcie — rzekł mu łagodnie na powitanie sędzia śledczy, podsuwając mu krzesło. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Stasiak Lipa ciężko westchnął. Na gładko ogolonej twarzy sędziego śledczego ukazał się uśmiech zadowolenia.

— Pan jest chory?

Lipa nic nie odpowiedział. Lekki uśmieszek ironii przewinął się wokoło jego ust. Ale wnet zaczął go dusić męczący kaszel, który rozrywał serce na strzępy.

Sędzia śledczy nagle napędnął szklanek wodą z karafki stojącej na stole i podał ją Lipie.

— Proszę, niech pan pije, przyniesie to panu ulgę...

— Dziękuję, już się lepiej czuję.

Obaj spojrzeli na siebie. Sędzia śledczy manipulował coś w aktach, jakby szukał wstępu do rozmowy i badania, do którego już musiał przystąpić. Zależało mu widać na tym, by odbyło się ono w nastroju odpowiednim i niedenerwującym...

— Jak dawno chorujecie na serce?

— Panie sędzio, lepiej będzie, gdy pan natychmiast przystąpi do sprawy — rzekł Stasiak Lipa, akcentując każde słowo. — Sądzę, że moja choroba sercowa najmniej pana sędziego w tej chwili obchodzi.

Jak przed wielu laty...

Stasiak Lipa przysunął się bliżej sędziego śledczego, który zaglądając do swoich papierów, uśmiechał się tajemniczo.

— Poznajecie mnie? Oho, ja was dobrze pamiętam!

— O nie, panie sędzio — odparł Stasiak Lipa. — Nie miałem jeszcze zaszczytu pana sędziego poznać. Pan sędzia się myli co do mojej osoby.

— Jestem zadowolony, że nie jesteście tym, za którego przyjąłem was. Jeżeli się nie znamy od dawna, to tym lepiej. Prędzej dojdziemy do ładu. Możecie być ze mną szczerzy. Rozumiecie sami, że wszystko wiemy i że policja nie śpi.

— Panie sędzio, widzę, że pan mnie przyjmuje za kogo innego. Nie mam nic wspólnego z tym groźnym przestępcą, Klawym Jankiem.

— Chciałbym w to uwierzyć. Ale o tym jeszcze pomówimy. Teraz proszę mi podać swój wiek.

— Sześćdziesiąt lat! Cała sześćdziesiątka! Już dość przeżyłem na tym świecie — rzekł Stasiek Lipa z ironią.

— Gdzieście się urodzili?

— W Rosji.

— Zawód.

— Mechanik. Ślusarz.

— Tak, to precyzyjny fach — uśmiechnął się sędzia.

Zaległa cisza, którą przerwał wnet sędzia śledczy.

— Żonaty? Dzieci macie?

— Tylko jedną córkę.

— Którą zatrzymano wraz z wami?

— Tak jest, panie sędzio.

— W jakim wieku jest wasza córka?

— Liczy dwadzieścia dwie wiosny. Sądzę, że wiek mojej córki nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

— O, nie! Jej sprawa wiąże się z waszą.

Stasiek Lipa wzruszył ramionami.

— Sergiusz Dymitrow. Czyżby pan sędzia nie miał moich zagranicznych dokumentów?

Sędzia śledczy uśmiechnął się.

— Ale wasza córka nie spamiętała imienia ojca... Córka jednak podała inne imię. Owszem, papiery wasze są w naszym posiadaniu.

Stasiek Lipa zbladł jak chusta.

Sędzia śledczy udawał, że nie widzi tego, i schyliwszy głowę nad papierami, ciągnął dalej:

— A więc nazywacie się Sergiusz Dymitrow? Owszem, rdzenne imię i nazwisko rosyjskie... A jakie macie obywatelstwo?

— Rosyjskie.

— Mieszkaliście kiedyś w Warszawie?

Sędzia śledczy świdrował Staśka Lipę swoimi przenikliwymi oczyma.

Na twarzy Staśka Lipy ukazał się jego charakterystyczny uśmiech.

— Nie, w Warszawie jeszcze nigdy nie byłem.

— Może sobie dokładnie przypomnicie ten szczegół? Czy w 1902 roku nie siedzieliśmy tu razem, w tym pokoju?

— Nie, nie! Pan sędzia się myli. Zachodzi tu oczywiste nieporozumienie. Przyjmuje mnie pan, panie sędzio, za kogo innego. Nigdy tu moja noga nie stała. Widzę pana sędziego po raz pierwszy w życiu.

Wzajemnie usiłowali przeniknąć siebie. Chociaż obaj mieli wrażenie, że się już kiedyś widzieli w życiu, nie mieli jednak tej absolutnej pewności, jasne jest, że Lipie najmniej na tym zależało, by sobie przypomnieć tę okoliczność.

— Zrozumcie — ciągnął dalej sędzia śledczy — to już kawał czasu minął. Dwadzieścia lat! Zmieniłem się w międzyczasie. No i wyście się zapewne zmienili. Przypomnijcie sobie tę okoliczność. Chciałbym sprawdzić, [...]stem młodszy od was³¹.

Sędzia śledczy odnosił się do Staśka Lipy z widocznym szacunkiem. W gruncie rzeczy do zachowania pewnej formy wobec aresztanta skłaniała go niepewność, czy rozpoznał Staśka Lipę.

Stasiek jednak zdążył zorientować się, że policja jeszcze nie wie, z kim ma do czynienia, i postanowił nie dać się zdemaskować.

— Jestem niewinny, panie sędzio. Bezpodstawnie jestem oskarżony lub podejrzany o coś. — Stasiek Lipa uniósł do góry głowę, która mu cały czas ciążyła.

— Możliwie. Ale w takim wypadku, skąd się wziął do pańskiej willi³² niebezpieczny bandyta Kławy Janek?

— Kławy Janek zapoznał się na plaży morskiej z moją córką.

— Rozumiem. I co dalej było? — pytał sędzia śledczy.

³¹Chciałbym sprawdzić, [...]stem młodszy od was — błąd w druku, który uniemożliwia odczytanie brakującego fragmentu tekstu. [przypis edytorski]

³²skąd się wziął do pańskiej willi — popr.: skąd się wziął w pańskiej willi. [przypis edytorski]

— Pan sędzia rozumie... Dzisiejsze dzieci...

— Tak, tak. I ja mam dzieci. Stale mamy z nimi konflikty. Podrasta złe pokolenie. Nie chce się słuchać rodziców...

Znów zaległa cisza. Poufały ton sędziego śledczego budził u Staśka Lipy podejrzenie.

— Więc mam to rozumieć, że pańska córka zakochała się w Klawym Janku? — spytał po chwili sędzia śledczy.

— O, tak! I na nic się zdały moje perswazje. Od razu tknęło mnie złe przeczucie, iż córka wpadła w ręce jakiegoś podejrzanego gagatka. Uprzedzałem moją córkę, ale nadaremnie.

— Kto strzelał do Klawego Janka?

— Ja! Postanowiłem oboje zastrzelić. Nigdy nie dopuszczę, by córka moja poślubiła przestępcę...

Ze słów Staśka Lipy biła przekonywująca prawda. Sędzia śledczy nie miał powodu wątpić w tę część zeznań badanego. Płynęły one spod serca.

— A więc, przynajęcie się — rzekł sędzia śledczy — do tego, że usiłowaliście zamordować amanta córki. I strzelaliście z tego oto rewolweru?

— Tak. Żałuję tylko, że strzały moje chybiły.

— Ale to jest karalne. Może ktoś być największym nawet przestępcą, nikt nie ma prawa dokonywania nad nim samosądu³³. Kara i sprawiedliwość spoczywają w ręku właściwych ludzi. Na to istnieje sąd. Czyście o tym nie wiedzieli?

— Owszem. Wiedziałem. Uniosłem się. Nie pamiętałem, co robię. Było mi wszystko jedno, co stanie się później.

— Rozumiem. Proszę mi tylko powiedzieć prawdę: czy byliście już kiedykolwiek karani?

— Nigdy. Oby tak dalej do końca moich lat, których już niewiele pozostało mi w życiu. Stale unikałem konfliktów z kodeksem karnym.

— Nigdy? — przepytał sędzia śledczy.

— Nigdy! — rzekł Stasiek Lipa tak stanowczym i uroczystym tonem, że sędzia śledczy począł w pośpiechu przerzucać akta, czytając od czasu do czasu coś pod nosem.

— Gdzie wasza córka poznała Klawego Janka?

— Na wybrzeżu morskim. W bardzo romantycznym zakątku — uśmiechnął się Lipa gorzko.

— A przed tym nie znała go?

Stasiek Lipa zorientował się, że wyspał się. Przypomnił sobie w tej chwili, że Aniela brała udział w zorganizowaniu ucieczki Klawego Janka z więzienia, o czym policja musiała wiedzieć...

— Kto wie? Kto to może dziś ręczyć za swoje dzieci?

— Czy córka wasza bawiła kiedyś w Warszawie?

— Przejazdem.

— Aha... Rozumiem... A kiedy to miało miejsce?

— Nie pamiętam.

— Przypomnijcie to sobie, bo to ważny szczegół. Nawet poniekąd decydujący i dla waszej sprawy.

— Nie mogę sobie tego przypomnieć.

Sędzia śledczy poczynił pewne notatki w swoich aktach.

— Powiedz mi pan — zmienił naraz sędzia śledczy ton — czy mógłby pan złożyć kaucję, gdybym powziął decyzję wypuszczenia pana na wolność do czasu wyjaśnienia sprawy?

— Zależy, o jaką sumę chodzi — odparł Stasiek Lipa spokojnie, aczkolwiek nie wątpił, że to chwyt sędziego śledczego, który pragnie go czymś zaskoczyć.

— Dobrze. Na dziś starczy. Za kilka dni dam panu znać o wysokości potrzebnej kaucji. A za córkę również jest pan gotów złożyć kaucję?

— Wolalbym, aby pan sędzia natychmiast wypuścił córkę moją na wolność! Ona jest absolutnie niewinna! — Stasiek Lipa wyciągnął obie ręce przed siebie, a oczy zasły mu łzami.

³³dokonywania nad nim samosądu — popr.: dokonywania na nim samosądu. [przypis edytorski]

— O, nie! Ona musi pozostać w więzieniu! Wraz z ukochanym ma ona na sumieniu szereg ciężkich grzechów.

— Co? Moja córka? Nie! To wykluczone! Przysięgam, że moja córka jest niewinna i że nie dopuściła się żadnego przestępstwa! Gotów jestem za nią złożyć na poczet kaucji cały mój majątek, byleby się jak najszybciej znalazła na wolności! Złe dziecko, ale zawsze moje dziecko. Jedyne dziecko!

— Ile ma pan w swoim majątku? — zapytał naraz sędzia śledczy.

Stasiek Lipa zawahał się:

— Mam licznych przyjaciół, którzy z pewnością złożą potrzebną sumę, o ile mój skromny mająteczek nie wystarczy.

— Jeden z was musi zostać w więzieniu do procesu. Inaczej być nie może.

— Dobrze. Ja tu pozostanę — rzeki Stasiek Lipa. — Córka moja nie powinna nic wiedzieć o więzieniach, gdzie młodzi ludzie przechodzą najgorszą szkołę demoralizacji. Chcę uratować moje dziecko.

— A skąd pan wie, że więzienie tak demoralizuje? — Sędzia śledczy spojrzał podejrzliwie na Staśka Lipę.

— Czytałem o tym. Nie chcę, by córka moja przebywała w atmosferze zbrodniarzy. Wśród prostytuttek i złodziejek dusza jej przedwcześnie zwiędnie.

— A jednak ona pokochała zbrodniarza.

— Nie wiedziała, kim jest. A potem było już za późno...

— Pan to mówi poważnie, bym zwolnił córkę, a pana tu zatrzymał w więzieniu? Wszak pan jest niezdrow! Panu raczej prędzej przydałaby się wolność pod względem zdrowotnym.

— Obu nam³⁴ przydałaby się wolność, ale skoro inaczej być nie może...

— Tak to już być musi: albo pan, albo córka.

— W takim razie niech pan sędzia wypuści na wolność córkę.

Naraz sędzia śledczy wybuchnął śmiechem, od którego Stasiek Lipa wzdrygnął się cały.

— U mnie oboje długo posiedzicie... Oboje... Nie tak prędko ujrzycie światło dzienne!... Przechytrzyłeś sprawę...

I zanim Stasiek Lipa zdołał zorientować się w sytuacji, sędzia śledczy polecił go wyprowadzić z gabinetu.

Następnie badany był Klawy Janek.

— Siadajcie — rzekł sędzia śledczy, nie spoglądając wcale na aresztanta.

— Dziękuję. Będę miał dość czasu na siedzenie — odrzekł cynicznie Klawy Janek.

— Dowcipniś z was — rzekł sędzia. — Ale mam wrażenie, że jesteście zbyt pewni siebie.

— Taki już jestem i nie zmienię się.

— A kiedy zamierzacie znów stąd uciekać?

— Gdy tylko się nadarzy ku temu okazja, panie sędzio. Rozmyślałem właśnie o tym w dzień i w nocy.

— Daremny trud. Więcej się wam ta sztuka nie uda. Wiecie, o co was oskarżają?

— Skąd miałbym o tym wiedzieć? — Janek udawał, że nic nie rozumie. — Co policji może wpaść do głowy, tego ja wymyśleć nie potrafię. Mogą mi wmówić nawet, że urodziłem dziecko...

— Siadajcie i bez żartów! — rzekł sędzia surowiej. — Musimy się rozmówić. Dodaję na wstępie, że to od was zależy, by kara wypadła łagodniejsza. Ale by to się stało, trzeba, abyście nam opowiedzieli całą prawdę.

— Czyż inaczej myślałem?...

Sędzia śledczy wyczuł ironię ze słów Klawego Janka i przyjął surową postawę.

— Czy wiecie, że swoim zachowaniem pogarszacie tylko sytuację? — zapytał ostro sędzia śledczy. — Mamy dość środków na to, by jednak skłonić was do większej rozmowności.

— Wiem o tym. Wszystko mi jedno. Możecie robić ze mną, co chcecie. Ale uprzedzam, że ze złością nic nie wskóracie u mnie.

— Możliwe, ale waszej przyjaciółce nie jest chyba wszystko jedno, co będzie.

Ojciec, Córka, Więzień,
Więzienie, prostytutka,
Dusza

³⁴obu nam — popr.: obojgu nam. [przypis edytorski]

Słowa te silnie podziały na Klawego Janka. Odbiło się to momentalnie na wyrazie jego twarzy. Łobuzerska mina ustąpiła miejsca wyrazom cierpienia i męki. Zwiesił głowę.

— Ona jest niewinna... Ona jest niewinna... — powtarzał kilkakrotnie, a sam skręcał się przy tym niby gad. Zdawało się, że wrastał w ziemię. Stał się mniejszy o głowę.

Sędzia śledczy wyprostował się. Triumfalnie podkręcał wąsa. Przygotował się do wykorzystania słabych miejsc badanego. Posypał się grad pytań.

— Jak się nazywacie? I za czym paszportem wydostaliście się za granicę?

Klawy Janek milczał.

— Milczycie? Ale za to my już wszystko wiemy. Pański teść już wszystko tu wyśpiewał. Wszak jesteście starymi przyjaciółmi. Znać się nie od dziś...

Janek milczał zapatrzonego w obraz zawieszony na ścianie, który przedstawiał jakiegoś bohatera z mieczem w ręku. Sędzia śledczy wnet połapał się, że ten trik jest zbyt stary dla sprowokowania Janka i zachęcenia go do zeznań, więc zaczął od innej beczki.

— Wasza przyjaciółka jak dawno chodziła z wami na robotę?

Janek otrząsnął się przy tym pytaniu i uczyniwszy krok naprzód, odparł:

— Ze mną róbcie, co chcecie. Opowiem wam całą prawdę, ale ją puśćcie na wolność. I nie wtrącajcie jej osoby do moich spraw, z którymi nie miała nigdy nic wspólnego. Za największe przestępstwo uważam właśnie to, że zawróciłem tej dziewczynie głowę. Niepotrzebnie i niewinnie została wplątana w tę aferę. Ani ona, ani jej ojciec nie należą do świata przestępczego. Poznaliśmy się przypadkowo. Była niedoświadczona, naiwna i niewinna. Nie powiedziałem jej prawdy o sobie. Ona jest ofiarą mojej przestępczości...

— Rozumiem... Jeszcze jesteście w niej zakochani i dlatego wolicie, by wasza przyjaciółka znalazła się na wolności. Zawsze będzie mogła wam zanosić wałówki... Mamy jednak dowody, że ona była hersztem waszej tajnej bandy. Ani ona, ani jej ojciec tak prędko nie ujrzą światła dziennego. Ojciec jej przyznał się do przynależności do świata podziemi. Oto są jego słowa. Mogę je wam odczytać.

Janek przybrał ponownie postawę cyniczną i rzekł:

— Czy naprawdę uważa mnie pan za takiego frajera? Takie triki odpowiadają innej sytuacji, na przykład, gdy się zatrzymuje handlarza bajgielkami. O ile pan sędzia życzy sobie komedii, proszę bardzo, możemy ją grać w dalszym ciągu.

Sędzia śledczy nerwowo zdjął okulary, które począł energicznie pocierać chusteczką, po czym temperował ołówek kolorowy, później zatopił wzrok w aktach.

— Ile razy byliście już badani przez sędziego śledczego?

— Wielokrotnie, ale za takiego naiwnego nikt mnie nie przyjmował... — odciął się Klawy Janek.

— I za każdym razem byliście tak cyniczni?

— Jakże inaczej odnosić się do was, sędziów śledczych?

— I sądzicie, że tak będzie dla was lepiej?

— Jestem tego absolutnie pewien.

Sędzia śledczy uśmiechnął się.

— Za takiego głupca nie uważałem Klawego Janka.

— A ja żałuję, że wpadłem w ręce takiego sędziego śledczego.

— Co? Jak śmiesz? Każę cię zakuć w kajdany. — Sędzia zerwał się, pełen oburzenia. — Zgnijesz u mnie w oddzielnej celi. To samo spotka także twoją przyjaciółkę.

Janek ledwie opanował się przy ostatnich słowach, by nie rzucić się na sędziego. Janka twarz skrzywiła się do tego stopnia, że sędzia przeraził się. Krzyknął głośno. We drzwiach ukazali się natychmiast strażnicy, którzy w mgnieniu oka rzucili się na aresztanta. Schwycili go za ręce.

— Wyprowadzić tego łotra i zakuć w kajdany! — rozkazał sędzia śledczy. — Ja ci pokażę, kanalio! Błagać będziesz, że chcesz już zeznawać. Oho, wyśpiewasz mi już wówczas wszystko! Ja ci już otworzę pyszczek! Nie pierwszy jesteś u mnie...

Janka wyrzucono z pokoju. W przyległej izbie dla więźniów zakuto go w kajdany.

Do gabinetu sędziego śledczego wprowadzono Anielę.

Zegar więzienny wybił godzinę trzecią po południu. Do gabinetu sędziego śledczego dochodziły odgłosy przejeżdżających na ulicy tramwajów i przebiegających przechodniów. Życie za oknem szumiało i przypominało Anieli o wolnym świecie. Serce ścisnęło jej się z bólu; rozpląkała się głośno.

Więzień, Więzienie, Łzy,
Rozpacz

— Pani płacze — rzucił sędzia szyderczo. — Radzę zostawić kilka łez na później. Wypadnie tu pani jeszcze długie lata posiedzieć. Przydadzą się i łezki.

Aniela podniosła na sędziego zapłakane oczy. Sędzia urwał, a potem dodał łagodniejszym tonem:

— Proszę, niech pani spocznie.

Podał jej krzesło. A w duszy pomyślał:

„Co za czyste spojrzenie... Po raz pierwszy widzę zbrodniarkę o tak niewinnym wyrazie twarzy”.

Nie wątpił, że ma przed sobą zbrodniarkę. Akta, jakie zawierała jego teczka, dawały mu stuprocentową pewność, że stoi przed nim wyrafinowana zbrodniarka, która uzbroiła się w zapas historycznych łez, by wzruszyć jego serce mężczyzny. Postanowił w duszy być nieczuły na jej łzy ani na subtelny wdźwięk, jaki bił z jej całej postawy.

Aniela usiadła na brzegu krzesła i z ufnością utkwiała wielkie oczy w surowej twarzy sędziego śledczego. Robiła wrażenie, jak gdyby nie zdawała sobie sprawy z powagi chwili ani z tego, przed kim się znajduje. Wyglądała, jak gdyby spodziewała się od tego człowieka pomocy i obrony przed prześladowcami.

Sędzia śledczy zmierzwił badawczym wzrokiem zgrabną kibić Anieli. Na próżno siłił się na urzędowy ton. Musiał przyznać, że w wieloletniej praktyce nie miał jeszcze do czynienia z tak piękną zbrodniarką. Myśli, które daleko nie licowały³⁵ z powagą chwili, natrętnie wdzierały się do jego mózgu. Zazdrościł Klawemu Jankowi tak pięknej narzeczonej i to obudziło w nim nienawiść do tej kobiety.

— Jak pani na imię?

— Aniela.

— A jak się nazywa pani ojciec?

Aniela wybuchnęła płaczem.

— Proszę się uspokoić. Nie uczynię pani nic złego — rozpoczął sędzia łagodniejszym tonem. — Ze mną może pani być zupełnie szczerą.

Aniela rozpląkała się jeszcze głośniej.

— Jeżeli się pani nie uspokoi, odeślę ją z powrotem do celi. Tam się pani wypłacze.

Aniela rzuciła się niespodziewanie do jego stóp:

— Litości... Nie odsyłaj mnie pan więcej do celi... Nie przeżyję tego!...

Sędzia cofnął się szybko. W jego mózgu zrodziło się podejrzenie: „O, z niej nie byle jaki ptaszek — pomyślał w duchu. — O, jestem już dwadzieścia pięć lat na tym chlebie, mnie nie wyprowadzi w pole!”.

— Proszę w tej chwili przestać płakać! — rzekł rozkazującym tonem. — Tamte kobiety nie są gorsze.

Aniela otarła łzy. Wzrokiem pełnym przerażenia spojrzała na swego prześladowcę, po czym usiadła z powrotem na miejsce.

— Czy dawno jest już pani jego kochanką?

Aniela nie odpowiedziała.

— Jak długo jesteście już zaprzyjaźnieni ze sobą?

W oczach Anieli zabłyśły ogniki gniewu.

— Na nic pani oburzenie... Znamy się na tym. Odpowiada pani czy nie?

— Czego pan chce ode mnie? Za co mnie pan męczy? Ach, jacy ludzie są źli!...

Sędzia nie wątpił już teraz, że ma do czynienia z wyrafinowaną symulantką.

— Miła turkaweczko³⁶!... Na próżno się pani trudzi. Od pierwszej chwili zorientowałem się, kogo mam przed sobą. U mnie pani tymi sposobikami nic nie wskóra. Szkoda wysiłku.

— Co pan sobie myśli o mnie? — Aniela uniosła dumnie głowę. — I za kogo pan mnie ma?

— Za taką, jaka pani jest w istocie, moja panienczko! Wszak nie zaprzeczy pani, że jest kochanką niebezpiecznego zbrodniarza, Klawego Janka, nieprawdaż?

Aniela zasłoniła sobie twarz obiema rękami, a z jej piersi wydarł się spazmatyczny szloch.

Uroda, Piękno, Więzień,
Zazdrość, Nienawiść

³⁵licować — pasować do czegoś. [przypis edytorski]

³⁶turkaweczka — zdrobnienie od: turkawka, ptak podobny do gołębia; przen.: dziewczyna. [przypis edytorski]

— Pani znów płacze...

Aniela nie odpowiadała. Sędzia śledczy tracił cierpliwość.

— Milczeniem i płaczem pogarsza pani tylko sytuację...

Aniela nie słuchała jego słów. Rozumiała teraz swego ojca i Janka, dlaczego z taką nienawiścią odzywali się o tych, którzy dzierżą w swych rękach wymiar sprawiedliwości. Za co się znęcają nad nią, kiedy nie poczuwa się do niczego? W sędzi śledczym widziała tylko złego człowieka, który chce ją skrzywdzić. I postanowiła nie odpowiadać na jego prowokacyjne pytania.

— Dziwi mnie pani upór — kontynuował dalej sędzia śledczy. — Podobnym postępowaniem przedłuży pani tylko śledztwo i tym dłużej wypadnie jej potem czekać na proces. Dlaczego zarówno ojciec, jak i kochanek pani przyznał się do wszystkiego? Wszak nie zaprzeczy pani, że jest córką tego starca i kochanką Klawego Janka? Oni opowiedzieli mi już wszystko.

— Pan kłamie! Kłamie!... — zawołała Aniela.

— Proszę się liczyć ze słowami, moja panno. I nie udawać, że nie orientuje się, gdzie jest i z kim mówi. Mamy dziesiątki sposobów na to, by złamać pani upór. Wszyscy przestępcy są dla nas równi i nie mamy żadnych względów, nawet dla kobiet. Upprzedzam, że nasze środki na rozwiązanie języków nie są przyjemne...

— Czego pan chce ode mnie? Dlaczego mnie pan dręczy? — zawołała Aniela zrozpaczona. — Czy to moja wina, że mój ojciec... i...

Urwała. Sędzia śledczy zerwał się z miejsca.

— Kim jest pani ojciec?... Słucham!... O to nam właśnie chodzi.

Aniela zrozumiała, że o mało co nie powiedziała za dużo. Postanowiła milczeć i nie zwracać więcej uwagi na jego słowa.

Sędzia milczał przez dłuższą chwilę, po czym znów zwrócił się do Anieli:

— A więc pani się upiera przy swoim? Nie chce pani wydać swych współników, co?

Aniela dziwiła się w duchu, że dotąd sędzia nie pytał jej wcale o współudział w ucieczce Janka z więzienia. To była jedyna łączność, jaką miała z nimi. Postanowiła, że jeżeli zapytają o to, przyzna się natychmiast.

— Proszę mnie kazać odprowadzić do celi — prosiła Aniela. — Nie mam już więcej sił.

Tyle wyrzutu było w jej kilku słowach, że sędzia zmiękł i kazał ją wyprowadzić z pokoju. Aniela zamknięto w oddzielnej celi, a nie jak dotąd w ogólnej.

Sędzia chciał tym złamać jej upór. Wiedział z doświadczenia, że nic tak nie załamuje wewnętrznie więźnia, jak samotność w ciasnej, brudnej celi, gdy człowiek pozostaje sam ze swymi myślami, z własnym bólem i wyrzutami sumienia. Aby uciec od zmory samotności, więźniowie popełniają największe głupstwa, włącznie z przyznaniem się do zbrodni, której nigdy nie popełnili.

ROZDZIAŁ VII

Hrabina, którą okradziono krytycznej nocy, kiedy Wołkow zamordował policjanta i zabrał mu tekę z pieniędzmi, zrabowaną przez Klawego Janka, zamieszkiwała nadal w Warszawie.

Po dziwnym wypadku, jaki jej się wydarzył, że administrator nabył dla niej willę w Poznaniu akurat z ręki tak niebezpiecznego przestępcy, jakim był Krygier, zrezygnowała z wyjazdu z Warszawy. Niezwłocznie po tym wypadku hrabina odsprzedała willę i postanowiła pozostać w stolicy.

Już zapomniała o wielkiej stracie, jaką poniosła po włamaniu do jej apartamentów.

Tylko o jednym wypadku nie mogła zapomnieć, chociaż to wydarzenie miało także miejsce wówczas. Z pamięci nie mogła wymazać postaci panny, która na podstawie ogłoszenia w gazecie zgłosiła się do niej w charakterze guwernantki. Przybyła otrzymała posadę i miała wrócić z dokumentami. Ale od tego czasu znikła bez śladu.

Postać Anieli prześladowała hrabinę. Tak utrzymała sobie w pamięci jej wygląd, wymowę i sposób chodzenia, że... przypominała sobie rozmowę, w której ustalała rodzinne stosunki Anieli.

Gdy hrabina zapytała Anielę o jej ojca, dziewczyna naraz zbladła i posmutniała. Hrabina domyśliła się, że dziewczyna nie może i nie chce mówić o swym ojcu.

Więzień, Kobieta

Więzień, Więzienie,
Samotność

Kim mogła być ta dziewczyna? — zadawała sobie hrabina to pytanie nie wiadomo po raz który. Nadaremnie zastanawiała się nad tym, dlaczego ta panna, mimo przyrzeczenia, że przyjdzie do pracy, nie wróciła i posadę odrzuciła.

Aniela, jak wiadomo, dlatego nie stawiała się do pracy, bo po prostu wstydziła się przebywać w domu, który Klawy Janek ograbił. Aniela domyśliła się z opowiadania hrabiny, że Klawy Janek w jej domu popełnił zbrodnię. Mimo iż Anielę ciągnęło do tego domu i do sympatycznej hrabiny, nie mogła tam pozostać.

Obie kobiety — hrabina i Aniela — nie znały się nigdy przed tym. Tylko jeden raz się spotkały w życiu, a tak się związały podświadomie myślowo, jakby łączyła je głębsza więź.

Aniela wyśmiewała siebie, że tak często powraca w myślach do tej bogatej kobiety. „Cóż ona mnie może obchodzić” — zarzucała sobie w duchu. Aniela wstydziła się i przychodziła do wniosku, że właściwą przyczyną, dla której chciałaby powrócić do hrabiny, był komfort, jaki ją tam czekał. Karciała siebie za to. Ale wbrew woli bardzo często wyłaniały się w jej wyobraźni poszczególne fragmenty pałacu hrabiny: marmurowe schody, lustra, dywany perskie, żyrandole, zastawa srebrna i wiele innych cennych przedmiotów, jakie widziała w pałacu.

Ale gdy później śniło się jej o tych rzeczach, mawiała — głupie sny.

Hrabina znów w odmienny sposób tłumaczyła sobie okoliczność, dlaczego nie może wymazać z pamięci sylwetki nieznajomej dziewczyny. Nagłe zjawienie się jej i równie niespodziewane zniknięcie tłumaczyła sobie w ten sposób:

Widać Stasiak Lipa — jej były mąż — chciał się w ten sposób zemścić na niej. Zaranżował tę sprawę. Po przeczytaniu ogłoszenia w gazecie zorientował się z podanego adresu, że poszukuje wychowawczynie, i posłał córkę, by obudzić w hrabinie wspomnienia przeszłości. Chciał, by widok porzuconej córki wywołał w niej wyrzuty sumienia. Oczywiście nie wyznał córce, kim jest hrabina... A potem zabronił jej objąć posadę...

Przypuszczenie, że Aniela jest jej córką, było raczej oparte na intuicji niż na faktach. W jej mózgu zrodziły się najrozmaitsze przypuszczenia dotyczące osoby urodziwej wychowawczynie. Raz była przekonana, że jest to jej córka, którą pozostawiła u Staśki Lipy, gdy dziewczynka miała zaledwie dwa lata. Dopatrzyła się nawet w niej pewnego podobieństwa do siebie i do drugiej córki, zrodzonej z małżeństwa z hrabią. Innym razem znów nabierała przekonania, że była to córka podziemi, wysłana przez swą bandę dla zbadania, czy można u niej spróbować szczęścia po raz wtóry...

Jako była żona Staśki Lipy znała wszystkie sposoby, jakimi posługują się ludzie podziemi w najrozmaitszych wypadkach. W ciągu trzech lat pożycia z Lipą nie uczynił w jej obecności nic takiego, co by zdradziło jego zawód. Tylko z podsłuchanych niekiedy rozmów domyślała się rzeczy, na których Lipa był przekonany, że ona jako frajerka nigdy się nie pozna.

Hrabina wyznała nawet komisarzowi Żarskiemu, który jeszcze wówczas żył i prowadził śledztwo w sprawie dokonanej u niej kradzieży, że panna, która zgłosiła się do niej z ogłoszenia, wydaje jej się być podejrzana. Ale na próżno usiłowała odmalować przed komisarzem jej wygląd zewnętrzny. Komisarz Żarski, który był w owym czasie po uszy zakochany w Anieli, widział Anielę zupełnie innymi oczyma, niż ją przedstawiała hrabina, dlatego też nie mógł się zorientować, kogo ona ma na myśli.

Hrabina próbowała też na własną rękę poprowadzić dochodzenie i ustalić, kim jest przybyła do niej w charakterze wychowawczynie dziewczyna. Zamieszczała ona we wszystkich dziennikach ogłoszenie następującej treści:

„Młoda niewiasta imieniem Aniela, która zgłosiła się w sprawie kondycji³⁷, proszona jest o natychmiastowe zgłoszenie się. Jestem gotowa wynagrodzić ją w dwójnasób³⁸ za jej pracę. Dziecko, którym Pani miała się zaopiekować, rozchorowało się poważnie z tęsknoty za nią i woła bez ustanku: »gdzie jest moja pani, dlaczego nie przyszła...«”.

Ale na nic się zdały jej wysiłki! Zgłosiło się nawet kilka niewiast, które zapewniały, że mają na imię Aniela, i zgłaszały się w sprawie kondycji. Jednak prawdziwa Aniela zginęła jak kamień w wodzie.

³⁷kondycja (daw.) — posada nauczyciela domowego lub korepetytora. [przypis edytorski]

³⁸w dwójnasób — podwójnie. [przypis edytorski]

Tęsknota za Anielą wzrastała w sercu hrabiny z dnia na dzień. Sama nie wiedziała, czemu równocześnie z imieniem jej córki wypływa w jej wyobraźni obraz nieznajomej dziewczyny. Na próżno pocieszała się, że jest to tylko skutkiem podobieństwa imion.

Ostatnimi czasy użyła wszelkich możliwych sposobów, by ustalić, gdzie przebywa Stasiak Lipa z córką. Na próżno! Trik, do którego uciekł się jej adwokat, wysyłając do adwokata Lipy list z wyjaśnieniem tajemnicy, jakoby Stasiak Lipa nie był ojcem Anieli, jak wiemy, nie udał się. Lipa zorientował się, że hrabina czeka tylko na to, by on wyrzucił Anielę ze swego domu, a wówczas ona odzyska córkę...

Stasiak Lipa nigdy nie wspominał przed córką imienia jej matki. Nie istniała więc dla niego.

Czy kochał ją jeszcze?

Tak. Ją jedną tylko kochał. Nie mógł przeboleć jej zdrady, nie mógł jej zapomnieć. Kochał ją, a zarazem nienawidził z całej duszy. Już dawno by zatopił swą zemstę w jej krwi, ale za każdym razem przypominał sobie, że kobieta ta jest matką jego dziecka, i uwalniał się na pewien czas od myśli o krwawej zemście, która go prześladowała.

Gdy Stasiak nasłał Janka i jego ludzi na hrabinę, by ją obrabowali, kierował się dwoma względami. Po pierwsze — że tam można się łatwo wyspać i w ten sposób pozbędzie się Janka, po wtóre — chciał bodaj częściowo zemścić się na tej, która złała mu życie i zamieniła go na innego.

Stasiak Lipa był dla niej najlepszym mężem i przyjacielem. Z natury dobry i bardzo ambitny czynił wszystko, co było w jego mocy, aby żona była zadowolona ze swego losu. Zaraz po ślubie uświadomiła ona sobie swą wartość jako kobieta, jako panna nie zdawała ona sobie z tego sprawy. Bogate stroje, kosztowna biżuteria, przepych, jakim ją otoczył, wywołały zamęt w jej umyśle. Kiedyś musiała się zadowolić skromną batystową³⁹ sukienką — na lepszą nie stać było jej ubogich rodziców. Teraz, jako żona Staśki Lipy, znalazła się w szeregu tych kobiet, dla których mąż jest tylko sztyldem, parawanem, za plecami którego można sobie na wszystko pozwolić...

Jej znajomość z pułkownikiem rosyjskim rozpoczęła się w sześć tygodni po ślubie. Przez dłuższy czas broniła się przed jego zalotami. Czuła wdzięczność dla swego męża-złodzieja, który ją wyrwał z biednego domu rodzinnego i otworzył jej wrota do tego, co ludzie nazywają życiem.

Bywały chwile, kiedy odczuwała wyrzuty sumienia. Gdy była młodsza i mogła korzystać z życia, uczucie to było jej obce. Ale teraz, jako starsza kobieta, wdowa po hrabim, zaczynała coraz częściej wspominać Lipę i swą porzuconą córkę Anielę.

„Aniela — myślała hrabina — powinna już mieć ze dwadzieścia jeden lat. Nie chciałabym, by została sama na świecie...”

Anielę, którą porzuciła jako małeństwo, kochała jeszcze bardziej niż swą drugą córeczkę. Może dlatego, że świadoma była krzywdy, jaką jej wyrządziła.

Jej pożycie z hrabią nie było szczęśliwe. Na początku ją wprawdzie ubóstwiał. Później uczucie jego do niej osłabło. Interesowały go więcej tancerki, wino, konie wyścigowe. Doszło nawet do tego, że gdy wracał na wół pijany do domu po hulankach nocnych, wyrzucał jej pochodzenie żydowskie, szydził z niej, że jest podłą kokotą, która porzuciła męża i dziecko, by zostać jego kochanką.

Tak pogarszało się ich współżycie z dnia na dzień. Gdy przysła im na świat córeczka, stosunki zaostrzyły się jeszcze bardziej. Hrabia nie mógł znieść myśli, że dziecko zrodzone przez Żydówkę będzie nosiło jego arystokratyczne nazwisko.

Osamotniona hrabina całą swą miłość przeniosła na dziecko, szczególnie, że hrabia rzadko kiedy był w domu. Większą część życia spędził w Szwajcarii lub Monte Carlo. Przybywał do domu tylko po to, by się zaopatrzyć w świeży zapas pieniędzy, gdyż pieniądze, szczególnie w Monte Carlo, płynęły jak woda. To jednak nie zmniejszało stanu jego posiadania. Majątek jego wzbogacał się o coraz nowe spadki. Od czasu do czasu umierała jakaś bogata ciotka, pozostawiając mu majątek.

Po kilkuletnim pożyciu z hrabią, jako ślubna żona, hrabina owdowiała. Niespodziewanie otrzymała telegram, że mąż jej zmarł na atak sercowy. Z rana, gdy przeglądał pocztę, zasnął nagle i po kilku minutach zmarł. W testamencie cały swój majątek zapi-

Miłość niespełniona,
Zdrada, Nienawiść

Małeństwo

³⁹batystowy — wykonany z batystu: cienkiej tkaniny lnianej lub bawełnianej. [przypis edytorski]

sał dla żony i dziecka. W liście pożegnalnym prosił nawet żonę, by mu przebaczyła; że zawsze gorąco kochał ją i dziecko i tylko jego rodzina ponosi winę za nieporozumienia i niesnaski między nimi.

Aczkolwiek była daleko młodsza od swego męża, hrabiego, postanowiła zostać wdową i nie brać ślubu po raz trzeci. Nie brakło konkurentów do jej ręki. Była jeszcze dość młoda, powabna i szalenie bogata.

Hrabina, dwukrotnie zawiedziona w pożyciu małżeńskim, z góry rezygnowała z wszelkich ofert matrymonialnych. Ostatnimi czasy coraz częściej myślała o dziecku, które zostawiła na łaskę przestępcy. Niepokój o córkę spędzał jej sen z oczu. Miała niejasne przecucie, że niebawem nastąpi coś takiego, co wywoła przewrót w jej dotychczasowym życiu. Z dnia na dzień stawała się bardziej nerwowa. Lekarz domowy zalecał jej wyjazd, ale hrabina ani słyszeć nie chciała o tym; z niecierpliwością oczekiwała nieznanych wydarzeń, które miały nastąpić.

Pewnego razu, gdy wróciła do domu po porannej przechadzce w ogrodzie, wzrok jej padł na miejsce, gdzie zazwyczaj odkładano pocztę poranną. Szybko przejrzała korespondencję, wybierając w pierwszym rzędzie koperty, które były jej znane. Później dopiero przeglądała mniej znane listy. Nie znalazła nic takiego, co by ją szczególnie zainteresowało. Serce jednak biło jej tym razem silniej niż zazwyczaj, gdy zaznajamiała się z treścią listów. Gazeta wypadła jej z ręki.

Szybko podniosła dziennik i wpila wzrok w zamieszczone tam fotografie, by się przekonać, czy się nie myli. Nazwiska umieszczone pod fotografiami niczego nie mówiły. Natomiast sensacyjne nagłówki dosadnie określały, o kogo chodzi. Jedna z fotografii przedstawiała podobiznę młodej dziewczyny.

Pod tytułem: „Niebywały sukces naszej policji” hrabina przeczytała:

„Kronika policyjna zanotowała niebywały w dziejach kryminalistyki sukces policji. Udało jej się bowiem zamknąć pod kluczem najgenialniejszych włamywaczy międzynarodowych.

Czytelnicy przypominają sobie zapewne głośnie w swoim czasie włamanie do mieszkania hrabiny M. Tejże nocy znaleziono na ulicy zamordowanego policjanta. Również czytelnicy nie zapomnieli chyba zuchwałego włamania do skarbca banku, kiedy to wykradziono mnóstwo obcych walut, złota, brylantów. Ta sama świetnie zorganizowana banda ma na swym sumieniu jeszcze kilka bezczelnych włamań w kraju, nie mówiąc o kradzieżach dokonanych w innych krajach...

Banda przejawiała tyle przedsiębiorczości i energii, że najzdolniejsi nawet agenci nie mogli znaleźć sposobu na jej zlikwidowanie. W Poznaniu banda ta posiadała luksusową willę do swej dyspozycji. Utalentowany komisarz Żarski, zrozpaczony niepowodzeniami w tropieniu bandy, popełnił samobójstwo. Złoczyńcy posługiwali się w swej pracy najnowszymi zdobyczami techniki.

Na czele zbrodniczej bandy stał niejaki Krygier, inżynier, człowiek z wyższym wykształceniem i niezwyklej inteligencji. Nie było więzienia na świecie, skąd nie udałoby mu się zbiec. Policji naszej udało się go nawet w swoim czasie zaaresztować. Ale po dzień dzisiejszy pozostało zagadką, w jaki sposób uciekł z Urzędu Śledczego.

W końcu jednak — hrabina czytała dalej — policja dopięła celu. Najprzód aresztowała prawą rękę Krygiera i jego wiernego współnika, znanego z przezwiska »Kławy Janek«. Pod względem znajomości fachu dorównuje on mistrzowi. Jest zuchwalszy od Krygiera i agresywniejszy.

Klawy Janek jest urodziwym, eleganckim mężczyzną i cieszy się kolosalnym powodzeniem u kobiet. Z łatwością nawiązywał kontakt z paniami z towarzystwa i zbliżał się do nich, by potem je okradać. I on wpadł w swoim czasie w ręce policji. Ale pewnej nocy zbiegł z więzienia. Ucieczka Klawego Janka była dziełem jego wiernego współnika, Krygiera. Strażnik, który niewątpliwie brał udział w organizowaniu ucieczki, znikł bez śladu. Policja przypuszcza, że został on wysłany za granicę lub zamordowany.

Jednocześnie z zuchwałym włamywaczem ujęty został niejaki Siergiej Dymitrow wraz z jego piękną córką, która jest kochanką Klawego Janka i wiernie mu pomagała w jego zbrodniczej akcji. Jest to piękna, wykształcona niewiasta, uosobienie wdzięku i powabu. Kim jest jej ojciec, dotąd nie udało się ustalić, ale istnieje przypuszczenie, że jest on również członkiem zbrodniczej bandy.

Warto podkreślić, że ojciec strzelał do Klawego Janka w chwili, gdy przyłapał go w nocy w pokoju córki. Wspomniany Dymitrow jest obcokrajowcem i właścicielem eleganckiej willi w pięknym uzdrowisku nadmorskim. Tam też miało miejsce sensacyjne aresztowanie.

Dalsze szczegóły — donosiła gazeta — musimy ze względu na dobro śledztwa zachować w tajemnicy. Należy żywić nadzieję, że również pozostali członkowie bandy znajdą się za kratami, podobnie jak ich towarzysze”.

Również inne dzienniki podały pod sensacyjnymi nagłówkami frapujący opis niebywałego aresztowania zлочы́нцoв.

Hrabina poznała z fotografii, że to ta sama niewiasta, która zgłosiła się do niej w sprawie kondycji. Pozostałe dwa zdjęcia, Staśka Lipy i Klawego Janka, były jej nieznane. Zdawało jej się, że ich nigdy w życiu nie widziała. Stasiak Lipa zmienił się w ciągu tych lat do tego stopnia, że hrabina nie poznała swego byłego męża. W sercu jej nie zrodziło się najmniejsze podejrzenie, że to jej były mąż Stasiak Lipa. Po przeczytaniu dzienników hrabina przez dłuższą chwilę nie mogła opanować wstrząsu. Zdawało jej się, że wszystko, co się znajduje w pokoju — meble, obrazy, żyrandole — wszystko wali się na głowę, by ją zniszczyć, zmiażdżyć.

„A więc to taki ptaszek — rozmyślała hrabina. — Teraz rozumiem wszystko. Banda, widać, postanowiła mnie obrabować po raz drugi i w tym celu naślała na mnie tę dziewczynę. Nigdy w życiu nie uwierzyłabym, że ta niewiasta o wielkich, niewinnych oczach należy do występnej bandy”.

Hrabina wywoływała w swej pamięci znane typy zbrodniarzy, z którymi stykała się jako żona Lipy. Doszła do przekonania, że zewnętrzny wygląd człowieka nie świadczy o jego wartości duchowej, o jego zawodzie i też o tym, z jakiego pochodzi środowiska. I Stasiak Lipa wcale nie przypominał złodzieja, gdy ujrzała go po raz pierwszy...

Myśli ciężkie jak ołów legły na jej sercu, wywołując coraz nowe czasami logiczne, czasami bezmyślne przypuszczenia. Sama nie rozumiała, dlaczego ją tak zainteresowała ta nieznana dziewczyna.

Pokojówka zaniepokojona faktem, że hrabina tak długo nie dzwoni na śniadanie, zapukała delikatnie do drzwi.

Hrabina zerwała się jak ze snu i odezwała się cichym głosem:

— Proszę.

— Pani hrabina jeszcze nic nie jadła — rzekła pokojówka. Załamała przy tym rozpaczliwie ręce, jak gdyby sprawa posiłku była najważniejszym problemem życiowym.

— Dziękuję. Nie jestem głodna.

— Pani hrabina znów płakała. — Pokojówka zbliżyła się, spoglądając ze współczuciem na swą panią.

— Wydaje ci się. Możesz odejść — uśmiechnęła się hrabina ze smutkiem. — Podaż mi wcześniej obiad. Muszę teraz wyjść na miasto.

Kondycja ludzka

— A śniadanie?
 — Nie mogę jeść...
 Pokojówka nieufnym wzrokiem spojrzała na korespondencję, która leżała na stoliku.
 — Czemu tak stoisz? Idź!
 — Chciałam... Chciałam pani hrabinie zakomunikować...
 — Co się stało? — Hrabina spojrzała na nią niespokojnym wzrokiem.
 — Był tu policjant...
 — Policjant? — powtórzyła hrabina przerażona. Serce jej zabiło mocniej. Przypomniała sobie przeczytaną w dziennikach wiadomość.
 — Zostawił polecenie, by pani hrabina zgłosiła się do Urzędu Śledczego w bardzo pilnej sprawie.
 — Do jakiego sędziego?... Czyś oszalała?
 — Zostawił wezwanie.
 — Podaj je prędzej.
 — Za chwileczkę — odparła pokojówka i pobiegła do kuchni.
 Hrabina była przekonana, że wezwanie ma związek z aresztowaniem Klawego Janka. Płonęła z ciekawości... Najbardziej intrygowała ją rola młodej dziewczyny.
 Hrabina miała się stawić do sędziego śledczego na godzinę pierwszą. Miała jeszcze dużo czasu. Wzięła więc znów gazetę i wpiła wzrok w fotografię dziewczyny.
 „Co za uderzające podobieństwo do mnie i mojego dziecka... Nie, to niemożliwe!”
 Przyjrzała się dokładnie obu innym fotografiom. Przede wszystkim podobiznie ojca dziewczyny. Nie rozpoznała w nim jednak swego byłego męża — nie mogła się dopatrzeć najmniejszego podobieństwa.
 Hrabina przypominała sobie, że dziewczyna, będąc u niej, podała się jako sierota.
 „Sklamała — pomyślała hrabina — ale w jakim celu?”
 Różne myśli przesunęły się przez jej zmęczony mózg. Doszła do przekonania, że Lipa — jej były mąż — uczynił to wszystko, by się zemścić na niej. To on nasłał kasiarzy, by ją obrabowali, to on nasłał potem tę tajemniczą dziewczynę, by ją do reszty zrujnować.
 Hrabinie nawet na myśl nie przyszło, że spogląda w gazecie na fotografię swego byłego męża i własną córkę — Anielę. Była przekonana, że Lipa przebywa za granicą i nigdy nie pozwoli na to, by jego córka była zbrodniarką, kochanką króla podziemi. Nie traciła nadziei, że Aniela odbywa studia za granicą.
 Postanowiła być punktualna i dokładnie co do chwili stawić się u sędziego śledczego. Rozumiała, że wzywana jest jako świadek oraz że po aresztowaniu złodziei sprawa o włamanie się do jej mieszkania zostanie ponownie rozpatrzona.
 Jako była żona złodzieja chętnie by zrezygnowała z dalszego prowadzenia procesu. Gdyby nawet rozpoznała złodziei, kto wie, czy by ich wydała. Wiedziała, że pieniędzy i tak nie odzyska.
 Ciekawa była tylko zobaczyć Klawego Janka, o którym dzienniki rozpisywały się tak obszernie. Chciała się spotkać oko w oko z tą, która miała czelność wedrzeć się do jej świadomości i stale przypominać sobą wizerunek jej dziecka, które porzuciła przed laty.
 Wybiła godzina, kiedy miała się stawić u sędziego śledczego. Nakazała w domu zamknąć porządnie drzwi, uważać na dziecko, po czym wyszła na miasto.
 Przez całą drogę myślała o tajemniczej dziewczynie. Sama nie wiedziała, czemu żyła sympatią dla nieznajomej zbrodniarki i wszelkimi siłami starała się ją wytłumaczyć. Zdawało się, że fotografia owej Anieli w dziennikach nie pozostawia żadnych wątpliwości co do jej wartości moralnej, a jednak myślała o niej z największą życzliwością.
 Sędzia śledczy, ten sam, który przesłuchiwał aresztowanych w więzieniu, przywitał hrabinę bardzo uprzejmie. Gdy ją tylko ujrzał na progu, zerwał się ze swego miejsca i wybiegł jej na spotkanie.
 — Proszę, pani będzie łaskawa spocząć, pani hrabino!
 Z szacunkiem podał jej krzesło.
 — Pani hrabina wybaczy, że ją fatygowałem. Pani rozumie...
 Westchnął z pobożną miną i ciągnął dalej:
 — Chodzi mi o włamanie dokonane do mieszkania hrabiny. Moje wezwanie ma na celu dobro pani...

Tym razem hrabina westchnęła.

— Prawie już zapomniałam o tym. Było to tak dawno temu.

— Słusznie. Ale my tak szybko nie zapominamy o naszych obowiązkach. Szukamy i tropimy tak długo, aż znajdziemy zлочyńcę. Sprawiedliwość nigdy nie rezygnuje. Musi zawsze zwyciężyć.

Hrabinę zaczynały już niecierpliwie przechwałki sędziego, więc przerwała mu:

— Ale czym mogę panu teraz służyć?

— Pani może być nieocenioną pomocą, hrabino.

Słowa te sędzia wypowiedział z tak tajemniczą miną, że rumieńce wystąpiły na twarzy hrabiny. Mózg jej przebiegła myśl: „Oni znają moją przeszłość. Jestem skompromitowana, jako żona Lipy”.

Uniosła jednak dumnie głowę i odparła z uśmiechem:

— Uczynię wszystko, co leży w mej mocy. Wszak panom chodzi tylko o moje dobro, nieprawdaż?

— Oczywiście, niewątpliwie — potwierdził sędzia. — Czynimy wszystko, by zabezpieczyć naszym obywatelom ich dobytek. Jest też obowiązkiem obywateli okazywać nam pomoc w zacieklej walce na śmierć i życie, jaką prowadzimy ze światem przestępczym. Zwyciężymy tylko wówczas, gdy nasi obywatele okażą nam stuprocentowe zaufanie i doniosą nam o wszystkim, co mogłoby ułatwić śledztwo. Wówczas wszyscy winni poniosą należną karę.

Hrabina nie wątpiła już teraz, do czego sędzia śledczy zmierza. Zimny pot wystąpił jej na czoło. Umiała jednak zapanować nad uczuciami i zachować zimną krew, aby sędzia, który nie zdejmował z niej oka, nie odczytał z jej twarzy, co się dzieje w jej sercu.

— Proszę bardzo, jestem gotowa informować pana o wszystkim. Wątpię tylko, czy zdołam wnieść coś nowego do sprawy. Zmarły komisarz Żarski zaprotokołował już wszystko, co miałam w tej materii do powiedzenia.

— Mam przed sobą ten cały materiał. Ale chciałbym pomówić z panią w innej sprawie, która na pozór nie ma nic wspólnego z dokonaną w jej domu kradzieżą.

Hrabina z trudem chwytała oddech. Szybko wyjęła z torebki mocno naperfumowaną chusteczkę i przyłożyła ją do nosa. Na szczęście sędzia był w tej chwili zajęty przeglądaniem akt i nie zauważył jej manewru.

— Proszę mi powiedzieć, łaskawa pani hrabino — ciągnął sędzia, nie odrywając wzroku od papierów — czy pani zauważyła wówczas twarz któregoś z włamywaczy?

— Nie — odparła hrabina z ulgą.

— Na ile jest mi wiadome, pani wszczęła wówczas alarm i spłoszyła złoczyńców. Czy nie zauważyła pani twarzy, sylwetki? Jest to dla nas bardzo ważne.

— Nie. Słyszałam tylko, jak uciekali, ale twarzy nie widziałam.

— Ilu ich było?

— Tego nie wiem.

— Gdyby pani ich wówczas widziała, rozpoznałaby ich pani na pewno. Ale pani była zapewne tak wystraszona, że nie wiedziała, co się z nią dzieje. Rozumiem to doskonale.

— Byłam nieprzytomna.

— Proszę sobie jednak przypomnieć, hrabino, co pani wówczas widziała. Dla nas jest wszystko ważne, nawet to, co może zdaniem pani nie ma żadnego znaczenia. Musi pani wiedzieć, że złodzieje, którzy panią okradli, znajdują się pod kluczem.

— Nie mam nic do dodania do mego oświadczenia złożonego w swoim czasie w komisariacie.

— Chodzi nam o rozwiązanie tajemniczej zagadki...

Rumieńce wystąpiły na twarzy hrabiny. Odwróciła głowę, by sędzia nie zauważył tej zmiany.

— Czy mogę wiedzieć, o jaką tajemnicę chodzi? — siłowała się hrabina na uśmiech, by zamaskować przerażenie, jakie malowało się na jej twarzy.

— O, to bardzo tajemnicza sprawa — zauważył sędzia. — Nie spoczniemy, aż nie wyjaśnimy wszystkiego. Miałem już do rozwiązania trudniejsze zagadki kryminalne, a jednak dałem sobie radę — przechwalał się sędzia, pokręcając wąsa. — Powolutku, a wszystko wyjdzie na jaw.

Obywatel

Hrabina milczała, aczkolwiek ciekawa była wiedzieć, co oznaczają jego dwuznaczne powiedzenia. Utkwiła spojrzenie w twarzy sędziego śledczego, starając się odczytać z jego kamiennej maski, czy mówiąc o tajemnicy, ma na myśli jej przeszłość, gdy była żoną złodzieja Staśka Lipy, czy może niepotrzebnie się lęka. „Kto wie — dręczyła ją myśl — czy nie zostanę wmieszana w jakąś niezwykłą aferę kryminalną”.

— Czy pańska zagadka jest urzędową tajemnicą, której osobie prywatnej nie można zaufać?

— Tak i nie. Zależnie od tego, z kim się ma do czynienia. Pani, czcigodna hrabino, nie może mi niczym zaszkodzić, gdy zaufam jej tajemnicę; nawet przeciwnie...

Sędzia był znanym samochwałą, człowiekiem, który nie potrafił ukryć swych myśli, nawet przed samym sobą. Stanowisko sędziego zawdzięczał szwagrowi, prokuratorowi sądu apelacyjnego, jemu też udało się wykryć kilka sensacyjnych zbrodni, czego nikt nie był w stanie dokonać. Wszyscy wiedzieli o tym, że stanowisko swe zawdzięcza on ustosunkowanemu szwagrowi. A jego zręczne niektóre posunięcia tłumaczono po prostu tym, że ma więcej szczęścia od innych...

Znano go też dobrze w świecie podziemnym. Tu nienawidzono go jeszcze bardziej. Ludzie nocy zarzucali mu często, że w protokołach przekręca ich zeznania. Posiadał pewne zdolności literackie i zeznania oskarżonych podczas przesłuchania uzupełniał własną fantazją. Nie tylko wobec oskarżonych pozwalał sobie na „upiększenie” ich zeznań, by zrobiły silniejsze wrażenie na procesie, ale nawet z powodami postępował w ten sposób, że notował tak, jak uważał za wskazane. Świat podziemi ochrzcił go przezwiskiem „grepser”.

Podczas przesłuchania mówił bezustannie, stawiał pytania, które często nie miały najmniejszego związku z przebiegiem śledztwa. Gniewał się, śmiał, dowcipkował, opowiadał stare dowcipy, częstował papierosami. Grał komedię, byleby tylko sprowadzić śledztwo na tory, które sobie z góry wyimaginował z chwilą przejęcia sprawy.

Natomiast zadowoleni byli zeń sędziowie. W szybkim tempie doprowadzał najbardziej zawiąlane śledztwo do porządku, jak tego wymaga sprawiedliwość. Wszyscy, którzy wpadli w jego ręce, nie czekali długo na proces; w krótkim czasie otrzymywali zasłużoną karę. Nic tedy dziwnego, że szwagier jego, który stał na czele sprawiedliwości, był z niego bardzo zadowolony. Bezustannie dostarczał pracy surowym sędziom...

Dręczyły go wprawdzie często wyrzuty sumienia. Ale tylko wówczas, gdy oskarżony nie otrzymywał takiej kary, jaką on przewidywał. Dbał o to, by więzienia były zawsze pełne w imię świętej uczciwości, kultury, człowieczeństwa. Czy zbrodniarz istotnie zasłużył na taką karę — o to dbał najmniej.

Jak tylko otrzymał wiadomość, że Kławy Janek przebywa w areszcie, z wielkiej radości przez całą noc nie mógł zmruznąć oka. Z niecierpliwością czekał na otrzymanie papierów i natychmiast pobiegł do więzienia.

Bał się, by policja go sprowadziła do urzędu. Kławy Janek dowiedział mu już razu pewnego, że dotrzymał słowa. Oświadczył mu kiedyś, że długo nie będzie pod kluczem — i tak się stało. Rozkazał teraz strzec Janka jak oka w głowie. Z całym zapalem zabrał się do pracy. Czynił wszystko, by proces odbył się czym prędzej. W swej wyobraźni widział już Janka wiszącego na szubienicy. Łagodniejszej kary nie przewidywał dla tego zbrodniarza, mordercy policjanta i niebezpiecznego włamywacza.

Hrabinę poprosił do siebie ze względów osobistych. Zeznania złożone przez nią już po dokonanej u niej kradzieży były jasne i nie wymagały komentarzy. Z przyzwyczajenia tylko podejrzewał każdego. Oskarżyciel budził w nim zawsze więcej nieufności niż oskarżony.

Przeglądając akta dotyczące personaliów hrabiny, zauważył na marginesie, obok zaprotokołowanych jej zeznań, drobne uwagi, dokonane przez komisarza Żarskiego. Wyraził się on o niej w ten sposób:

„Kobieta czterdziestoletnia o oczach kameleona, jest hrabiną i nazbyt bogatą, abym ją mógł o coś podejrzewać. A jednak...”

Więcej Żarski o niej nie wspominał. Ale nasz sędzia uchwycił się tych kilku słów i dopatrywał się już w osobie hrabiny tajemniczej postaci. Wyobraźnia poniosła go. Widział przed sobą niebezpiecznego międzynarodowego szpiega...

Sędzia, Rodzina, Kłamstwo

Gdy sędzia ujrzał hrabinę, z miejsca zmienił zdanie o niej. Dystygowana dama wywarła na nim niezwykle wrażenie, nie wzbudzała już najmniejszego podejrzenia...

Surowy, nieporadny sędzia śledczy zmienił się w eleganckiego reprezentanta sprawiedliwości, jednego z tych, o jakich się czyta często w angielskich powieściach kryminalnych.

Hrabina, nie wiedząc, z jakiego typu człowiekiem ma do czynienia, przeraziła się w pierwszej chwili. Wydawało jej się, że człowiek ten o małych, chytrych oczach, lśniących jak u kota, wie o wszystkim i przenika ją na wskroś. Ale wnet zorientowała się, że wygaduje, co mu ślina na język przyniesie, że chce jej tylko zaimponować mądrością i fachowością.

W głębi duszy nie była jednak pewna, kogo ma przed sobą. Doznawała różnych uczuć. To jej się wydawało, że wie coś o niej, to znów okazywało się, że jej lęk jest nieuzasadniony. W wyobraźni zaliczała go do ludzi, których trudno zgryźć z pierwszego wejrzenia. Najgorsze, że tego pokroju człowiek nie zna zazwyczaj samego siebie.

W ostatnim zdaniu powtórzył raz jeszcze słowo „tajemnica” i hrabina odnosiła wrażenie, że świadomie je zaakcentował.

— Jestem gotowa służyć panu wszystkim, co jest w mojej mocy — rzekła. — Ale proszę mi wierzyć, panie sędzio, znam się bardzo mało na kryminologii. Na tym polu nie będzie pan miał ze mnie pociechy.

Hrabina roześmiała się, jak gdyby chciała tym podkreślić, jak dalece bagatelizuje sprawę, która jego niepokoi.

— Czy wie pani, że mamy możliwość uratowania części pieniędzy zrabowanych u pani? — uśmiechnął się sędzia tajemniczo.

Hrabina poruszyła się energiczniej na krześle i odpowiedziała spokojnie:

— To byłoby bardzo pięknie z pańskiej strony, panie sędzio.

— O to właśnie chodzi — zamyślił się sędzia.

— Pan mnie zaintrygował. To bardzo ciekawe. Pan jest mądrym człowiekiem.

— Widzi pani — uśmiechnął się sędzia i przysunął się wraz z krzesłem bliżej hrabiny, po czym rozejrzał się dokoła, jak gdyby się chciał upewnić, czy nikt nie podsłuchuje — mamy w swych rękach całą bandę, najgroźniejszą, jaka kiedykolwiek operowała w Polsce. Nasza policja dokonała cudu.

— Pięknie. Na czym jednak polega tajemnica, o której pan przed chwilą wspominał?

Sędzia przybrał tak zagadkowy wyraz twarzy, że serce w piersi hrabiny zamarło z przerażenia. Znów zrodziło się w niej podejrzenie, że bawi się z nią jak kot z myszką. Z pliki dokumentów leżących na biurku sędzia wyjął gazetę i z sadystycznym uśmiechem podał ją hrabinie.

— Czy pani to czytała?

Oczy hrabiny spoczęły na trzech fotografiach. Sędzia nie odrywał wzroku od niej. Śledził każde drgnienie jej powiek.

— Czy pani ich zna?

— Skąd?...

— Proszę im się przyjrzeć dokładnie. To bardzo popularne postacie.

— Dziwię się pańskiemu pytaniu. Skąd do mnie tego rodzaju znajomości?

— A tego pana z bródką pani również nie zna? Proszę sobie przypomnieć!

Hrabina wpiła wzrok w fotografię. Serce zabiło mocniej, jak gdyby chciało wyskoczyć... Wydało jej się, że pewne rysy twarzy, profil, wielkie oczy osłonięte gęstymi brwiami są jej dziwnie znajome. Ale wnet opanowała się. „To nie Lipa” — upewniła się. Zdjęcie przedstawiało starszego, zgarbionego pana. Nie, to nie był jej silny, dzielny Staszek.

Hrabina zachowała w swej pamięci obraz Staśka Lipy takim, jakim był dawniej. Widziała go młodego, silnego. Nie przyszło jej na myśl, że się zmienił w ciągu tylu lat. Za nic nie chciała uwierzyć, że ma przed sobą podobiznę byłego męża.

— Nie! Nie znam tego człowieka — odparła i wstała oburzona z miejsca.

— Pani odchodzi? Proszę, jeszcze chwileczkę.

Hrabina dumnie uniosła głowę.

— To, co pana interesuje, panie sędzio, jest dla mnie zupełnie obojętne. Dziękuję za zaufanie. Niestety, nie mam więcej czasu. Muszę odejść.

Przez chwilę spoglądali na siebie. Oboje myśleli o czym innym.

Sędziemu po prostu imponowało, że może przebywać w towarzystwie prawdziwej hrabiny, tym bardziej że była jeszcze piękna i ponętna. Nie przypuszczał wcale, gdy pokazywał jej zdjęcia, że ma ona coś wspólnego z ludźmi świata przestępczego. Chciał jej tylko zaimponować swą mądrością, rycerskością, których to zalet zresztą nigdy nie posiadał.

— Pani nie zna tego człowieka? Sądziłem, że pani jednak widziała gdzieś tę twarz. Pani tyle lat spędziła za granicą. To ptak międzynarodowy, który bywa wszędzie.

— I pan go zna?

— O to właśnie chodzi. Nie możemy natrafić na żaden ślad, który by nam pomógł ustalić jego tożsamość. Intryguje nas ten tajemniczy Siergiej Dymitrow. Całą tę bandę aresztowaliśmy za granicą, jest to ojciec z córką i zięciem. Ojciec jest dla nas zagadką. Miejskowa policja wydała o nim jak najlepszą opinię. My jednak jesteśmy innego zdania.

— Dziewczynę tę widziałam już kiedyś... Znam ją...

— Co? Pani ją zna?!

Sędzia śledczy zerwał się z miejsca. Hrabina, przerażona, cofnęła się w tył⁴⁰.

— Proszę... Niech pani powie, gdzie pani widziała tę dziewczynę?... To jest niezwykle ważne dla przebiegu śledztwa.

— Dziewczyna ta była przed pewnym czasem w moim domu.

— U pani w domu? Kiedy? W jakim celu?

— Zamieściłam ogłoszenie w gazecie, że poszukuję wychowawczyni dla mego dziecka.

— I ona zgłosiła się w charakterze kandydatki?

— Tak!

— I co było dalej? Na litość boską, proszę szczegółowo o tym opowiedzieć — zawołał sędzia śledczy. Lewą ręką pokręcał nerwowo wąsa, a prawą pocierał czoło. — Zaczynam wszystko rozumieć — dodał zadowolony.

— Porozumiałymy się co do warunków i następnego dnia miała rozpocząć pracę.

— I oczywiście, więcej się nie zjawiła. — Sędzia pocierał ręce z zadowolenia.

— Ma pan rację, więcej się nie pokazała — dodała hrabina cicho i spuściła ze smutkiem głowę, jak gdyby żałowała, że opowiedziała sędziemu o tym wypadku.

Sędzia kroczył podniecony po pokoju, wymachiwał rękami, przez dłuższą chwilę mamrotał coś pod nosem, potem zbliżył się do hrabiny, która szykowała się już do odejścia.

— Teraz rozumiem wszystko — zawołał zadowolony z samego siebie. — Czy wie pani, po co ta dziewczyna przyszła?

Hrabina zamieniła z sędzią nieme spojrzenie. Nie chciała oskarżać dziewczyny, która jak gdyby spoglądała na nią z gazety błagalnym wzrokiem.

— Banda po raz drugi planowała na panią napad — zawołał z takim triumfem w głosie, jak gdyby co najmniej odkrył Amerykę. — Teraz nie mam najmniejszych wątpliwości.

— Ale dlaczego jednak się więcej nie zjawiła?

— Dlatego, że policja nasza stąpała jej po piętach — wytłumaczył sędzia tajemniczym tonem.

— Mam wrażenie, że pan się myli, panie sędzio. Dziewczyna nie wyglądała na taką. Miałam z nią dłuższą rozmowę. Opowiadała mi o wszystkim. Że jest sierotą... a ta przecież ma ojca.

Sędzia śledczy wybuchnął śmiechem.

— Dziwię się, że pani wątpi we własne słowa. Wszak pani rozpoznała tę dziewczynę. A ten obok niej jest na pewno jej ojcem. O, ta banda potrafi dobierać sobie ludzi, którzy świetnie grają rolę niewiniątek i wzbudzają sympatię oraz zaufanie. Dla mnie jest to jasne jak dzień. Dziewczyna ta została nasłana na dom pani przez jej ojca i kochanka. Mamy dowody.

— Jakie dowody? Sama nie wiem, czemu nie mogę uwierzyć, że dziewczyna ta jest zbrodniarką. Może się omyliłam?...

— Co do czego?

⁴⁰cofnęła się w tył — błąd logiczny; popr.: cofnęła się. [przypis edytorski]

— Że dziewczyna, której pan mi przedstawił fotografię, jest tą samą, która zgłosiła się do mnie w sprawie kondycji.

— Pani się na pewno nie pomyliła, hrabino. Czy widzi pani to zdjęcie pośrodku?

— Tak.

— To jest ten, który panią okradł. On jest też jej kochankiem. Teraz wierzy już pani, że to jest ta sama dziewczyna? Banda zamierzała oskubać panią po raz drugi. Za pierwszym razem przebudziła się pani i przeszkodziła im w pracy. Nie zadowolili się olbrzymią sumą, jaką wówczas zrabowali. Mają wielkie apetyty... Chcieli się upewnić, czy pani nadal przechowuje kosztowności w domu i w tym celu postanowili wprowadzić do pani domu szpiega. Zawczasu dowiedzieliśmy się o tym i udaremniliśmy ich plany. Teraz rozumie pani, czcigodna hrabino?... Wiedziałem o tym wszystkim.

Hrabina z wdzięcznością uściśnęła dłoń sędziego śledczego. Nie przyszło jej nawet na myśl, że wszystko, co jej powiedział, jest tylko wytworem bujnej wyobraźni. Gdyż faktycznie nikt w policji nie wiedział o wizycie Anieli u hrabiny, a i plan ponownej kradzieży był także owocem jego fantazji.

Hrabina nabrała więcej zaufania do sędziego. Znikła obawa, że chce się dowiedzieć czegoś, co dotyczy własnej osoby. Poprawił się nastrój. Hrabina zaprosiła go nawet do siebie na obiad, czym sędzia śledczy poczuł się uszczęśliwiony.

Zadowolony z dokonanego niespodziewanie odkrycia, zapomniał, że zapraszając hrabinę do siebie, miał co do niej poważne podejrzenie.

Przeciwko Anieli i jej ojcu miał właściwie słabe dowody, które by potwierdzały ich związek z bandą przestępczą. Ale teraz, na podstawie zeznań hrabiny, nabrał przekonania, że zatrzymana jest niebezpieczną zbrodniarką, członkinią groźnej bandy. Brakło mu tylko materiałów przeciwko Lipie, jej ojcu.

— Łaskawa pani! — odezwał się do hrabiny już na progu. — Mam wspaniały pomysł.

Hrabina uśmiechnęła się.

— Pan jest genialny, panie sędzio. Cóż to za pomysł?

— Skonfrontuję panią z tą dziewczyną.

— Świetna myśl — ucieszyła się hrabina. — Muszę się upewnić, czy się nie mylę. Zdarza się często, że ludzie są do siebie podobni. Chciałabym być w porządku z własnym sumieniem.

Sędzia w pierwszej chwili żałował własnej propozycji. Przyzwyczajony podejrzewać zawsze innych, chciał się już cofnąć, widząc, jak się hrabina uchwyciła tej myśli. Ale nie wypadało mu już. Telefonicznie porozumiał się z kancelarią więzienia, że przybywa w pilnej sprawie.

W kilka chwil później taksówka zatrzymała się przed gmachem więzienia prewencyjnego, z którego wysiedli hrabina w towarzystwie sędziego śledczego. Hrabina po raz pierwszy w życiu przekroczyła próg bramy więziennej. Szereg żelaznych drzwi zamknął się za nią, aż w towarzystwie sędziego śledczego i starszego strażnika weszła do sali, w której odbywały się przesłuchania więźniów. W kilka chwil później wprowadzono Anielę. Była wychudła i blada. Hrabina nie poznała jej od pierwszego wejrzenia.

Gdy tylko Aniela przekroczyła próg pokoju, sędzia zapytał hrabinę ostrym tonem, czy poznaje tę dziewczynę. Hrabina milczała. Jej wzrok spotkał się ze spojrzeniem Anieli, która bladła i pąsowała na przemian.

— Czy to ta sama? — przerwał sędzia rozmyślenia hrabiny.

— Tak, ta sama!

I rzucił w stronę Anieli triumfujące spojrzenie.

— No, czy nie miałem racji?

Aniela dygotała z zimna. Mimo iż na ulicy grzało słońce, Anielę przechodziły dreszcze. Nie śmiała patrzeć hrabinie w oczy; spuściła głowę.

— Siadać! — zawołał sędzia rozkazującym tonem.

Aniela nie ruszała się z miejsca.

— Mówię przecież!...

Aniela wybuchnęła płaczem.

— Pani znów płacze? Ta symulacja na nic się nie zda. Dlaczego pani się nie zgłosiła następnego dnia do pracy, zgodnie z tym, jak się z hrabiną umówiła? Dlaczego pani nie objęła posady, co? Nasza policja przeszkodziła pani, co?

Sędzia śledczy miał zwyczaj w pewnych chwilach stawiać pytania i samemu na nie odpowiadać. I teraz, chcąc zaimponować hrabinie, postępował tak samo.

Hrabina siedziała na swym miejscu jak skamieniała. Serce ścisnęło jej się z bólu na widok Anieli. Tyle cierpienia malowało się na jej twarzy, że hrabina poczuła dla niej współczucie i litość.

Aniela, mimo iż pobiła i zmizerniała, była jeszcze piękniejsza niż dotąd. Jej smutne, zapłakane oczy, z których bił bezmiar bólu, przykuwały do siebie i zmuszały do szacunku.

— Teraz wiemy wszystko o pani — ciągnął dalej sędzia kamiennym głosem, przeglądając raporty. — Będzie dla pani daleko lepiej, jeżeli się od razu przyzna do wszystkiego.

Aniela zasłoniła sobie rękami twarz. Nie mogła znieść ciepłego spojrzenia hrabiny. Sama nie wiedziała, czemu tak postępuje.

— Pani się wstydzi? Pewnie, że to wstyd być zbrodniarką — rozpoczął sędzia tonem moralizatorskim. — Rozumiem. Każdemu może się zdarzyć, że postąpi źle; najważniejsze, jeżeli się żałuje złego czynu. Nigdy nie jest za późno, by wyrazić skruchę i przyznać się do wszystkiego. Ponieść zasłużoną karę, oczyścić się przez pokutę w więzieniu i wrócić na drogę uczciwą. Lepiej późno niż nigdy. Pani jest młoda. Sąd weźmie to pod uwagę i wyznaczy łagodną karę. Sam wstawię się za panią, by ją obronić. Ale tylko wówczas, gdy przyzna się do wszystkich zbrodni, popełnionych do spółki z ojcem, kochankiem i pozostałą bandą!

Aniela nagle osunęła się na podłogę. Hrabina zerwała się z miejsca, jak gdyby chciała ją przytrzymać.

— Spokoju, hrabino, nic jej nie jest. Znamy się na tych sztuczkach. Nie ma pani pojęcia, jacy z nich uzdolnieni aktorzy. Dziewczyna ta jest niezwykle symulantką. Przekonałem się już o tym. I teraz udaje najbezczelniej w świecie.

— Ależ, panie sędzio, dziewczyna zemdlą! — zawołała hrabina, zbliżając się do Anieli. Sędzia jednak powstrzymał ją za ręce, po czym nacisnął dzwonek na biurku.

We drzwiach ukazała się klucznica.

— Proszę sprawdzić stan aresztantki — rzucił sędzia, nie oglądając się wcale na Anielę, która leżała na podłodze z głową opartą o nogę krzesła, nie dając znaku życia.

Strażniczka brutalnie pociągnęła Anielę za włosy, nacisnęła jej nos, szarpnęła za ramię, a widząc, że to wszystko nie skutkuje, zaczęła ją bić po twarzy. Hrabina widząc, co się dzieje, zawołała z rozpaczy:

— Doktora!... Ona umiera!...

Sędzia ją uspokoił.

— Proszę się nie przejmować, hrabino. Jesteśmy już przyzwyczajeni do podobnych kawałów histerycznych. Zaręczam pani, że nic jej nie jest. Symuluje, nic ponadto.

Wreszcie Aniela odetchnęła głęboko.

— No i co, nie mówiłem — zawołał sędzia z triumfującą miną — że nic jej nie jest? Wiem, co mówię. — Sędzia dał znak klucznicy, która stała schylona nad ofiarą, by odeszła.

— Proszę mi pozwolić ją orzeźwić perfumami. Od razu się ocknie — prosiła hrabina, wzruszona tym wypadkiem.

— Proszę bardzo, jeżeli pani hrabina sobie życzy.

Hrabina potarła skronie Anieli perfumami. Zemdlona otworzyła oczy. Ich spojrzenia spotkały się. Hrabina odezwała się pierwsza:

— Czy pani jest lepiej?

Aniela wyprostowała się i odparła zawstydzona, spuszczać oczy:

— Lepiej, proszę pani... Dziękuję...

Sędzia przyglądał im się przez chwilę, po czym przybrał poprzednią postawę.

— Namysliła się już pani? — zapytał ostro. — Proszę usiąść.

Aniela zajęła miejsce na krześle.

— Poznaje pani hrabinę?

Aniela kiwnęła potakująco głową.

Więzień, Sąd, Sędzia,
Kondycja ludzka, Kara

— Czy może nam pani powiedzieć, co uplanowała wówczas do spółki ze swoim kochankiem, gdy zgłosiła się do pani hrabiny po objęcie kondycji?

Aniela schyliła głowę.

— Proszę się przyznać. I tak wiemy wszystko.

Aniela wybuchnęła płaczem.

— Znów?! — huknął sędzia śledczy.

Aniela rozpląkała się jeszcze głośniej. Hrabina nie mogła dłużej przyglądać się jej cierpieniom i rzekła zdecydowanym głosem:

— Panie sędzio, mam wrażenie, że ta dziewczyna jest niewinna...

Sędzia śledczy wybuchnął śmiechem:

— Proszę mi wybaczyć, hrabino, ale pani nie orientuje się w tym, co za genialna aktorka z tej przestępczyni. Ta dziewczyna rozminęła się z powołaniem — byłaby cudowną aktorką. Ale ze mną nic nie wskóra. Znam się na symulacji. U mnie się nie wykręci. Przyzna się pani czy nie? — zawołał groźnym tonem i uczynił krok w stronę Anieli. — Jeżeli nie, nie zjawię się tu więcej. Uprzykrzy się pani czekanie na proces. Mam dużo czasu i cierpliwości...

Hrabinie zakręciły się łzy w oczach. Ze współczuciem odezwała się do Anieli:

— Sądzę, że byłoby lepiej, gdyby się pani przyznała do wszystkiego. Wierzę, że pani jest niewinna. Jestem przekonana, że wówczas zgłosiła się pani do mnie w sprawie objęcia posady bez ubocznych złych zamiarów. Pani jest na pewno niewinna.

Aniela podniosła na hrabinę swe wielkie oczy, w których malowała się głęboka wdzięczność. Sędzia śledczy poruszył się nerwowo na krześle.

— Pytam po raz ostatni, przyznaje się pani czy nie?

— Powiem wszystko, co pan sobie życzy, tylko proszę mnie nie męczyć... Nie mogę dłużej — zawołała głosem pełnym rozpacz.

— Pani chciała się dostać do mieszkania hrabiny, by ją okraść po raz drugi? Co? Zgadza się?

— Tak. Zgadza się.

— No!... Czy nie mówiłem? — zawołał sędzia triumfującym głosem.

Nie zauważył ironicznego wyrazu twarzy Anieli.

— Kto panią tam posłał? Pani narzeczony, co? Wiemy na pewno, że Kławy Janek planował ponowny napad na hrabinę. Pani temu nie zaprzeczy?

— Nie. Nie zaprzeczę.

— Pani ojciec należał również do tej bandy, nieprawdaż? Znamy doskonale rolę pani ojca. Wiemy już wszystko o was. Proszę wyznać wszystko, a wypuszczę panią na wolność. Prawdę jest, co mówię?

— Prawdę.

Sędzia śledczy był tak przejęty notowaniem własnych pytań i własnych odpowiedzi, że nie zauważył, z jak zrezygnowanym głosem Aniela powtarzała jego słowa, zgadzając się na wszystko, nie wnikając wcale w treść jego pytań. Nie uszło to jednak uwagi hrabiny. Nie mogła się dłużej przyglądać tej komedii. Wstała z miejsca:

— Muszę już pana pożegnać, panie sędzio. Miał pan rację. Sprawiedliwość musi zwyciężyć...

— Czego się pani hrabina tak śpieszy?

— Muszę odejść. Muszę!

Podala mu dłoń, którą sędzia uściśnął z wielkim szacunkiem. Z Anielą pożegnała się kiwnięciem głowy.

Hrabina wyszła z więzienia złamana. Nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego żywi tyle sympatii dla pięknej dziewczyny, a tyle odrazy dla rzecznika sprawiedliwości.

Gdy tylko hrabina wyszła, sędzia zarzucił Anielę pytaniami. Nie czekał na jej odpowiedzi. Notował tak, jak uważał dla siebie za wygodne.

Pod koniec przyrzekł aresztowanej, że postara się, by proces odbył się czym prędzej. „Z takimi ptaszkami trzeba się pośpieszyć, by każdy z was otrzymał zasłużoną karę” — oświadczył sędzia i rozkazał przeprowadzić ją do oddzielnej celi.

ROZDZIAŁ VIII

Był to okres wyjątkowo trudny dla ludzi nocy. Najzdolniejsi „pracownicy” wpadali jeden po drugim w ręce policji.

Szczupak i Andrzejczak, który w międzyczasie awansował na aspiranta, nie odpoczywali. Pogromowali⁴¹ świat podziemi bezlitośnie. Wyławiali ich oraz osadzali w więzieniu.

Obławy nie ustawały. Ludzie nocy musieli bardzo często zmieniać meliny. Bali się pozostawać przez jedną noc na tym samym miejscu.

Grubsze ryby zawczasu wyniosły się za granicę. Każdy szukał bezpiecznej drogi, by nie wpaść w sidła, jakie Szczupak i bardziej niebezpieczny od niego Andrzejczak zastawiali na nich na każdym kroku.

Wśród tych, którzy się wnet znaleźli za kratami, znajdowali się też Bajgele i „Zimna kokota”. W ostatniej chwili przed odejściem międzynarodowego pociągu, którym mieli się udać za granicę, Andrzejczak ich zaarrestował. Nawet Józef Zalewacz, któremu się nie śniło, że zamkną go w więzieniu, znalazł się za kratami.

Warszawa i inne większe miasta Polski, gdzie banki i wielkie przedsiębiorstwa przechowywały swe skarby w ogniotrwałych kasach, odetchnęły z ulgą. Wszyscy byli przekonani, że niebezpieczna banda została unieszkodliwiona i można spać spokojnie.

Termin sensacyjnego procesu bandy zbrodniarzy wyznaczony był na 24 września.

Wszystkie dzienniki opublikowały tę datę wielkimi czcionkami na pierwszej stronie. Wśród ludzi nocy proces ten wywołał większe zainteresowanie niż u „frajerów”. Wyrywali sobie dzienniki z rąk. Wchłaniali każdą wiadomość, która miała jakikolwiek związek z procesem.

Ludzie nocy nie próżnowali. Utworzyli komitet, który miał za zadanie zdobyć pieniądze i inne środki potrzebne na obronę towarzyszy.

Przed wszystkim robili przygotowania do odbicia więźniów po drodze, w czasie przeprowadzania ich z więzienia na rozprawę lub odwrotnie. Znaleźli się nawet oddani towarzysze, którzy gotowi byli własnym życiem zaryzykować, byleby wyrwać Staśka Lipę, Anielę i Klawego Janka z rąk policji.

Cały świat podziemi żałował Janka. Każdy z nich wiedział, że Janek nie jest winny zabójstwa policjanta. To było też przyczyną, dlaczego się nim tak interesowano i postanowiono nie dopuścić, by niewinnie zawisł na szubienicy...

Proces Klawego Janka wywołał niejeden zatarg wśród ludzi nocy. Utworzyły się dwa obozy, które zwalczały się nawzajem.

Niektórzy spośród dawnych kolegów Janka utrzymywali, że sam ponosi winę za to, że znalazł się w więzieniu. Podzielali stanowisko Staśka Lipy i przyznawali mu rację, że złodziejowi nie wolno unieszczęśliwiać córki złodzieja.

Inni znów rozumowali inaczej: złodziej nie powinien oddawać swej córki w ręce „frajera”. Ma już ktoś na tym skorzystać, lepiej, by skorzystał swój...

Tylko co do jednej rzeczy zgadzali się wszyscy, że przede wszystkim należy ich zwolnić. Dopiero potem — twierdzili przeciwnicy Janka — postawi się go przed sąd — dintojrę — i wyznaczy surową karę za uwiedzenie córki złodzieja.

Ten sam komitet, który wziął na siebie pieczę nad aresztowanymi: Klawym Jankiem, Staśkiem Lipą i Anielą, postarał się o dwóch najlepszych warszawskich adwokatów, którym powierzył obronę podsądnych⁴². Klawy Janek oskarżony był o zabójstwo policjanta. Nieliczne jednostki tylko wiedziały, kto był prawdziwym mordercą. Nie wspomiano nawet o tym obrońcom. Czekano na telegraficzną decyzję Krygiera w tej sprawie.

Na dzień przed rozpoczęciem procesu nadszedł od Krygiera rozkaz milczenia. I nikt z ludzi nocy nie odważył się postąpić inaczej.

Szczupak tymczasem triumfował, jego stanowisko jako naczelnika Urzędu Śledczego było niezachwiane. Z chwilą gdy udało mu się zlikwidować bandę, nie lękał się nikogo.

Nie wiedział, co go czeka i z której strony przyjdzie nieszczęście.

W przeddzień procesu, gdy siedział w biurze, zajęty przeglądaniem różnych akt celem przygotowania się do wielkiego procesu — ktoś zapukał gwałtownie do drzwi.

⁴¹pogromowali — popr.: gromili. [przypis edytorski]

⁴²podsądny — oskarżony. [przypis edytorski]

Złodziej, Ojciec, Córka

— Proszę! — zawołał komisarz zdenerwowany. Był zły, że przeszkadzają mu o tak późnej porze.

Drzwi otworzyły się i na progu stanął Wołkow.

— Dobry wieczór! Dobry wieczór, panie komisarzu!

Szczupak nie wierzył własnym oczom. Przed nim stał Wołkow, ubrany w elegancki mundur komisarza. Uśmiechał się dziwnie. Szczupak przeraził się do tego stopnia, że nie wiedział, co począć ze sobą i co odpowiedzieć.

— Proszę się nie lękać! — odezwał się Wołkow. — Nie jestem już więcej wariatem.

Wołkow wypowiedział te słowa dziwnym głosem. Szczupak odnosił wrażenie, jak gdyby syknęła jadowita żmija, jeszcze większy strach go obleciał.

— Proszę, niech pan spocznie, panie komisarzu. Czym mogę panu służyć? — rzekł drżącym głosem, widząc, że oczy Wołkova biegają niespokojnie, jak u człowieka nienormalnego.

Wołkow rozparł się wygodnie na krześle. Przez dłuższą chwilę przyglądali się sobie.

— Przyszedłem, by się z tobą rozmówić.

— Proszę bardzo.

Wołkow naraz zerwał się na nogi i z całych sił walnął pięścią w stół:

— Przyszedłem policzyć się z tobą!...

— Ze mną?...

— Tak, z tobą. Tyś mnie kazał zamknąć w domu dla wariatów! Chciałeś mnie się pozbyć! Chciałeś zająć moje miejsce!...

— Kolego Wołkow, co też pan powiada?

— Nie myśl, że postradałem zmysły. Jestem zdrow, rozumiesz?... Jestem zdrow! — Wołkow walił pięścią w stół.

— Wierzę panu. Wszak widzę, że jest pan zdrow...

— Wierzysz mi?... Ale ja tobie nie wierzę!...

Twarz Wołkova wykrzywiła się nie do poznania. Szczupak uczynił ruch, jak gdyby chciał nacisnąć dzwonek alarmowy na biurku. Wołkow jednak odrzucił jego rękę gwałtownie.

Szczupak zbladł śmiertelnie. W mózgu jego błysnęła myśl: „Wołkow zbiegł z domu dla wariatów. Jak go się pozbyć? Kto wie, czego chce...”.

Wołkow nie spuszczał zeń oka.

— Dziwisz się, po co tu przyszedłem? Czego od ciebie chcę... Zaczekaj...

Szczupak utkwiał w nim wystraszone, pytające spojrzenie.

— Siadaj! — rozkazał Wołkow. — Radzę, nie staraj się stąd wydostać. Wszak znasz mnie. Wiesz, że nie zwykłem żartować.

Szczupak odruchowo cofnął się w tył. Wołkow tej chwili był tak niepodobny do siebie, do dawnego Wołkova... i wzbudzał w Szczupaku tyle strachu, że po prostu ząb dzwonił mu o ząb; jak gdyby Szczupak nagle dostał febrę. Trząsł się w panicznym lęku.

Wołkow zawołał ponownie:

— Siadaj!

Schwycił go za rękę i zmusił do zajęcia miejsca w fotelu.

Szczupak ciężko opadł na fotel i wystraszonymi oczyma wpił się w twarz Wołkova. Wołkow miał cerę zielonkawoblłą. Oczy jego płonęły dziwnym blaskiem, jak u człowieka, który nie jest odpowiedzialny za swoje czyny. Piana ukazała się w kącikach ust jak u wściekłego psa. W palcach prawej ręki ścisnął niewypalone cygaro.

— Czego chcesz ode mnie? — wyjąkał Szczupak z trudem, przekonany, że ma przed sobą szaleńca, zbiegłego z domu wariatów.

Wołkow nie odpowiedział. Tylko na twarzy jego ukazywał się coraz inny grymas, który przejmował Szczupaka zgrozą. Wreszcie Wołkow odezwał się:

— Otwórz w tej chwili szufladę twego biurka!... Ale już!...

— Czego chcesz? Czego szukasz?

— Czyń, co ci każe!... Dowiesz się!...

— Wołkow, jesteś chory — usiłował Szczupak rozbroić prześladowcę.

— Chory? Kto?... Ja?... Nie! Już nie jestem wariatem!... No, ruszaj się... Szkoda czasu!

— Powiedz, o co ci chodzi?

— Rób, co ci każe!...

— Mam tam swoje papiery. Po co one są ci potrzebne?
— Zaraz się dowiesz!
— Nie mogę. Są to poufne dokumenty.
— Pokaż je!
— Nie wolno mi tego czynić. Nie jesteś na służbie. Sam kiedyś zajmowałeś odpowiedzialne stanowisko i wiesz, że nie wolno mi zdradzać tajemnic śledztwa...

Szczupak zastanawiał się w duchu, jak się pozbyć nieproszonego gościa. Postanowił otworzyć szufladę, a jednocześnie niepostrzeżenie zaalarmować służbę, by wyprowadzono Wolkowa i przewieziono z powrotem, skąd przybył. Szczupak był przekonany, że Wolkow zbiegł ze szpitala; nie wiedział, że Wolkow już od dwóch tygodni bawi na wolności i że matka jego wyjednała, by na jej odpowiedzialność wypisano go ze szpitala.

Faktycznie stan choroby Wolkowa był daleko poważniejszy niż na początku. Opętała go mania prześladowcza; stale wydawało mu się, że ścigają go i pragną zdemaskować jego zbrodnie. Szczupaka uważał za zacieklego wroga; na niego zrzucał winę za wszystkie kłęski. Od dawna go nie znosił, ale od czasu, gdy Szczupak zajął jego stanowisko, pałał ku niemu niepohamowaną nienawiścią.

— Otwierasz szufladę czy nie?
— Uspokój się, przyjacielu. Dla ciebie jestem gotów uczynić wszystko. Proszę bardzo. Mówiąc to, Szczupak wsunął ręce do kieszeni, jak gdyby chciał stamtąd wyjąć kluczyk. Ale Wolkow schwycił go za rękę, wołając:

— Ja sam wyjmę kluczyk!
Mówiąc to, Wolkow miał na celu dostać się do tylnej kieszeni Szczupaka, by wyjąć rewolwer. W tym samym momencie mózg Szczupaka przebiegła myśl: „Kto wie, co temu szaleńcowi może przyjść do głowy!... Trzeba się bronić, póki czas”.

Błyskawicznym ruchem cofnął się w tył i dobył rewolweru.

— Stój! Nie ruszaj się! Słyszysz?!

— Słyszę — uśmiechnął się Wolkow, posuwając się powoli w stronę przeciwnika.

— Stój, bo strzelam!

Wolkow roześmiał się głośno, po czym szarpnął za guziki munduru i obnażył pierś.

— Proszę, strzelaj! Strzelaj! Czemu stoisz?!

Szczupak nie wiedział, jak postąpić. Strzelać do anormalnego człowieka nie sposób. Nie wiedział jednak, jak się inaczej go pozbyć. Naraz z całych sił rzucił się na Wolkowa.

Walczyli zawzięcie. Wolkow wypróbowanym sposobem schwycił przeciwnika za gardło, dusząc go z całych sił. Obaj tarzali się na podłodze. Szczupak wił się jak wąż, by się uwolnić z kleszczy. Rozwydrzony i krwiożerczy Wolkow zwyciężył w końcu.

Szczupak opadł bezsilnie na podłogę. Wolkow nie wypuszczał ofiary ze swych szponów, aż się upewnił wreszcie, że wróg nie żyje.

Przez dłuższą chwilę Wolkow przyglądał się zamordowanemu. Szatański uśmiech, triumf nasyconej zemsty, odmalował się na jego twarzy. Nadśluchiwał, czy nikt nie nadchodzi. Nie miał powodu do obawy. Grube mury nie przepuszczały odgłosów walki. Nawet kilkakrotne okrzyki Szczupaka nie przedostały się poprzez ściany. Wszak mury te były specjalnie na ten cel skonstruowane: to, co się działo w tym pokoju, nie mogło wychodzić poza jego ściany.

I teraz ściany te wypełniły swe zadanie. Nikt nie słyszał, co tu zaszło. Zresztą, była późna pora. Biura nie były czynne. Agent, który sprawował dyżur, znajdował się daleko w oficynie i w żaden sposób nie mógł usłyszeć, co się dzieje na czwartym piętrze w narożnym pokoiku na końcu długiego korytarza, gdzie urzędował naczelny komisarz.

Wolkow przyłożył ucho do piersi Szczupaka.

Palce wygięły się niby szpony, gotowe znów schwycić Szczupaka za gardło.

Jego ofiara nie dawała najmniejszej oznaki życia.

Szczupak leżał twarzą zwrócony do sufitu. Oczy wylazły mu z orbit. Z ust sączył się wąski strumyk krwi.

Wolkow przeszukał kieszenie zamordowanego, wyjął klucz i przewertował biurko. W pewnej chwili wzrok jego zatrzymał się na dokumencie, na którym przeczytał swoje nazwisko.

— Mam! — zawołał zadowolony.

Wolkow nie mógł się nadziwić na widok tego, co dojrzał.

Walka, Śmierć,
Morderstwo

„Trud mój nie poszedł na marne” — pomyślał.

Wółkow nie wierzył własnym oczom. Na dużym arkuszu papieru był zanotowany numer telefonu, z którego on dzwonił niegdyś do Szczupaka; był to numer telefonu Reginy. Znalazł też zanotowane wiele podejrzanych szczegółów o nim. Były to sprawy, o których nawet nie śmiał myśleć, że Szczupak mógłby o nich wiedzieć. Nie wątpił już teraz, że gdyby nie ustąpił z powodu choroby, Szczupak i tak skompromitowałby go i zajął jego stanowisko. Gdyby Szczupak ogłosił zebrane przeciwko niemu dokumenty, czekałyby go długie lata więzienia.

Zasadniczo Wółkow wydawał się być zupełnie normalnym człowiekiem. Umysł jego pracował logicznie. Miał tylko manię na jednym punkcie: panicznie lękał się więzienia, dokąd sam wysyłał tysiące ludzi — i kompromitacji. Nie miał dość odwagi, by samemu popełnić samobójstwo, chociaż gdy chodziło o pozbawienie życia innego, nie zastanawiał się zbyt długo...

Kondycja ludzka

Podarł na drobne kawałki papiery, które uważał za wskazane zniszczyć. Podarte skrawki ukrył w kieszeni. Nawet dokument, w którym mowa była o Klawym Janku i Krygierze, zniszczył. Fotografkę Krygiera, którą znalazł wśród papierów, schował do portfela. Po dokonaniu skrupulatnej rewizji Wółkow szykował się do wyjścia. Jeszcze raz przyjrzał się Szczupakowi... Ułożył go na kanapie, wyprostował, zamknął mu oczy, po czym pomyślał w duchu:

„Trzech ludzi mam już na sumieniu. Wszyscy, którzy wiedzą o mojej zbrodni, muszą zginąć. Teraz muszę jeszcze ją odszukać... Ona uczyniła ze mnie łapownika, przestępcę, zbrodniarza”.

Miał na myśli „Zimną kokotę”.

Nie wiedział, że „Zimna kokota” oraz Bajgele już przebywają w więzieniu. Postanowił też odszukać Krygiera i także jego zgładzić. Również tego nie wiedział, że przebywa za granicą.

Wółkow cichutko otworzył okienko, prowadzące na dach sąsiedniego domu. Upřednio doprowadził wszystko do porządku, by nikt nie mógł domyśleć się, co zaszło. Nawet kluczyki Szczupaka włożył mu z powrotem do kieszeni.

Wółkow nie chciał wracać tą samą drogą, jaką przyszedł.

Roześmiał się na myśl, że policja na próżno będzie się głowiła nad tajemniczą zbrodnią, jaka miała miejsce tej nocy w Urzędzie Śledczym.

Wydostał się przez okienko i zamknął je za sobą. Powoli, na czworakach, posuwał się po dachach, aż dostał się na strych znanego mu od dawna domu, gdzie w swoim czasie dokonał rewizji.

Bez większych trudności otworzył drzwi prowadzące na strych i zszedł po schodach. Dozorca na widok munduru komisarza policji schylił się nisko i szybko pobiegł, by otworzyć mu drzwi. Nie śmiał nawet spojrzeć w twarz surowemu komisarzowi.

Po wydostaniu się ze szpitala Wółkow nie pokazywał się wcale w domu. Żona jego odetchnęła z ulgą. Miała zapewnioną egzystencję. Pieniądzy jej nie brakło — były to pieniądze, które Klawy Janek zgubił po dokonaniu włamania i rabunku u hrabiny, a które Wółkow zdobył po zamordowaniu policjanta. Mogła żyć w dostatku. Nie zastanawiała się nad tym, skąd mąż zdobył tyle pieniędzy i jakie jest ich pochodzenie.

Wółkow zamieszkał u swej matki, która na skutek nadwątlonego stanu zdrowia przeniosła się na stałe do Warszawy. Wiedziała, że śmierć jej jest bliska. Udało jej się dzięki zabiegom adwokata wydostać chorego syna ze szpitala, aby mógł czuwać przy jej łóżu. Wółkow był jedynym synem i jedynym spadkobiercą jej znacznego majątku. W jaki sposób doszła do tego majątku, tego Wółkow nie wiedział. Matka nigdy nie wspominała mu o tym. Plotki, jakie krążyły o jego matce, a które doszły też do uszu syna, że była kochanką bogatego dziedzica i że on ją tak zabezpieczył, nie obchodziły Wółkova. Gdy szastał pieniędzmi, tłumaczył się, że to matka daje mu pieniądze. W ten sposób mógł, nie wzbudzając podejrzeń, używać kosztem pieniędzy, które zgubił Klawy Janek, a które znalazł zamordowany przez Wółkova policjant.

Wółkow nie znał swego ojca. Starczyło mu, że ma bogatą matkę.

Młodości nie miał zbyt różowej. Matka oddała go do obcych ludzi na wychowanie i tylko od czasu do czasu odwiedzała go. Od najwcześniejszych lat zdradzał awanturnicze usposobienie. Wychowawca przepowiedział mu jego karierę.

— Z ciebie, Wolkow, będzie albo międzynarodowy przestępca, albo sławny detektyw.

Spełniło się jedno i drugie. Zgubiły go kobiety. „Zimna kokota” najbardziej przyczyniła się do jego upadku. Ona go pchnęła do pierwszej zbrodni. Pieniądze, które otrzymywał od matki, nie starczały dla nasycenia jej zachcianek.

Teraz Wolkow żył pod wrażeniem czekającego go wielkiego spadku. Marzył o fantastycznych sumach, które znów pozwolą mu rozpocząć wystawne życie.

Wolkow umiał chodzić koło swych spraw. Nie odstępował od łóża matki, strzegł bacznie, by nikt obcy nie zdobył dla siebie jej serca i fortuny...

Matka jego, kobieta czterdziestokilkuletnia, której los nie poskąpił cierpienia — znała dobrze życie. Nie podobał jej się tryb życia syna. Instynktem macierzyńskim wyczuła, że dzieje się z nim coś tajemniczego i że jego choroba ma głębsze przyczyny.

Gdy Wolkow przebywał w towarzystwie matki, starał się ukryć przed nią nurtujące go uczucia. Był pogodny, uśmiechnięty. Matka jednak poznała się na tym. Życie nauczyło ją odróżniać szczery uśmiech od pozornego. Syn przedstawiał dla niej zagadkę.

Licząc się z jego stanem duchowym, nie chciała go rozdrażniać. Z dnia na dzień odkładała szczerą rozmowę z synem. Ale gdy poczuła, że chwile jej życia są policzone, postanowiła nie zwlekać dłużej.

Po zamordowaniu Szczupaka udał się do matki.

We dnie Wolkow nie odstępował od jej łóża. Tylko w nocy, gdy zasypiała z bólu, zmęczona i wyczerpana, wykradał się na „polowanie”, jak to sam nazywał.

Gdy tym razem wszedł na palcach do pokoju matki, ujrzał ją siedzącą na łóżku. Zaraz przy wejściu utkwiała w nim swe na wpół wygasłe oczy.

— Nie śpisz, mammo? — szepnął Wolkow.

Chora kobieta nie odpowiedziała, obserwując go bacznie nadal. Wolkow mienił się barwami pod wpływem jej przenikliwego wzroku. Dreszcz przeszedł po jego ciele. Nigdy matka nie przenikała go tak na wskroś. Odnosił wrażenie, jak gdyby obserwował go umarły z zaświatów i chciał go zabrać do grobu.

— Mammo, co się stało?

— Ze mną nic.

— I ze mną nic, mammo.

— Gdzie byłeś?

— W domu.

— Kłamiesz.

— Ależ mammo... ja nie kłamię.

— Zbliż się do mnie... — odezwała się matka surowym głosem.

Wolkow podszedł do matki, siląc się na uśmiech.

— Mammo, co ci jest? Tak dziwnie wyglądasz!... Może wezwać doktora...

— Przyjrzyj się raczej sobie, jak ty wyglądasz.

— Ja?...

— Tak, ty. Wyznaj mi natychmiast, gdzieś był, z kim się zmagalesz!...

Wolkow zbłądł jak chusta. W oczach jego zabłyśły złe ogniki.

— Masz gorączkę, mammo!

— Nie, synku.

— Co ci przychodzi na myśl, mateczko? Z nikim nie walczyłem.

— Przejrzyj się w lustrze.

Wolkow podszedł do lustra. Przez dłuższą chwilę przyglądał się sobie, jak gdyby siebie nie poznawał. Z przerażeniem stwierdził, że ma na sobie podarty mundur, a lewe ucho pokryte jest skrzepłą krwią.

Matka nie zdejmowała zeń oka, jak gdyby stała się od razu mocniejsza, zdrowsza. Głos jej odzyskał dawny, metaliczny dźwięk. Wyprostowała się na łóżku.

— No i co, synku, miałam rację?

— Mammo, to głupstwo...

— Może znów urządziłeś żonie awanturę?

— Tak... Ona zaczęła...

Matka, Syn

— Bileś ją?
 — Trochę. Rzuciła się na mnie pazurami... Nie mogę z nią dłużej żyć. Nie mogę — powtórzył i podniósł na matkę oczy, by się przekonać, czy mu wierzy.
 — A dzieci?
 — Dzieci... Dzieci zabiorę do siebie. Zabezpieczę je — dodał z pewnością w głosie, przekonany, że fortel się udał.
 Oboje przyglądali się sobie.
 — Usiądź, synku, tu, bliżej mnie...
 Wołkow usiadł, poprawiwszy uprzednio matce poduszki pod głowę. Ręce jego mimowolnie dotknęły grubego portfela.
 — Sprawdź, czy służąca śpi — rozkazała matka.
 — Śpi.
 — Zamknij drzwi na klucz.
 — Po co?
 — Pragnę się z tobą rozmówić przed śmiercią. Chcę, by nikt nas nie słyszał.
 — Ze mną?
 — Tak, synku. Mam wrażenie, że mamy sobie wiele do opowiedzenia.
 — Proszę bardzo. — Wołkow usiadł przy łóżu matki. Pomyślał zadowolony: „Pragnie mi przekazać swój majątek”.
 — Czy nie masz mi nic do powiedzenia, synu? — Matka gładziła go po głowie.
 — Ja nie, matko. Wiesz wszystko o mnie.
 — Wszystko?...
 — Tak, mamo.
 — Nie, dziecko moje. Nie jesteś szczery wobec mnie, jak dawniej. Nie poznaję ciebie.
 — Co ci przychodzi na myśl? Dziwi mnie twój ton, matczko.
 — Jestem twoją matką. Przede mną możesz wyznać wszystko. Cięży ci coś na sumieniu?
 — Na sumieniu? — skrzywił się Wołkow.
 — Tak, synku. Ja, twoja matka, dojrzałam w tobie to, czego nie może spostrzec kto inny. Nie poznaję ciebie.
 — Cóż zauważyłaś takiego, mamo?... Chyba masz gorączkę. Zawezwę lekarza.
 — Już mnie żaden lekarz na świecie nie pomoże. Czuję, że chwile mego życia są policzone. Ale ty jesteś młody, musisz żyć!
 — Czyż nie żyję, mamo? — Wołkow silił się na uśmiech. — Czyż nie jesteś ze mnie zadowolona? Sam, o własnych siłach doszedłem do wysokiego stanowiska. Wkrótce odzyskam urząd. Lekarze twierdzą, że wracam do zdrowia...
 — Lekarze wiedzą jedno, a ja co innego. Choroba nie spadła na ciebie bez powodu. Popelnileś zapewne coś takiego, co dręczy twoje sumienie.
 Wołkow poruszył się niespokojnie na krześle. Matka zauważyła jego ruch.
 — Od czasu twego awansu zauważyłam, żeś się bardzo zdemoralizował, jesteś innym człowiekiem. Wyznaj matce, co ci ciąży na sercu — powiedz, dziecko moje. I ja opowiem ci wszystko o sobie.
 — Nie mam nic do opowiedzenia! — zawołał Wołkow energicznie. — Nie wiem, mamo, czego chcesz ode mnie... Nie rozumiem ciebie...
 Matka utkwiała wzrok w synu i uśmiechnęła się smutnie. Wołkow zaczął ją podejrzewać, że wie coś o jego upadku, ale kilka łez, które stoczyły się z jej nieruchomych oczu po twarzy, powstrzymały go, by nie stracił równowagi i nie rzucił się na nią.
 — Dziecko moje, serce mi mówi, że dzieje się z tobą coś złego. Mam tylko ciebie jednego na świecie. Nie mogę umrzeć spokojnie, aż nie dowiem się wszystkiego. Słyszysz, pragnę wiedzieć wszystko!
 — Mamo! Daj mi spokój. Jestem przekonany, że mówisz to wszystko pod wpływem gorączki. Może podać termometr?
 — Nie, synku, dziękuję. Nie chcesz pomówić szczerze z twoją matką. Niechaj i tak będzie. Zbliź się do mnie, chcę ci coś ważnego zaufać — coś w sprawie rodzinnej.
 Wołkow przysunął się bliżej. Czuł zapach lekarstw z ust matki. Myśl, że chce z nim pomówić o spadku, przykuwała go do miejsca, inaczej uciekłby stąd jak najdalej, a wrócił

Matka, Syn

Choroba, Sumienie

dopiero wówczas, gdy byłoby już po wszystkim... Wólkow poczuł żal do matki. Teraz zdał sobie sprawę, że wychowanie, jakie mu dali obcy, źli ludzie wyrobiło w nim tę zaciętość i upór. Miał urazę do matki, że powierzyła go w obce ręce ludzi, którzy myśleli tylko o tym, by z pieniędzy, które otrzymywali na jego wykształcenie, jak najmniej wydać na niego, a jak najwięcej zostawić dla siebie. Wyrzucał jej w duchu, że nie interesowała się nim przez jego całe dzieciństwo⁴³, a teraz, gdy jest dojrzałym mężczyzną, ojcem dzieci, żąda od niego szczerych wyznań.

Nie mógł jej darować, że skazała go na los bękarta. Wólkow nigdy nie znał swego ojca. Świadomość, że nosi panieńskie nazwisko matki, wyprowadziła go z równowagi i często spędzała sen z powiek. Matka była dlań przez całe życie zagadką. Gdyby nie wielki spadek, na który liczył jako jedyny syn, wstydziłby się nawet przyznać do tego, że ona jest jego matką...

Umierająca matka wyczuła myśli syna i chciała się przed nim usprawiedliwić. Chciała mu wyjaśnić, wyznać wszystko... Niech wie, że matka jego nie była winna... Chciała umrzeć z czystym sumieniem, wytłumaczyć się w oczach syna.

Nie podejrzewała go o popełnienie zbrodni. Nie przypuszczała na chwilę, że syn jej dźwiga na sumieniu ciężkie brodnie. Co do jednego tylko była pewna: że syn jej jest zakochany, nieszczęśliwie zakochany...

Chora kobieta wiedziała, co to jest nieszczęśliwa miłość, szczególnie gdy się ma żonę i dzieci. Dlatego postanowiła rozmówić się z nim, udzielić mu kilka praktycznych wskazówek⁴⁴. Nieszczęśliwa miłość jest źródłem jego choroby nerwowej — tłumaczyła sobie w duchu.

— Synku, jesteś zakochany? — zapytała naraz.

Wólkow odetchnął z ulgą.

— Tak, mam.

— W kim?

— W hrabinie.

— Co?...

Chora kobieta nie mogła chwycić tchu. Syn podał jej wodę.

— Czegoś się tak przeraziła, mam?

— I ona ciebie kocha?

— Nie.

— Wybij ją sobie z głowy. Uciekaj od tych ludzi. Pamiętaj, synku, uciekaj.

Wólkow był zadowolony, że wie w końcu, o co go matka podejrzewa. Nie zdawał sobie tylko sprawy, że słowem „hrabina” sprawił matce niewysłowny ból, zadrasnął dawne, niezagojone rany.

— Uspokój się, mam. Postaram się wyrwać ją ze swego serca, zapomnieć o tej nieszczęśliwej miłości. No wyznaj, coś mi chciała opowiedzieć o sobie.

Przez dłuższą chwilę leżała bez ruchu. Czy jej utkwione były nieruchomo w jednym punkcie na suficie. Po chwili znów usiadła na łóżku, przysunęła się do syna i zaczęła cichym, słabym głosem:

— Urodziłam się na Polesiu. W małym, wiejskim domku. Rodzice moi byli bardzo biedni. Oboje pracowali u bogatego dziedzica, hrabiego, ale to, co zarabiali, starczyło zaledwie na zaspokojenie głodu.

Tu chora urwała, jak gdyby przypominała sobie wygląd wioski, gdzie przyszła na świat.

— Byłam ładną dziewczyną — ciągnęła matka dalej. — Hrabia rozkazał rodzicom, by sprowadzili mnie do dworu. Liczyłam wówczas dwanaście lat...

Głos jej się załamał i naraz zawołała histerycznie:

— Uciekaj od hrabiny, póki czas. Uciekaj! Unikaj przekłętej arystokracji.

Silny atak przerwał jej okrzyk. Wólkow spoglądał z nienawiścią na chorą matkę. Zrozumiał, że chce mu opowiedzieć o jego ojcu. Matka wyczuła jego oziębłość i cicho zauważyła:

⁴³ *dzieciństwo* (daw.) — *dzieciństwo*. [przypis edytorski]

⁴⁴ *udzielić mu kilka praktycznych wskazówek* — popr.: *udzielić mu kilku praktycznych wskazówek*. [przypis edytorski]

— To nie moja wina... Rodzice zbili mnie i nakazali czynić wszystko, co mi hrabia rozkaże... Nie rozumiałam jeszcze wówczas, czego chce ode mnie i co mam robić...

Umierająca kobieta zasłoniła twarz rękami, jak gdyby się wstydziła syna, który siedział tu w mundurze policjanta jako przedstawiciel sprawiedliwości... W tej chwili czuła się zbrodniarką wobec własnego syna, a on, faktyczny przestępca, wyglądał jak uosobienie prawości — tak dumnym i wyniosłym wzrokiem spoglądał na nieszczęśliwą kobietę...

— A więc jestem bękartem? — zawołał Wołkow siny z oburzenia. — Bękartem...

— Uspokój się, dziecko moje... Pozwól mi skończyć...

Wołkow zapalił cygaro. Zapomniał, że to on jest godnym potępienia zbrodniarzem, a nie jego chora matka, którą ciemni, sponiewierani rodzice zmusili, by została kochanką wyuzdanego arystokraty... Zaciągał się dymem, nie zważając na to, że to szkodzi chorej.

— Nie pał, synku... Duszno mi...

Wołkow z gniewem zmiął w rękach cygaro, a potem podeptał je nogami.

— Chcesz słuchać dalej, synku?

— Po co mi to opowiadasz?

— Zaraz, synku... Posłuchaj do końca.

Chora odetchnęła ciężko i ciągnęła dalej:

— Czternaście lat liczyłam, gdy wydałam na świat dziecko... Ślicznego chłopczyka.

Wołkow zerwał się z miejsca.

— Kogo, mnie?...

— Nie, synu...

— A więc mam braci, a może też i siostry? — zawołał z ironią w głosie.

— Nie krzycz, dziecko moje. Nie denerwuj się... Nie masz nikogo więcej...

Wołkow usiadł z powrotem przy łóżu matki. W duchu pomyślał:

„Dobrze, że nie mam współników do spadku. Po takiej matce i z taką przeszłością trzeba przynajmniej skorzystać...”

— Opowiadaj dalej; słucham cię, mamo — zawołał oschłym głosem.

— Tylko nie denerwuj się, synku... Mogę przerwać opowiadanie, jeżeli cię to męczy?...

— Opowiadaj, jestem ciekaw, gdzie się ten hrabia, mój ojciec, znajduje. Dlaczego nie miałbym nosić jego nazwiska?

— Już dawno nie żyje. Gdy mnie zmusił do uległości, liczył czterdzieści osiem lat. Nie był jednak tak złym człowiekiem, jak wyobrażałam sobie wówczas. Obdarzył hojnie mnie i moich rodziców. Przed śmiercią zapisał mi wielki majątek na Kresach⁴⁵.

Wołkow znów poruszył się na swym miejscu.

— Posiadasz majątek, mateczko? Dlaczegoś mi o tym nigdy nie wspominała?

— Zaraz, synku, wszystko ci opowiem. Sprawdź tylko jeszcze raz, czy służąca śpi. Nie chcę, by nas ktoś podsłuchiwał.

— Śpi, śpi... Mów prędzej — unosił się Wołkow.

Matka spojrzała na syna z wyrzutem, ale po chwili ciągnęła dalej:

— Po zgonie hrabiego, przed dwudziestu kilku laty, znalazłam się sama, niezależna i bogata. Mogłam korzystać z życia, bawić się, ale nigdy nie byłam rozpustna. Marzyłam zawsze o cichym ognisku rodzinnym. Wyjść za mąż jednak nie chciałam. Myślałam tylko o was, moich dzieciach. O tobie i Janku. Później zapadłam na zdrowiu i zupełnie usunęłam się w cień.

— A o jakim to Janku wspomniałaś? — mruknął Wołkow.

— To twój starszy brat, którego wydałam na świat, licząc zaledwie czternaście lat.

— Gdzie jest? Czy żyje?

— O nim chciałam właśnie powiedzieć z tobą.

Chora kobieta znów się zamyśliła, jak gdyby się zastanawiała, co ma mówić dalej.

— Gdy Janek przyszedł na świat, było to dla wszystkich tajemnicą, bo tak sobie właśnie życzył hrabia. Wyjechaliśmy natychmiast za granicę. Dziecko oddaliśmy na wychowanie staremu, oddanemu parobkowi. Nikt nie mógł wiedzieć o tym, że to nasze dziecko.

⁴⁵Kresy — historyczne wschodnie pogranicze Polski, obecnie terytorium stanowiące fragmenty obszarów państwowych Ukrainy, Białorusi i Litwy. [przypis edytorski]

Przed kilkoma miesiącami, gdy się przekonałam, że stan mój jest beznadziejny, postanowiłam zainteresować się losem mego dziecka. Powierzyłam sprawę dwóm prywatnym detektywom, którzy ustalili nazwisko wieśniaka, u którego wychowywał się Janek. Wieśniak nazywał się Gawryło, a jego żona Marta. Oboje umarli już dawno.

— A Janek? — zapytał Wólkow zaintrygowany.

— Zaraz... Cierpliwości, synu. Postanowiłam cały mój majątek zapisać nieszczęśliwemu synowi, Jankowi. Chciałam w ten sposób wynagrodzić mu smutne dzieciństwo, które spędził w domu biednego chłopca, o chłódzie i głodzie. Ale dopiero teraz wyszło na jaw, że po odbyciu służby wojskowej Janek zginął jak kamień w wodzie. Nie wrócił więcej do rodzinnej wioski. Wywiadowcy jednak ustalili o nim wszystko, wszystko. — Zalała się gorącymi łzami.

Wólkow na początku prawie się nie przysłuchiwał spowiedzi matczynej. Myśli jego krążyły dokoła innej sprawy. Zastanawiał się nad tym, jak odszukać „Zimną kokotę” i w jaki sposób ją wytransportować na tamten świat, tak samo jak Reginę i Szczupaka. Ale ostatnie słowa matki wzbudziły w nim zainteresowanie.

— Co się z nim stało? Mów, mamó! Czy żyje?

Wólkow był ciekaw dalszego losu swego brata. Nie chciał mieć współnika do spadku. Matka wyczuła jego myśli. Serce ścisnęło jej się z bólu.

— Po wyjściu z wojska — ciągnęła chora dalej — kapitan, u którego Janek był ordynansem⁴⁶, wystarał się dlań o pracę w policji. Janek został policjantem w Warszawie.

— Policjantem w Warszawie? — zawołał Wólkow niesamowitym głosem.

— Tak, policjantem — westchnęła ciężko. — Tylko że niedługo utrzymał się na tej posadzie. Zginął z ręki bandytów. Słyszałeś zapewne o tym wypadku...

Wólkow naraz schwycił się obiema rękami za głowę, biegnąc po pokoju tam i z powrotem, jak szalony.

— Co się stało, mój synu? Co ci jest?!

— Nic, nic... Mów dalej, mamó.

— Służąca moja miała zostać jego żoną. Ona mi opowiedziała o wszystkim, jak go zdradziecko zamordowali. Biedna dziewczyna po utracie ukochanego nie chce słyszeć o żadnym innym mężczyźnie.

— Opowiadaj o nim — zawołał Wólkow. — Mów!... — Uniósł w powietrze zaciśnięte pięści.

— Co ci jest, synu? — pytała zaniepokojona kobieta.

— Mów! Mów! Nie zwlekaj!

— Już mówię, ale nie denerwuj się, kochany. Rozumiem twój ból. Straciłeś brata...

— Mów! Mów! — wołał Wólkow, chwytając się obiema rękami za gardło, jak gdyby miał zamiar się udusić.

— Uspokój się, dziecko moje. Opowiem ci wszystko. Powinieneś wiedzieć, w jak smutnych okolicznościach zginął swój brat⁴⁷. Michał padł na posterunku...

— Na posterunku? — Wólkow tłukł z rozpaczy głową o ścianę.

— Tak, synku. Bądź ostrożny. Porzuć służbę w policji. Człowiek tam zawsze ryzykuje życiem, jest w ciągłym niebezpieczeństwie, gdyż ma do czynienia ze złodziejami, mordercami i bandytami. Michał również zginął z rąk bandytów, zmykających po dokonaniu włamania u pewnej hrabiny.

— Skąd wiesz o tym? — zawołał Wólkow nieswoim głosem.

— Skąd wiem? W tych dniach ma się odbyć proces głośnego bandyty Klawego Janka. To on ograbił kasę u hrabiny. On zastrzelił mego syna. Chciałabym dożyć do chwili wyroku sądu i dowiedzieć się, jaka kara spotka zabójcę mego dziecka.

Wólkow stał oparty o ścianę, spoglądając tępym wzrokiem na matkę, jak gdyby jej wcale nie dostrzegał. Usta jego szeptały coś w cichości.

— Co ci jest, synu mój! Umarli nie wracają!... Przepadło...

— Ha, ha! — roześmiał się Wólkow dziwnie i zbliżył się do matki, krzycząc jej niemal do ucha: — Michał był twoim synem. Policjant moim bratem. Klawy Janek. Hrabina. W nocy na posterunku. Ha... ha... — śmiał się coraz głośniejsze.

⁴⁶ordynans — żołnierz pełniący stałą służbę przy wyższym oficerze. [przypis edytorski]

⁴⁷w jak smutnych okolicznościach zginął swój brat — popr.: w jak smutnych okolicznościach zginął twój brat. [przypis edytorski]

— Ciszzej, na litość boską. Służąca się zbudzi. Opanuj się, synu. Biada mi, po co ci o tym opowiedziałam? Nie wiedziałam, że to tak wpłynie na ciebie.

Naraz chwycił Wołkow matkę za gardło. Ale w tej chwili odzyskał świadomość i ją puścił.

— Wszystko przez ciebie!... Przez ciebie... — Tłukł znów głową o ścianę.

— Dziecko moje, cóż zawiniłam?

— Tylko ty!... Ty!... Nikt inny!...

Chora kobieta nie wątpiła już, że syn jej dostał ataku, które ostatnimi czasy powtarzały się coraz częściej. Z trudem wyszła z łóżka, aby go uspokoić.

— Dziecko moje... najdroższe... co ci jest?

Wołkow odskoczył od niej.

— Nie zbliżaj się do mnie!

Matka zwróciła się w stronę drzwi, aby zbudzić służącą. Wołkow zastąpił jej drogę.

— Nie budź się, powiadam. Połóż się...

Matka, wystraszona, ułożyła się z powrotem na łóżku.

Wołkow zaszył się w kąt; zasłonił sobie twarz rękami, wołając przeraźliwie:

— Widzę ich!... Idą! Idą! Mamo! Mamo! Michał! Michał!...

— Dziecko moje, dziecko moje — rozpaczala chora matka, nie wiedząc, co poczyć ze sobą i z synem.

Naraz otworzyły się drzwi. Służąca, wystraszona, potargana, na wpół naga, ukazała się na progu.

— Zadzwoń na lekarza⁴⁸. Syn dostał ataku — rozkazała chora.

— Nie trzeba doktora, nie! Zadzwońcie na policję. Szczupak! Szczupak!... Słyszysz!?

— Proszę panią, co mam robić... — wołała służąca.

— Chcesz wiedzieć, co masz robić? — roześmiał się Wołkow. — Zaraz! Wszystko ci wyjaśnię. Zbliź się do mnie...

Służąca, przerażona, zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Matka powoli zaczęła się posuwać w stronę telefonu, by wezwać pogotowie.

— Nie ruszaj się z miejsca! — Zagroził matce pięścią. — Oddaj twój portfel z pieniędzmi, który ukrywasz pod poduszką. Oddaj. Chcę się podzielić z Michałem...? Z moim bratem!...

Nie ruszał się jednak z miejsca. Wyciągnął ręce przed siebie, jak człowiek, który chce się rzucić na kogoś i boi się jednocześnie stracić równowagę. Chwiał się na nogach; na ustach wystąpiła piana. Tępy wzrokiem wpatrzony był w sufit.

Matka z przerażenia osunęła się na najbliższe stojące krzesło. Przyglądała się niesamowitemu wyrazowi syna. Była śmiertelnie blada. Drżała jak w febrze. Wiedziała, że musi coś przedsięwziąć. Zbliżyła się do Wołkova chwiejnym krokiem.

— Synku, co ci jest? Lękam się o ciebie... To ja, twoja matka...

Rozplakała się. Służąca, która lekko uchyliła drzwi, by zajrzeć, co się dzieje, wybuchnęła histerycznym płaczem.

— Milczec! — Wołkow cisnął szklanką o drzwi. — Bo was tu... Ha, ha! Boicie się mnie, co? Myślicie, że oszalałem!...

— Synku! Synku! Zlituj się nad twoją matką... — Chora drżała ze zdenerwowania.

— Oni idą!... Michał, Regina, Szczupak!... Czekaście! Idę z wami!... — wołał Wołkow w przystępie ataku szału.

Wołkow podbiegł do drzwi i szarpnął je do siebie z taką siłą, że służąca, która stała oparta o drzwi, wpadła do pokoju. Jednym skokiem Wołkow znalazł się na ulicy.

ROZDZIAŁ IX

Sędzia śledczy dotrzymał słowa. Termin procesu tajemniczej bandy został przyśpieszony w rekordowym tempie. Miał dobrze w pamięci poprzedni wypadek, gdy Klawy Janek zbiegł z więzienia — zanim akt oskarżenia był gotowy. Teraz sędzia dokładał wszelkich starań, aby rozprawa odbyła się czym prędzej.

⁴⁸zadzwoń na lekarza — popr.: zadzwoń do lekarza. [przypis edytorski]

Zgon komisarza Szczupaka przyczynił się również do tego, aby sąd nad Klawym Jan-kiem odbył się w błyskawicznym tempie. Wszyscy, którzy mieli związek z prawodaw-stwem i jego organami wykonawczymi, byli przekonani, że mordu dokonali towarzysze Janka z zemsty za prześladowania i ciągle aresztowania, jakich dokonywał wśród świata podziemi.

Tylko aspirant Andrzejczak nie chciał w to wierzyć. Jednak na pytanie: kto był tym odważnym, który dostał się do gabinetu komisarza i go zamordował, nie mógł znaleźć odpowiedzi.

Wszystkie dzienniki rozpiśały się szeroko na temat wielkiej, zorganizowanej bandy przestępczej. Jedna z gazet popołudniowych, która uchodziła za najlepiej „informowaną”, w ten sposób opisywała przebieg mordu na Szczupaku:

[...]

— Zajechałem do Hotelu Europejskiego.

— Jeżeli można, przyjdę do ciebie natychmiast. Stęskniłem się za tobą.

— Więc przychodź, chłopcze.

— Może jesteś zmęczony podróżą, ojczulku?

— Nie. Czekam na ciebie.

— Za kwadrans będę u ciebie.

— Do widzenia.

— Do widzenia.

Krygier, zadowolony, odłożył słuchawkę. Przejrzał się w wielkim lustrze i na jego ucharakteryzowanej twarzy zakwitł uśmiech zadowolenia, który wnet znikł.

Stał przed oknem i wyjrzał na ulicę. Panował ożywiony ruch. Dorożki, auta, tram- waje mijaly się i dopędzały jedno drugie.

Krygier przyglądał się ulicy z wysokości trzeciego piętra. Opanowało go dziwne uczu- cie. Jedna myśl uporczywie nie dawała mu spokoju.

— Ludzie pędzą. Szukają zarobków, porusza ich walka o byt, śpieszą się... a ja...

Znów przejrzał się w lustrze. Przeraził się własnego wyglądu.

— Nie potrwa długo, a będziesz naprawdę tak wyglądał — mruknął pod nosem. — Jak długo jeszcze będziesz pędził tak niepewny żywot?

Krygier czytał w dziennikach wszystko, co wypisywano o nim. Z odrazą myślał o insy- nuowanym mu morderstwie. Całe jego życie było hazardem. I teraz bawiło go, że znajduje się w paszczy lwa i igra z niebezpieczeństwem.

Krygier był zawsze pewny siebie. Życie nauczyło go wydostawać się z nastawionych nań sieci. I teraz był więcej niż pewny, że wszystkie jego plany muszą się ziścić.

Pukanie do drzwi wyrwało go z zadumy.

— Proszę.

Drzwi się otworzyły. Antek rzucił się Krygierowi na szyję.

— Jak się masz, ojcze? Jak się mama czuje? Siostry, bracia, słowem, cała rodzina?

Krygier przekręcił klucz we drzwiach.

— Możesz mówić. Widzisz, we wszystkich tutejszych hotelach podsłuchuje się roz- mowy. Ale myśmy się zrozumieli, nieprawdaż?

— To dobre! Wszak jestem Antkiem.

— Siadaj.

Przez dłuższą chwilę przyglądali się sobie.

— Źle wyglądasz, Antku.

— Nie zarabia się grosza. Nie można nosa wysunąć na ulicę.

— Ścigają was jak zadzumionych.

— Jeszcze gorzej... Jutro odbędzie się proces.

— W tej sprawie przyjechałem.

— Po co? Chcesz się unieszczęśliwić?

— Daj spokój, wiem, co robię.

— A jednak... Mogą cię poznać.

— Nie ma obawy. Powiedz lepiej, czy nikt nie widział, jak wchodziłeś do mnie.

— Nikt. Zachowałem najdalej idącą ostrożność.

— Na pewno?

Antek wyjął z kieszeni sztuczne wąsy i przyczepił je do nosa.

— Twoja nauka nie poszła w las.

— Nie wszystko, czego was uczyłem, umieliście zastosować z pożytkiem. Janek nie chciał mnie słuchać; dlatego spotkał go taki smutny koniec. Głupimi kawałami wpakował też Starego Lipę i jego córkę Anielę do więzienia. Romansów mu się chciało, i to z córką złodzieja.

— Masz jakieś plany?

— Chcę wiedzieć, coście uczynili dotąd.

— Bardzo wiele.

— Słucham.

— Sądzę, że nie jest to odpowiedni moment. Czekają na ciebie. Przysięgam cię sprowadzić.

— Co?

— Powiedziałem dość wyraźnie.

— Nie pójdę.

— Nie możesz nas obrazić. Dwa dni szykowaliśmy się do tego przyjęcia. Cała paczka czeka na ciebie. Oczekiwali cię na dworcu.

— To bardzo głupie z waszej strony. Jak mogliście coś podobnego uczynić? Sami mogliście mnie wyspać.

— Chcieli się tylko przekonać, czy przyjechałeś. I tak nie zbliżyliby się do ciebie. Na szczęście nie poznali cię wcale.

— Ale ja ich poznałem. Nie tylko ich. Konfidentów też poznałem. Jednego z nich zatrzymałem i zapytałem o nazwę dobrego hotelu.

— Ryzykujesz za bardzo. Igrasz z życiem. Chodź. Wszyscy czekają tam, proszę cię.

— Policja również czeka — uśmiechnął się Krygier.

— Bądź spokojny. Meliny, gdzieśmy przygotowali przyjęcie na twoją cześć, nigdy nie wykryją. Zaręczam moją głową.

— Nie pójdę. Podziękuj wszystkim w moim imieniu. Co mi po twojej głowie? Wolę mieć swoją na karku. Zrozum, że mam o czymś ważniejszym do pomyślenia.

— Przede wszystkim — zauważył Antek — musimy omówić z tobą, w jaki sposób mamy odbić jutro Janka, Lipę i Anielę, gdy ich prowadzić będą do sądu lub z powrotem.

— Żebyście się nie ważyli czynić coś podobnego! — zawołał Krygier gwałtownie. — Nie dopuszczę do żadnych zamachów. Rozumiesz?

— Co?!... Nie poznaję ciebie!... Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?!

— Nie pozwalam!

— Janka czeka szubienica. Nie możemy dopuścić do tego, by go powieszono jak kota.

— Nie będzie wisiał. Ręczę!

— Krygier! Co się z tobą dzieje? Wszystko przemawia przeciwko niemu. Za zabójstwo policjanta grozi mu stryczek. To pewne jak na dłoni...

— Wiem o wszystkim. Idź i uprzedź naszych, by niczego nie podejmowali. Pozostawcie to mnie. Ocalę ich wszystkich.

— Nie rozumiem ciebie. Jeżeli liczysz na list, w którym Wołkow sam przyznaje się do zabójstwa policjanta — mylisz się. Sąd weźmie pod uwagę, że Wołkow nie jest przy zdrowych zmysłach i przyjmie, że napisał ten list pod terrorem. Po wtóre sądzę, że nie jest to właściwa droga obrony Janka.

— Tak ci szkoda Janka?

— Mam do niego żal, że zamordował Felka... ale jednak jest współnikiem.

— Pozostaw to mnie. Skoro przyjechałem, na pewno wszystko będzie w porządku. Przewidziałem już wszelkie ewentualności.

— Ale dlaczego nie chcesz pójść ze mną? Sprawisz mi przykrość.

— Nie mam czasu. Idź i uprzedź wszystkich, by się nie ważyli pokazać w sądzie.

— Czy to twoje ostatnie słowo?

— Tak żądam — i tak być powinno.

— Ale ja muszę tam być! Chcę go zobaczyć.

— Zabraniam ci.

— Nie rozumiem, co masz na względzie.

— To moja rzecz. Mam nadzieję, że spełnisz moje życzenie.

— Może mógłbym ci być pomocny? — Antek zapytał niepewnym głosem. — Mógłbym się przydać.

— Nie. To niemożliwe.

Antek zwiesił posępnie głowę.

— Cóż? Czy jestem kapusiem, że mnie tak unikasz? Dziwi mnie twój stosunek. Nie zasłużyłem na to.

— Jesteś dobrym chłopem, Antku. Mam do ciebie stuprocentowe zaufanie. — Krygier oparł dłoń na ramieniu Antka. — Tylko widzisz, opracowałem bardzo trudny, wręcz fantastyczny plan — i nie chcę, by mi ktokolwiek przeszkadzał.

— Ale nasi mogą ci tylko pomóc, a nigdy przeszkodzić! — zawołał Antek.

— Nie zawsze decyduje pomoc fizyczna. Tym razem na nic się nie zda wasza pomoc, jest to przedsięwzięcie, które wymaga więcej mózgu niż rąk. Możesz na mnie polegać...

— Ale co to może zaszkodzić, że będziemy w sądzie? Dlaczego nie ma tam być naszych jak najwięcej?

— Możecie mi tylko zaszkodzić.

— Ciekaw jestem, czym?

— Wszystkim, przyjacielu.

— Mówisz tak zagadkowo, że cię nie rozumiem.

— Wnet ci wytłumaczę. Jak widzę, trzeba ci wszystko wyjaśniać jak na dłoni. Niech i tak będzie.

— Wybacz mi, przyjacielu! — zawołał Antek wzruszony. — Nie wątpię w twój spryt. Ale po prostu chce ci służyć do ostatniej kropli krwi. Czuję się nieszczęśliwy, że mnie odrzucasz od siebie.

— Uspokój się, Antosiu, jesteś oddanym towarzyszem. Pamiętam dobrze dni zgrozy, który przeżyliśmy razem. Tym razem nie pozostawię cię w Polsce. Zabiorę cię ze sobą do Japonii.

Antek nie wiedział, jak dziękować Krygierowi. Schwycił Krygiera za rękę i zawołał z ogniem w oku:

— Skoczę dla ciebie w ogień i w wodę. Życie gotów jestem oddać dla naszej sprawy.

— Po co? Uspokój się. Nie będziesz więcej musiał ryzykować.

Antek otworzył szeroko oczy.

— Nie rozumiem.

— Cierpliwości, a wszystko zrozumiesz. Na razie czyń, co ci każę.

— Zrobię wedle rozkazu.

— Idź do naszych, powtórz im te słowa: ani jeden z tych, który mnie zna, niech nie stawi się w sądzie na rozprawę. Ponieważ będę obecny w sądzie przez cały czas procesu, mimo woli który z naszych może mnie zdradzić, jeżeli się tam znajdzie. Może się wyrwać słówkiem, mrugnąć okiem i jestem zgubiony. Nie tylko ja. Wszyscy ucierpieć, jeżeli wpadnę. Po wtóre ma się tam rozegrać wysoce dramatyczny moment.

— Dobrze. Będę ci wierny jak pies. Przysięgam na wszystko...

— Nie przysięgaj — przerwał mu Krygier. — Czyń tylko to, co ci nakaze rozum.

Obaj pożegnali się ostatecznie. Gdy tylko Antek wyszedł, Krygier otrzymał depeszę, by natychmiast wyjechał do Berlina.

Krygier uregulował rachunek, rozdzielił hojne napiwki i kazał się zawieźć na dworzec. Zabawił tam dziesięć minut. Następnie wsiadł do innej taksówki i udał się do Hotelu Bristol.

Tu wyglądał już zupełnie inaczej. Zameldował się jako turysta, obywatel amerykański.

Krygier manewrował świadomie w ten sposób, by zmylić ślad. Zmieniał adres kilkakrotnie. Telegram, który otrzymał, był oczywiście z góry uplanowany. Umówił się z Milczkiem, by do niego zadepeszował.

Nie polegał na Antku, który był przekonany, że nikt go nie widział udającego się do Hotelu Europejskiego, i starał się zachować jak najdalej idącą ostrożność.

Przysięga, Czyn, Rozum

Ostatnie wypadki zwały się na głowę Anieli z zawrotną szybkością. Spadały na nią ciosy jeden po drugim, jeden potworniejszy od drugiego.

Na początku wydawało jej się, że nie przeżyje tej klęski. Następnie zaczęła się przyzwyczajać. Niejednokrotnie przychodziły jej na myśl słowa Dostojewskiego:

„Każdy człowiek jest bydlęciem — które z łatwością przyzwyczaja się do wszystkiego. Bydlęciem jest nawet stuprocentowy dżentelmen, bez względu na narodowość, czy jest Anglikiem, czy Chińczykiem, niezależnie od jego ideologii. Pruski monarchista czy rosyjski komunista — każdy przyzwyczaja się szybko do wszystkiego na świecie: do zbrodni, nędzy, głodu i więzienia”.

Gdy policja na rozkaz sędziego śledczego odprowadziła ją do więzienia, w pierwszej chwili odczuwała tylko cichy gniew i bunt przeciwko starannie ogolonemu sędziemu, który był przekonany, że ma przed sobą niebezpieczną zbrodniarkę. Potem przysłuchiwała się paplaninie aresztantek, które przebywały z nią w jednej celi.

Gdy sędzia śledczy rozkazał przeprowadzić Anielę do oddzielnej celi, ponieważ nie chce się przyznać — była w pierwszej chwili bardzo zadowolona, że pozbędzie się przykrego towarzystwa. Nawet aresztantka, która otoczyła ją opieką, jako córkę Staśka Lipy, była jej wstrętą z jej opowiadaniem o zyskach, jakie ciągnie z jej nędznego proceduru. Ale po dwutygodniowym pobycie w samotności wśród czterech ścian poczuła, jak okrutny był dla niej sędzia, skazując ją na odosobnienie.

Przed oczyma jej przesuwali się fantastyczne obrazy nieznanej przyszłości. Widziała siebie zgubioną na zawsze, na wieki...

Tego dnia, gdy sędzia śledczy wezwał ją na przesłuchanie, wróciła do celi jeszcze bardziej złamana. Człowiek ten wydawał jej się być niebezpieczny. Gotowa była przyznać się do wszystkiego, byle nie słyszeć więcej jego ironicznych zapytań i jego własnych odpowiedzi.

Pobyt w pojedynczej celi zahartował ją jeszcze bardziej. Nie myślała już o sobie. Z chwilą, gdy z wolnego człowieka przeistoczyła się w aresztantkę, z góry zrezygnowała ze wszystkiego, bez czego człowiek wolny nie może istnieć.

Swoich najbliższych miała tuż obok siebie, a jednocześnie tak daleko. Świadomość, że jej ojciec i kochanek cierpią, była dla niej bardziej dokuczliwa niż niepokój o własny los.

Lipa zaś cierpiał w dwójnasób. Myśl, że córka jego dręczy się w samotnej celi, spędzała mu sen z powiek. Z dnia na dzień zapadał bardziej na zdrowiu.

Janek również troszczył się więcej o Anielę niż o siebie.

Jako znany zuch wśród ludzi nocy, czy na wolności, czy w więzieniu, wnet wynalazł sposób komunikowania się z Anielą.

Codziennie posyłał jej grypsy z słowami pełnymi otuchy i miłości. Aniela nie mogła się nadziwić jego energii nawet za kratami. I ona ze swej strony pocieszała go ciepłymi słowami.

W jednym ze swych liścików Janek opisał Anieli sen, w którym śniło mu się, że obydwójce są wolni i udają się razem okrętem za morze. Zapewniał ją, że miłość ich jest stokroć mocniejsza od żelaznych krat i grubych murów, które je dzielą: musimy jeszcze być razem i żyć szczęśliwie na wolności — pisał jej.

Aniela nie przejmowała się jego słowami otuchy ani radosnymi snami. A jednak dodawała mu odwagi i nadziei i zapewniała, że żadna siła na świecie ich nie rozdzieli. W głębi duszy Aniela żywiła przekonanie, że straciła Janka na zawsze.

Janek posyłał jej niezbędną żywność. Wszystko, co otrzymywał od przyjaciół, dzielił między siebie a ukochaną.

Gdy Aniela po raz pierwszy otrzymała paczkę, odesłała ją z powrotem, prosząc Janka, by sam ją spożył. Ale on zaprzysiął ją, by nie zwracała wałówek, gdyż jemu nie brak niczego.

Janek domyślał się, że Aniela nie weźmie do ust strawy więziennej. Znał dobrze smak tych potraw.

Nie zapominał też o Lipie. Wspierał go, jak mógł. Każda paczka żywności przechodziła przez wiele rąk. Janek oddawał ją kalifaktorowi, ten kucharzowi; następnie paczka wędrowała do pralni; z pralni do oddziału dla kobiet itd. Jeszcze dłuższą drogę musiała odbyć paczka do szpitala więziennego, gdzie Stasiak Lipa leżał przykuty do łóżka. Janek nakazał mu powiedzieć, że jedzenie posyła mu Bajgele. Opracował już plan nowej uciecz-

Człowiek, Zwierzę,
Kondycja ludzka

Wieżenie, Więzień, Gniew,
Samotność, Kondycja
ludzka

ki. Ale myśl, że Aniela pozostałaby sama w murach, powstrzymywała go od tego czynu. Bodaj w więzieniu — ale razem z nią...

Od dnia, w którym doręczono mu akt oskarżenia i zapowiedziano termin procesu, Janek żył jak w malignie. Z niecierpliwością oczekiwał chwili, gdy ujrzy Anielę, spojrzy w jej piękne oczy.

Że ją ujrzy na rozprawie, a może zamieni kilka słów na ławie oskarżonych — co do tego był pewny. Janek znał dobrze ceremoniał sądowy i chociażby przestrzegano go jak najsurowiej, nie wątpił, że uda mu się porozumieć z Anielą.

We śnie czy na jawie zawsze miał przed oczyma jej obraz. Chętnie zawisłby na szubienicy, gdyby wiedział, że tym zwróci wolność Anieli.

Był przygotowany na wszystko najgorsze. Widział oczyma wyobraźni swój smutny koniec. Prokuratora, obrońcę z naczelnikiem więzienia na czele — ceremoniał, z którym jest związana egzekucja skazanego na śmierć.

Wszyscy rzecznicy sprawiedliwości odprowadzają go na szubienicę. Widzi w swej wyobraźni kata, który spogląda nań stalowym wzrokiem. Kławy Janek wysłuchuje sentencji wyroku ze spokojem: „on, Kławy Janek, zamordował policjanta i musi zginąć”.

Ani przez chwilę nie myślał o tym, by zrzucić winę na Wołkowa, faktycznego zabójcę policjanta.

Kławy Janek nie lękał się śmierci. Do pewnego stopnia był nawet zadowolony, że się wreszcie wszystko skończy — i jego miłość, i życie, które nie wróżyło mu nic dobrego.

Zdawał sobie sprawę, że tylko śmierć może go uwolnić z tego trybu życia, jaki musi prowadzić wśród ludzi nocy. Jedyne, czego pragnął, to pewności, że Aniela nie ucierpi przez miłość do niego i że natychmiast zostanie zwolniona.

Bywały chwile, kiedy ponosiła go zbrodnicza fantazja, a wówczas zupełnie inaczej myślał o Anieli. Widział swe dłonie zaciśnięte dokoła jej szyi. Widział ją nieprzytomną u swych stóp. Tulił ją bezwładną w swych mocarnych ramionach, całował jej usta, z których sączył się cienki strumyk krwi.

Był wówczas zadowolony, że jej piękne ciało nie będzie należało do żadnego innego mężczyzny. Nikt już nie nasyci swej namiętności żarem jej zmysłów. Oboje jednocześnie spoczną w ciemnym grobie.

W ciszy celi więziennej mózg jego przeszywały sprzeczne uczucia i myśli. Opracował już nawet plan uduszenia jej na sali sądowej. Jeżeli tam się nie uda, zamorduje ją w ostatniej chwili życia. Jego ostatnim życzeniem przed śmiercią będzie zobaczyć się z Anielą w cztery oczy. A wówczas udusi ją w swych ramionach.

Takie i podobne myśli od dawna absorbowały jego umysł. Tylko w samotnej celi więziennej mogły się zrodzić zbrodnicze plany.

Ostatniej nocy przed procesem Janek ani chwilę nie mógł zmrużyć oka. Miał przeczucie, że coś niezwykłego się stanie. Żelazne łańcuchy, w jakie był zakuty jako niebezpieczny przestępca, dokuczały mu bardziej niż dotąd. Kławy Janek nie mógł się już doczekać chwili, kiedy będzie mógł nasycić wzrok widokiem Anieli, pomówić z nią, zapytać, czy go jeszcze kocha.

Strażnik więzienny nie spuszczał zeń oka. Przez całą noc nie odstępował od jego drzwi, zaglądając przez judasza.

Świtało już, Janek miotał się na posłaniu, brzęcząc łańcuchami.

Strażnik w pewnym momencie zajrzał przez judasza i zapytał obojętnym głosem:

— Dlaczego nie śpisz?

— Nie mogę.

— Nie możesz czy nie chcesz?

— Obie rzeczy.

— Możesz zasnąć. I tak cię mam na oku. Nikt ci nie wyrządzi krzywdy. Nie masz się czego obawiać. Możesz spać spokojnie, jak na wolności. Już ja cię strzegę...

Janek wyczuł ironię w jego głosie i postanowił rozmówić się z nim. Aczkolwiek nie widział twarzy, orientował się doskonale, do kogo należy szare oko w judaszu. Znał mentę jako takiego, który lubi nawiązywać rozmowy z więźniami, by przy okazji popisać się swymi zdolnościami jako strażnik więzienny. W ciszy więziennej taka rozmowa jest czegoś

Śmierć

warta. Potrzeba rozmowy z kimś, słuchania ludzkiego głosu sprawia, że nawet rozmowa z strażnikiem staje się przyjemnością.

— Która godzina? — zapytał Janek łagodniejszym tonem.

— A która byś chciał, żeby była? — odpowiedział strażnik życzliwszym głosem pytaniem na pytanie.

— Jak najpóźniej. Nie mogę w żaden sposób zasnąć.

— Skoro nie śpisz, powinieneś być słyszeć bicie zegara więziennego — zapytał strażnik podejrzliwie.

— Nie znoszę zegara więziennego. Gdy zaczyna dzwonić, zatykam sobie palcami uszy.

— Jeszcze dość wcześnie. Do pobudki masz dwie godziny. Możesz spać spokojnie.

— Nie mogę spać. Pozwól mi się ubrać.

— Nie wolno. Musisz spać!

— Kiedy nie mogę! Gnaty mnie bolą od leżenia. Łańcuchy dokuczają mi tej nocy więcej niż kiedykolwiek przed tym.

— Stary kawał, Klawy Janku — roześmiał się strażnik i zasłonił otwór judasza.

Jednym skokiem Janek znalazł się u drzwi.

— Niech pan nie odchodzi. Zaczekaj pan chwilkę. Chcę panu coś powiedzieć.

— Nie zwracaj głowy.

— Niech mi pan rozluźni nieco kajdany. Tamują mi obieg krwi. Nie mogę wytrzymać dłużej.

Janek tłukł pięściami w drzwi.

— Połóż się w tej chwili spać. Nie otworzę celi. Nie sądz, że masz przed sobą frajera. To stary kawał. Ja otworzę w nocy celę, a ty mnie schwycisz za gardło?! Nie ma głupich.

— Jest pan tchórzem. Wszak jestem zakuty w kajdany...

— No, no, zamilcz. Gdy się otworzy celę, przekonamy się, czyś mówił prawdę. Mnie nic nie obchodzi. Mam nocną służbę i basta.

Janek już nie słyszał, co mu menta mówił. Z całych sił tłukł łańcuchami w drzwi.

— Nie wal tak! Zbudzisz „dzieci” — rzucił strażnik ironicznie.

Janek dobijał się jeszcze głośniejsze.

— Cicho, powiadam ci.

— Nie! Nie! Nie przestanę!

— Chcesz do karceru?

— Tak! Tak! Chcę!...

— Janku, znowu zaczynasz. Jeżeli ci te łańcuchy nie wystarczają, dostaniesz wygodniejsze. Znasz je... Trzydziestokilogramowe...

— Rozluźnij mi pan ręce, inaczej wytlukę wszystkie szyby.

To poskutkowało.

— Uspokój się. Zamelduję dyżurnemu. Zaraz przyjdziemy i rozluźnimy łańcuchy. Wszak wiesz, że strażnik nocny nie ma przy sobie klucza.

— Bardzo pana proszę o to. Czuję nieludzki ból w rękach i nogach.

Zgrzytnął klucz w zamku i drzwi celi Janka otworzyły się z łoskotem. Po obu stronach korytarza ustawili się dwaj strażnicy z rewolwerami w rękach. Do celi weszli inspektor więzienny oraz strażnik nocny.

— Bacność!

Janek utkwiał wzrok w sufit i nie odezwał się słówkiem.

— Czyś zaniemówił! — krzyknął inspektor na cały głos, wściekły, że go wyrwano ze snu.

— Bacność! — zawołał jeszcze głośniejsze strażnik, płaszcąc się przed inspektorem.

— Nie słyszysz rozkazu — rzucił gniewnie inspektor, który nigdy nie miał kontaktu z więźniami.

— Nie słyszę. Proszę mi rozluźnić łańcuchy. O północy nie mam obowiązku raportować.

— O każdej porze! Słyszysz?... Zawsze musisz spełniać rozkazy. Meldować się o każdej porze dnia czy nocy. Rozumiesz?

Inspektor, który niedawno przybył z prowincji, przyzwyczajony był do tego, by więźniowie kłaniali się przed nim niżej pasa. Zachowanie Janka wyprowadziło go z równowagi. Postanowił nauczyć zuchwalca.

— Przed takim głupim inspektorem nie zaraportuję nigdy — rzucił Klawy Janek zuchwale.

— Co?!...

Inspektor uniósł w górę obie pięści, jak gdyby chciał się rzucić na więźnia. Janek uczynił krok w tył i odrzekł spokojnie:

— Groźby zachowaj pan dla siebie, dla własnej żony. Mnie pan nie przestraszy.

— Szacunku, bandyto!

— Dla kogo?

— Już ja cię nauczę. Zginiesz w karcerze. Zrewidować go w tej chwili i sprowadzić do karceru.

— Niestety, nic przy mnie nie znajdziecie!

Mówiąc to, Janek rzucił coś do ust i połknął.

— Coś przełknął?

— Coś bardzo smacznego, panie inspektorze!

— Zrewidować celę! — zawołał inspektor. Więźniowi rozkazał odwrócić się twarzą do ściany.

— Lubię spoglądać na inspektorów, jak się kręcą — odparł Janek cynicznie. — Wam z tym do twarzy.

— Bierzcie go! — huknął inspektor. — Pomóście! — zwrócił się do dwu strażników, którzy stali dotąd na korytarzu z rewolwerami w rękach.

— Po co bierzecie mnie siłą? Sam pójdę. Niech się tylko mogą ruszyć...

To mówiąc, Janek oparł się plecami o ścianę. I zanim się inspektor zorientował w zamiarach więźnia, ten uczepił łańcuchy o żelazny stolik przymocowany do ściany i rozdarł je na dwie części, niby papier.

Obecni spoglądali na siebie oszołomieni, nie śmiąc się zbliżyć do więźnia. Klawy Janek zdierał z siebie szaty jak człowiek, który nagle dostał ataku szału. Wydzierał sobie włosy, których mu nie ostrzyżono, aby nie zmienić jego wyglądu zewnętrznego. Thukł pięściami w żelazny stolik i wołał:

— Precz stąd, sadyści!

— Bierzcie go! Czego stoicie?

Inspektor krzyczał na innych, ale sam stał już jedną nogą na korytarzu.

Kilka par rąk wyciągnęło się w kierunku więźnia. Janek walczył jak lew, nie dopuszczając nikogo do siebie. Jeden z mentów schwycił dzban z zimną wodą i lunął Jankowi prosto w twarz. Drugi narzucił mu koc. Następnie wszyscy trzej rzucili się, ciągnąc go do karceru. Na próżno Janek stawiał opór. Rękojeści rewolwerów, którymi tłuczono go po głowie, były dość silne. Zakrwawionego, pobitego zepchnięto do podziemnych lochów, gdzie mieścił się karcer. Z oddali dochodziły do uszu Janka głuche okrzyki odważniejszych więźniów. Wołali:

— Nie bić!... Nie bić!

A echo w wąskich, długich korytarzach powtarzało:

— Nie bić!...

Po czym w całym gmachu więziennym znów zapanowała głucha cisza. Janek leżał poturbowany w zimnym karcerze. Nie czuł już ciężaru grubych łańcuchów, w które zakuto go na nowo.

Nadszedł wreszcie dzień procesu. Na ławie oskarżonych sądu okręgowego zasiedli wszyscy oskarżeni w tym procesie: Klawy Janek, Aniela, Stasiek Lipa, Bajgele, Józef Zalewacz i „Zimna kokota”.

Nadszedł, jak każdy inny dzień w życiu ludzkości, który jednym przynosi radość, innym — smutek, jednym przyjemność, dla innych znów mija szaro, bezbarwnie jak większość dni roku...

Był to smutny dzień. Na niebie zawisły ciężkie, ołowiane chmury, jakby się chciały spuścić na ziemię. Padał gęsty deszcz zmieszany ze śniegiem, który natychmiast topniał.

Przechodnie unosili wysoko parasole, aby uniknąć zderzenia. Inni, w przemoczonych płaszczach i z podniesionymi kołnierzami, śpieszyli się do przystanków tramwajowych. Wszystko mknęło — ulice, ludzie, tramwaje przesiąknięte były wilgocią.

A jednak, mimo niepogody, przed gmachem sądu okręgowego panował wielki ruch. Każdy za wszelką cenę pragnął się dostać na salę sądową, by być obecnym na procesie.

Policja i tajni agenci obserwowali zgromadzonych. Woźny o sumiastych wąsach uważnie kontrolował karty wstępu. Obok woźnego stał nowo mianowany komisarz Andrzejczak. Przyglądał się uważnie każdej wchodzącej osobie. Widać policja szukała kogoś. Starszy pan o solidnym wyglądzie z łagodnym uśmiechem na ustach o mało co nie został stratowany przez pracę masę ludzką. Dzięki interwencji woźnego przedostał się przez kordon. Wzbudzał tyle zaufania, że woźny nie kontrolował jego biletu. Z szacunkiem ustąpił mu miejsca i natychmiast przepuścił.

Nawet komisarz Andrzejczak, następca Szczupaka, który przejmował wszystkich przenikliwym wzrokiem, nie przyjrzał się twarzy starca ani jego zgarbionej sylwetce. W drżących rękach, które świadczyły, że pochodzi on z lepszej sfery, trzymał tekę wypełnioną papierami.

Każdy, nawet największy znawca, mógł go przyjąć za emerytowanego sędziego albo co najmniej za człowieka spokrewnionego z tą sferą.

Wolnym krokiem staruszek podszedł do pierwszych rzędów, zajął miejsce i zagłębił się w poważnej lekturze filozoficznej.

Przybywało coraz więcej ludzi. Na twarzy każdego malowało się zdenerwowanie. Przychodzili ludzie z najrozmaitszych warstw społecznych. Przeważnie kobiety — jedne w chustkach na głowach, drugie — w futrach karakułowych lub wytartych paltach, które pamiętały lepsze czasy, ale były także panie w pięknych, srebrnych lisach, zarzuconych na smukłe ramiona.

W większości były to kobiety żądne plotek i sensacji. Zająły one miejsca w pierwszych rzędach i debatowały zapalczywie, częstując się czekoladkami.

Jaki zapadnie wyrok? Jak wygląda Klawy Janek? Podobno jest pięknym mężczyzną? A i jego narzeczona wyróżnia się fenomenalną urodą?...

Co sprowadziło tych przestępców na ławę oskarżonych, jakie koleje życia przeszli, zanim znaleźli się w tych murach — to nie obchodziło uperfumowanych pań. Oczywiście, że nie zadały sobie trudu, by zastanowić się nad tym, kto w ogóle jest winien, że na świecie są złodzieje i przestępcy.

Staruszek, o którym wspomnieliśmy, rozglądał się dyskretnie, podnosząc od czasu do czasu wzrok poprzez duże rogowe okulary. Nieopodal zajął miejsce mężczyzna w wieku lat około czterdziestu i dawał staruszkowi do zrozumienia, że go rozpoznał. Obaj porozumieli się spojrzeniem, że pozostają dobrymi przyjaciółmi.

Zegar sądowy wybił godzinę dziesiątą. Po tym otworzyły się boczne drzwi, które prowadziły na ławę oskarżonych. Oczy zebranych na sali sądowej zwróciły się w stronę odgrozonego pola przed ławą oskarżonych.

Najpierw w bocznych drzwiach ukazał się policjant, a za nim niepewnym krokiem postępowała młoda niewiasta. Na sali sądowej w tej chwili rozległy się szeptem wypowiedziane uwagi:

— To ona!... Kochanka!...

Aniela prawie że została wepchnięta przez drzwi na ławę oskarżonych. Poznać było po niej, że nie kieruje się własną wolą. Narzuciła na oczy chustkę aresztancką. Poczula silne bicie serca.

Po chwili drzwi boczne znów się otworzyły. Pierwszy wszedł silnej budowy policjant, który rozejrzał się po ławie oskarżonych, mruknął coś pod nosem posterunkowemu strzegącemu Anieli⁴⁹ i wprowadził oskarżonych jednego za drugim. Pierwszy wszedł Klawy Janek, następnie — Stasiek Lipa, Bajgele, Zalewacz i „Zimna kokota”.

Podsądni zajęli wskazane im miejsca, przy czym każdy z nich był oddzielony od towarzysza policjantem.

Nadaremnie Klawy Janek starał się przywitać Anielę choć spojrzeniem. Aniela była ostatnia na ławie oskarżonych. Nie interesowała się tym, co zachodziło dokoła niej. Klawy Janek kilkakrotnie zakaszał, ale i to nie pomogło. Aniela nie obejrzała się.

Stasiek Lipa ze łzami w oczach prosił o zezwolenie na przywitanie się z córką, ale spotkał się z odmową. Posterunkowi otrzymali surowe instrukcje, by nie pozwolili więźniom na porozumiewanie się ze sobą nawet przy pomocy gestykulacji.

⁴⁹strzegącemu Anielę — popr.: strzegącemu Anieli. [przypis edytorski]

Janek siedział jak na rozżarzonych węglach. Wiercił się nerwowo na miejscu i ciskał w stronę publiczności złowrogie spojrzenia. Wyszminowane damy jak na komendę nastawiły na Janka lornetki. Klawy Janek jako typowy człowiek nocy musiał przypaść do gustu lekkomyślnym damulkom.

„Zimna kokota” rozgadała się na wszystkie strony⁵⁰, uśmiechając się od czasu do czasu do mężczyzn, którzy nie odrywali od niej wzroku.

Józef Zalewacz, który sam nie wiedział, jakim cudem znalazł się wśród tych „asów” na ławie oskarżonych, siedział spokojny z niewinnym wyrazem twarzy.

Bajgele wylaził ze skóry. Jego maleńkie oczki biegały nerwowo po sali. Kilkakrotnie próbował przemówić do Staśki Lipy. Skończyło się na tym, że przesadzono go i przystawiono doń jeszcze jednego policjanta.

Dzwonek w pokoju, w którym sędziowie przygotowują się do „występu”, zabrzączał donośnie. Jednocześnie rozległ się urzędowy ton woźnego:

— Proszę wstać! Sąd idzie...

Publiczność podniosła się jak jeden mąż. Sędziowie zajęli fotele. Prokurator zajął miejsce po prawej stronie; protokolant — po lewej. Przewodniczący sądu przetarł amerykańskie okulary, przekręcając kartki akt, które miał przed sobą.

Trzej najwybitniejsi adwokaci warszawscy, którzy podjęli się obrony oskarżonych, porozumiewali się ze sobą, od czasu do czasu rzucając pokrzepiający uśmiech w stronę ławy oskarżonych.

Klawy Janek, główny oskarżony, miał tylko jedną odpowiedź na wszystkie pytania: „Nie wiem” — albo w ogóle nie odpowiadał.

Tych samych odpowiedzi udzielał Bajgele, Zalewacz i „Zimna kokota”.

Staśka Lipy i Anieli nie wypytywano długo. Aniela odpowiadała z płaczem. Stasiak Lipa bronił tylko córki.

Janek, któremu akt oskarżenia zarzucał dwanaście włamań do różnych instytucji finansowych, a na dobitkę — zabójstwo policjanta, wyglądał na ławie oskarżonych, jak gdyby był niewinny. Zdradzał absolutny brak zainteresowania sprawą. Wydawał się nie dostrzegać wcale sędziów ani obrońców, ani świadków, którzy wiedzieli wszystko lepiej od niego, ani podnieconej publiczności. Wszystko to nie istniało dla niego w tej chwili. Siedział wyprostowany z rękami opartymi na barierze i myślał o Anieli, która była tak blisko niego, a jednak tak daleko...

Jego zimne, stalowe oczy wpatrzone były w jeden punkt — w zielony stół sędziowski. Od czasu do czasu tylko, gdy zadawano mu pytania, zmierzał wszystkich wzrokiem⁵¹ i odpowiadał uparczywie: — „nie wiem” — po czym znów przenosił wzrok na zielone sukno stołu sędziowskiego.

Na próżno usiłował porozumieć się z Aniela. Nie mógł jej nawet należycie spojrzeć w twarz. I ona zaczęła go odszukiwać wzrokiem: ale bezskutecznie. Surowi policjanci przeszkadzali im w tym.

Aniela zaczęła się powoli oswajać z atmosferą sądu. Jej piękne, pełne smutku oczy wzbudzały sympatię nie tylko publiczności, ale i sędziów.

Przeszło dwa miesiące, które spędziła w więzieniu, uczyniły ją jeszcze piękniejszą. Doznane przeżycia, rozpacz i udręka nadały jej twarzy uduchowiony wyraz.

„Widowisko” się rozpoczęło.

Sympatia zebranych na sali była wyraźnie po jej stronie. Obrońca Anieli wylaził ze skóry, by dowieść jej niewinności. Co do jej ojca, wszyscy przewidywali z góry, że zostanie uniewinniony. Nawet policjanci mieli litość dla starego, złamanego ojca pięknej dziewczyny.

Przewodniczący widząc, że Aniela się nieco uspokoiła i że zaczyna się interesować procesem, postanowił ponownie przesłuchać oskarżoną.

— Proszę mi powiedzieć, ale całą prawdę, czy oskarżony Klawy Janek nie opowiadał pani nigdy o swych przestępstwach?

— Nigdy — odparła Aniela cicho.

⁵⁰„Zimna kokota” rozgadała się na wszystkie strony — raczej: „Zimna kokota” rozglądała się na wszystkie strony. [przypis edytorski]

⁵¹zmierzał wszystkich wzrokiem — popr.: mierzył wszystkich wzrokiem. [przypis edytorski]

Przewodniczący zadowolony, że Aniela odpowiada, przerzucił kartkę z pytaniami, którą jeden z sędziów mu podsunął, i pytał dalej:

— Proszę mi powiedzieć, a jak to się stało, że niewiasta wykształcona i inteligentna jak pani zbliżyła się do zbrodniarza?

— Proszę mi wybaczyć, Wysoki Sądzie, ale na to pytanie nie odpowiem.

— Jak długo się znacie?

— Niedawno.

— Mniej więcej?

— Przeszło rok.

— Czy ojciec pani wiedział o tym?

— Nie.

— A kiedy się pani dowiedziała prawdy o Klawym Janku?

— Gdy nas zaaresztowano. W hotelu.

— Wcześniej nie? — uśmiechnął się przewodniczący.

— Wiedziałam, ale nie tak dalece.

— Dlaczego nie zerwała pani z nim od razu?

— Proszę zapytać o to moje serce — Aniela wybuchnęła płaczem.

Janek, który przez cały czas siedział obojętny, zerwał się z miejsca i zawołał:

— Wysoki Trybunale! Proszę o głos.

— Zaraz! — odparł przewodniczący apatycznie. — Proszę na razie usiąść.

Janek wahał się przez chwilę, co począć. Policjant oparł rękę na jego ramieniu, nakazując mu zająć miejsce.

— Niech oskarżona przestanie płakać i odpowiada lepiej na pytania. W interesie oskarżonej leży wyznać nam wszystko. Gotowi jesteśmy przypuszczać, że oskarżona padła ofiarą wyrafinowanego przestępcy.

— Nieprawda, kłamstwo! — zawołała Aniela.

— Proszę się liczyć ze słowami — skarcił ją przewodniczący. — Oskarżona stoi przed sądem.

— Przepraszam!

Sędzia o wyglądzie duchownego szepnął coś przewodniczącemu sądu na ucho.

— Może bylibyśmy przekonani co do niewinności oskarżonej — ciągnął dalej przewodniczący ojcowiskim tonem — gdybyśmy mieli dowody. Zadaniem oskarżonej jest upewnić nas, że się nie mylimy. Proszę odpowiadać na pytania.

— Czego chcecie ode mnie? Zamknijcie mnie z powrotem w ciemnej celi, byle nie męczcie mnie dłużej!

— Proszę się uspokoić i odpowiedzieć na jedno pytanie: czy krytycznej nocy, gdy ojciec strzelał do Klawego Janka, był on u oskarżonej po raz pierwszy?

— Tak!

— Jeszcze jedno pytanie: czy oskarżona była jego kochanką?

Aniela przesłoniła sobie twarz rękami.

— Kochałam go i kochać będę do ostatniej chwili mego życia. Możecie mnie na wieki zakuć w kajdany, ale uczucia z serca nie wyrwiecie.

— Spokojniej... spokojniej... — rzekł przewodniczący i dał znak protokolantowi, by zanotował ostatnie słowa oskarżonej.

— Oskarżona może usiąść.

Aniela ciężko opadła na ławę.

Przewodniczący przez dłuższą chwilę przyglądał się Jankowi, który nie zważając na przestrogi policjantów, uśmiechał się w stronę Anieli. Oboje spoglądali na siebie ukradkiem. Twarz Anieli wyrażała bezgraniczne przywiązanie. Z jej spojrzenia biło tyle miłości, ciepła, że obecni na sali mężczyźni zazdrościli wprost Jankowi.

— A co oskarżony chce powiedzieć? — zwrócił się przewodniczący do Janka surowym tonem.

— Teraz już nic. — Janek skłonił się z galanterią i usiadł.

Sędziowie porozumieli się spojrzeniami. Przewodniczący z kolei zwrócił się do Staśka Lipy:

— Ile lat liczy córka oskarżonego?

— Dwadzieścia.

Miłość

— Czy w dzieciństwie córka zdradzała złe skłonności?
 — Nie.
 — Czy uczyła się chętnie?
 — Bardzo.
 — Czy była oddanym dzieckiem?
 — O, jeszcze jak!
 — Kiedy się poznała z Klawym Jankiem?
 — Nie wiem.
 — Czy oskarżony wiedział o jej miłości?
 — Na początku nie. A potem było już za późno.
 — Czy oskarżony był kiedyś sądzony?
 — Nigdy.
 — Dlaczego wyjechał z Polski?
 — Nie mogłem się pogodzić z myślą, że moja córka zakochała się w...
 Podsądni na ławie oskarżonych uśmiechnęli się dyskretnie.
 — I postanowił go zamordować?
 — Spotkałem go w mej willi niespodzianie. W pierwszej chwili straciłem panowanie nad sobą.
 — Więc nie nosił się z zamiarem zabójstwa?
 — Nigdy.
 — Oskarżony jest starym, schorowanym człowiekiem. Bliski jest już dzień, kiedy stanie przed Sądem Wiekuistego. Niechże powie prawdę, czy nie zna tych wszystkich, którzy dziś zasiadają na ławie oskarżonych?
 — Nie, nie znam ich.
 — Proszę przyjrzeć im się dokładnie.
 Lipa przyjrzał im się uważnie i odrzekł zdecydowanym tonem:
 — Widzę ich po raz pierwszy w życiu.
 — Proszę usiąść.
 Również Bajgele, Józek Zalewacz i „Zimna kokota” wypierali się wszystkiego.
 — Nie wiemy o niczym. Nie znamy się wcale. Nie mamy pojęcia, za co nas aresztowano.
 Rozpoczęło się przesłuchanie świadków.
 Przewinęły się najrozmaitsze typy — policjanci, poszkodowani, konfidenci. Nie wniesli nic nowego do sprawy.
 Konfidentka, którą Klawy Janek wyrzucił przez okno, a która po dłuższej kuracji przybyła jako świadek do sądu, nie sypała ani Janka, ani jego przyjaciół. Przeciwnie, wyraziła wątpliwość, czy Klawy Janek ma w ogóle coś wspólnego z zarzucanymi mu zbrodniami. Konfidentka, którą w międzyczasie usunięto z Urzędu Śledczego, chciała się w ten sposób zemścić na dawnych przełożonych. Z drugiej strony chciała wzbudzić zazdrość Anieli, dowieść, że nie jest ona obojętna względem byłego kochanka.
 Ostatnia zeznała hrabina.
 Stasiek Lipa poznał hrabinę z miejsca. Zauważył ją, gdy tylko weszła na salę. W pierwszej chwili uczynił ruch, jak gdyby chciał przesadzić barierę i rzucić się na nią.
 Zachowując postawę pełną wyniosłości i dumy, hrabina zbliżyła się do stołu sędziowskiego. Ciekawe spojrzenia zgromadzonej publiczności przekłuwały ją niby rozżarzone igły. Miała złe przecucie. Odnosiła wrażenie, jak gdyby występowała tu nie jako poszkodowana, okradziona — lecz jako oskarżona lub współwinna.
 — Hrabina Mołdakowa? — zapytał sędzia.
 — Tak.
 — Czy świadek poznaje oskarżoną? — Przewodniczący sądu wskazał na Anielę.
 — Tak. Poznaje — rzuciła hrabina, spoglądając w stronę Anieli.
 — Czy to na pewno ta sama, która przybyła do pani w sprawie posady? Czy się świadek nie myli?
 — Na pewno ta sama, nie mylę się. Zresztą ta pani sama się przyznała w swoim czasie do tego, że była u mnie w domu.
 Przewodniczący przewrócił kilka kartek akt, po czym pytał dalej:

— A jej ojca świadek zna również?
 — Nie! — odparła hrabina.
 — Na pewno?
 — Skąd bym go miała znać?
 — Proszę się dobrze przyjrzeć oskarżonemu. Chodzi tu o siwego więźnia. Czy to jest jej ojciec?

Hrabina przez dłuższą chwilę przyglądała się Staškowi Lipie.
 — Nie. Tego pana nie znam.

Przewodniczący chciał już uwolnić hrabinę z dalszego przesłuchania, gdy naraz powstał tumult na ławie oskarżonych. Stasiak Lipa osunął się nieprzytomny na podłogę. Aniela zerwała się z miejsca i zawołała przerażonym głosem:
 — Ojcie!... Ojcie!...

Policjant wezwał ją do zachowania spokoju. Ale zanim policjanci zdążyli się zorientować, co zaszło, Stasiak Lipa odzyskał przytomność, o własnych siłach podniósł się z podłogi i usiadł z powrotem na miejsce.
 — Co oskarżonemu jest? — zapytał prezes ze współczuciem.
 — Już nic... Serce...
 Wskazał prawą ręką na serce. Oczy jego miotaly złe błyski.
 — Czemu oskarżony tak zbladł?
 Stasiak Lipa stanął naraz wyprostowany.
 — Wysoki Sądzie, mam prośbę...
 — Słucham...
 — Proszę, by hrabina przyjrzała mi się dokładnie. Czy mnie naprawdę nie poznaje? Mam wrażenie, że się pomyliła.

Sędziowie, zdumieni, spoglądali na Lipę. Nie wiedzieli, do czego oskarżony zmierza. Również hrabina, która była już gotowa odejść, spojrzała zaintrygowana w stronę ławy oskarżonych. Nie rozumiała, co schorowany, obrośnięty starzec ma na myśli.
 — W interesie oskarżonego byłoby, aby świadek go nie poznał — zauważył przewodniczący z ironią w głosie.
 — Ja najlepiej wiem, Wysoki Trybunale, co jest dla mnie korzystniejsze. Proszę zastrzymać hrabinę. Niech mi się dobrze przyjrzy i jeszcze raz powtórzy, czy mnie nie zna.
 — A czy oskarżony zna świadka?
 — Tak. Znam hrabinę bardzo dobrze.
 — Skąd?
 — To ja dokonałem włamania do jej kasy.
 — Co?... Pan?...

Słowa te spadły na zebranych niby piorun z jasnego nieba. Publiczność z zapartym tchem śledziła dalszy bieg wypadków. Spodziewano się sensacyjnego zwrotu, który zdecydowanie o dalszym losie oskarżonych.
 — Oskarżony nie był w stanie tego sam dokonać. Gdzież są współnicy?
 — Nie miałem współników.
 — A kto zamordował policjanta? Czy też oskarżony?
 — Ja.
 — Czy oskarżony jest przy zdrowych zmysłach?
 — Jestem zupełnie zdrow.
 — I oskarżony nasłał swą córkę do hrabiny, by ją okraść po raz drugi?
 — Tak. Ja.

Sędziowie poculi się mocno zakłopotani. Właśnie ten, którego mieli zamiar uniewinnić — oskarża samego siebie. Sędziowie podejrzewali, że oskarżony dostał ataku szału. Przewodniczący zapytał:
 — Czy oskarżony nie cierpi na ból głowy?
 — Nie.
 — A jak z sercem?
 — Lepiej. Jestem zupełnie zdrow.
 — Gdyby nawet było prawdą, co oskarżony powiada — ciągnął dalej przewodniczący — hrabina i tak nie mogłaby go poznać, gdyż spała w czasie włamania.
 — Znamy się jeszcze sprzed kradzieży.

Naraz rozległ się na sali rozdzierający krzyk kobiety:
 — To on!... On!... Boję się!

Był to głos hrabiny. Rzuciła się w stronę drzwi. Przewodniczący dał znak, by ją zatrzymać.

— Świadek Mołdakowa! Co się stało? Co oznacza ten okrzyk? — Przewodniczący podniósł się ze swego miejsca.

Hrabina stała złamana ze zwieszoną głową. Wzrok jej spotkał się ze spojrzeniem Staśka Lipy, który się dziwnie uśmiechał.

— On!... On!... Boję się! — zawołała hrabina po raz wtóry.

— Kto taki?

— Ja. Stasiek Lipa, jej były mąż — padły sensacyjne słowa z ławy oskarżonych.

Na sali powstało poruszenie nie do opisania. Wszyscy zerwali się z miejsc, wyciągając przed siebie szyje w zaciekawieniu, nie chcąc niczego przegapić z tego, co się dzieje na sali.

— Spokój!... Siadać! — wołał woźny, starając się przekrzyczeć dzwonek przewodniczącego.

— Czy oskarżony jest przy zdrowych zmysłach? — pytał niedowierzająco przewodniczący. — Świadek jest hrabiną Mołdakową... Chrześcijką.

— Neofitką⁵²... Moją byłą żoną. I jej matką.

Wypowiadając ostatnie słowa, Stasiek Lipa wskazał na Anielę, która siedziała błada jak chusta.

— Więc oskarżony posłał córkę na zwiady, by ją okraść po raz drugi. Był to akt zemsty?

— Moja córka jest uczciwa! Nigdy nie miała nic wspólnego z moją pracą! — Stasiek Lipa schwycił się za serce i opadł bezsilnie na ławę.

Sędzia śledczy, który przez cały czas nie odstępował od hrabiny, zbliżył się do stołu sędziowskiego.

— Wysoki Trybunale! Przydomek „Stasiek Lipa” jest nam dobrze znany. Już od dziesięciu lat jest on poszukiwany przez szereg krajów, jestem przekonany, że hrabina Mołdakowa nie ma z nim nic wspólnego. Oskarżony nie zasługuje na zaufanie. On kłamie.

— Bardzo dziękuję za wyjaśnienie — uśmiechnął się przewodniczący. — Niebawem ustalimy, kto mówi prawdę.

Przewodniczący sądu oświadczył, że przerywa rozprawę i że komplet sędziowski udaje się na naradę.

Narada nie trwała długo, po czym sędziowie wrócili na salę i przewodniczący zakomunikował, że proces zostaje odroczony.

Po wysłuchaniu decyzji sądu Stasiek Lipa zerwał się z miejsca:

— Nie! Nie! Nie wrócę do więzienia. Dosyć!... Oszczędzę wam kłopotu. Ale córce mojej zwróćcie wolność! Ona jest niewinna!

Stary ojciec schwycił się obiema rękami za serce.

Przewodniczący rozkazał publiczności opuścić salę. Czyniono to niechętnie; wszyscy byli ciekawi finału tej sceny. Woźni wnet oczyścili salę.

Stasiek Lipa krztusił się od kaszlu. Dwaj policjanci ułożyli go na ławie.

Hrabina wyblagała, by pozwolono jej zbliżyć się do chorego. Obie, Aniela i hrabina, podtrzymały mu głowę. Pozostałych oskarżonych wyprowadzono z sali.

— Ojcie!... Biedny mój ojcie! — szlochała Aniela.

Hrabina pokrywała twarz Anieli pocałunkami, zapewniając ją, że dziś jeszcze uwolni ją za kaucją. Aniela, zajęta miłowaniem ojca, nie słuchała słów hrabiny — jej matki.

Jeden z dwóch policjantów, którzy strzegli Staśka Lipy i jego córki, zatelefonował do więzienia, by przysłało po Lipę karetkę szpitalną.

Naraz Stasiek Lipa wyprostował się, usiadł i ująwszy córkę za rękę, rzekł:

— Idź!... Idź do swej matki. Porzuć świat podziemny!!!...

Głowa opadła mu z powrotem. Hrabina uklękła przed Lipą.

— Przebac mi...

⁵²neofitka — osoba, która niedawno przyjęła nową religię bądź doktrynę. [przypis edytorski]

— Umieram!... — wyjął.
— Ojcie! Ojcie! Pozostań z nami!
— Nie, dziecko moje... Słuchaj swej matki... Lepiej umrzeć, niż gnić w więzieniu.

Więzienie, Śmierć

Przebaczam wam.

Stasiek Lipa miotał się w konwulsjach. Obie kobiety czuły, jak powoli sztywnieją mu ręce. Wyszeptał po raz ostatni:

— Przeklęty niech będzie żywot złodzieja!

Złodziej

EPILOG

Ostatni sezon zimowy był dla ludzi nocy straszny. Starzy weterani kunsztu złodziejskiego nie pamiętali tak ciężkiej zimy.

Komisarz Andrzejczak zabrał się energicznie do czystki. Lepszy fachowcy przenieśli się za granicę. Średni objęli różne funkcje w warsztatach więziennych jako aresztanci. Mali złodziejaskowie zaopatrzili się w wózki ręczne lub poszukali innego zajęcia.

W kołach policyjnych również nastąpiła generalna czystka. Fakt, że na czele Urzędu Śledczego stał zbrodniarz — bowiem w swym liście pożegnalnym Wołkow, który popełnił samobójstwo, przyznał się do wszystkich dokonanych zbrodni i morderstw — wywołał u czynników miarodajnych piorunujące wrażenie. Andrzejczak, jako wyjątkowo zdolny i uczciwy człowiek, awansował na naczelnika Urzędu Śledczego. Stał na wysokości zadania. Surowo karał podwładnych za najdrobniejsze przekroczenia.

Po pewnym czasie wznowiony był proces Klawego Janka i towarzyszy.

Aniela odpowiadała z wolnej stopy, bowiem hrabina zwolniła ją za kaucją.

Klawy Janek został za różne kradzieże i włamania skazany łącznie na osiem lat więzienia. „Zimna kokota” — na sześć lat. Bajgele dostał pięć lat więzienia — Józka Zalewacza z braku dowodów uniewinniono.

Mijały tygodnie, miesiące. „Zimna kokota” po rozprawie sądowej rozchorowała się ciężko. Choroba, na którą cierpiała, zrobiła wielkie spustoszenia w jej organizmie. Po krótkich mękach zmarła.

Bajgele pracował w warsztatach więziennych przy krawieczyźnie. Po robocie w gronie towarzyszy niedoli wspominał dawne czasy, kiedy Wołkow musiał tańczyć na jego nutę.

O Klawym Janku, który siedział izolowany w więzieniu mokotowskim, odzywał się z największym szacunkiem i zapewniał słuchaczy, że Janek na pewno wcześniej, niż należy się spodziewać, znajdzie się na wolności.

„Krygier go nie opuści” — szeptał w tajemnicy.

Bajgele był dumny z tego, że został skazany w tym samym procesie co Klawy Janek i uważany był za jego współnika.

Aniela nie zapominała o Janku. Zanosila mu codziennie wałówki.

Nie pomogły wywody matki, że za długo wypadnie jej czekać na ukochanego. Aniela pozostała mu wierna.

Hrabina jednak postanowiła za wszelką cenę uleczyć swą córkę z nieszczęśliwej miłości.

Hrabina upatrzyła już kandydata dla swej córki. Był to przystojny, wykształcony i inteligentny młodzieniec. Poznała go z Anielą i przyłożyła wszelkich starań⁵³, by młodzi zbliżyli się do siebie.

Ale starania hrabiny były bezskuteczne. Każdej środy Aniela posyłała przez służącą wałówki do więzienia. Byłaby je zanosila sama, ale matka stanowczo sprzeciwiła się temu, by wyczekiwała w kolejce przed bramą więzienną wraz z podejrzanymi typami.

Aniela w żaden sposób nie mogła uzyskać widzenia z Jankiem. Zawdzięczała to swej matce, która wyjednała u sędziego śledczego, by nie zezwolił na widzenie jej córki z więźniem.

Pewnej środy, w dniu, kiedy przyjmuje się wałówki dla więźniów, służąca przyniosła paczkę z powrotem, oświadczając, że więźnia o przydomku „Klawy Janek” nie ma już w więzieniu.

Aniela ze łzami w oczach błagała matkę, by poinformowała się u sędziego śledczego — co się stało z Jankiem.

⁵³przyłożyła wszelkich starań — raczej: dołożyła wszelkich starań. [przypis edytorski]

I dowiedziała się...

— Kławy Janek — oświadczyła hrabina Aniela — popełnił samobójstwo... Nie żyje!...

Trudno opisać rozpacz Anieli. Usychała z tęsknoty. W ciągu kilku dni zmieniała się nie do poznania.

Znów minęły dni i tygodnie.

Pewnej nocy hrabina weszła do pokoju córki, by sprawdzić, czy śpi. Aniela, pogrążona w myślach, nie zauważyła matki... Wspominała umarłego ojca, którego grób odwiedzała codziennie, oraz Janka, który skończył tak tragicznie...

— Wciąż myślisz o nim... — Hrabina oparła dłonie na głowie córki.

— Tak, mam. — Aniela zerwała się z miejsca. — Nie mogę go wydrzeć ze swego serca... We śnie i na jawie mam go przed sobą.

— Zapomnij, dziecko. Z tamtego świata nie ma powrotu.

W tej samej chwili rozległy się za oknem podejrzane szmery. Aniela, przerażona, przytuliła się do matki. Okno się rozwarło i ukazała się twarz Janka.

Hrabina, na wpół przytomna, upadła na stojące w pobliżu krzesło. Aniela rozwarła szeroko oczy i stanęła jak skamieniała.

— Aniello!...

Janek wskoczył przez okno do pokoju.

— Co się ze mną dzieje? Czy śnię?

— To nie sen, najdroższa — zawołał Janek i porwał Anielę w ramiona.

— Ach, gdyby nie kobiety!...

Po chwili ukazała się w oknie twarz Krygiera.

— Janku, przędziej, szkoda czasu.

— Uciekłeś? — zwróciła się Aniela do Janka.

— Tak. Chodź ze mną.

— Chcesz mnie opuścić! — Hrabina załamała ręce w rozpacz.

— Całe życie obeszłaś się beze mnie, więc daruj...

Krygier znów ukazał się w oknie.

— Otwórzcie drzwi, już jestem za stary, by łązić przez okno.

Aniela, uszczęśliwiona, wpuściła Krygiera. Szybko zaczęła się pakować.

— Jak będę żyć bez ciebie! — zalewała się hrabina łzami.

— Będzie pani mogła przyjechać do nas — uspakajał ją Krygier. — Wyjeżdżamy do Japonii.

— I co tam Janek będzie robił?

— Zostanie dyrektorem mojej fabryki maszyn.

— Kto jeszcze jedzie z nami? — zapytała rozpromieniona Aniela.

— Milczek i Antek. To im zawdzięczasz uwolnienie Janka.

— Chciałbym się jeszcze pożegnać z zacnym profesorem — zauważył Janek. — Może pojedziemy na Poznań?

— Zobaczymy się z nim za kilka tygodni. Oddaję mu do druku moją autobiografię...

Aniela, gotowa do wyjścia, zwróciła się do matki:

— Mamo! Daj nam swe błogosławieństwo.

Hrabina drgnęła. Po krótkim wahaniu pocałowała oboje serdecznie.

— Zlikwiduję tu swe sprawy majątkowe — rzekła — i postaram się czym prędzej przyjechać do was...

— Bądź zdrowa, mam! Ucałuj mą siostrzyczkę — rzuciła Aniela, stojąc już za drzwiami.

Gdy auto ruszyło z pasażerami, rozległo się dokoła głośnie ujadanie psów.

Śmierć

Kobieta

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/nachalnik-gdyby-nie-kobiety/>

Tekst opracowany na podstawie: Urke-Nachalnik, Gdyby nie kobiety. Powieść sensacyjna, Wydawnictwo M. Fruchtmanna, Warszawa 1938.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Marianna Czabator, Monika Kępska.

ISBN 978-83-288-8002-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.